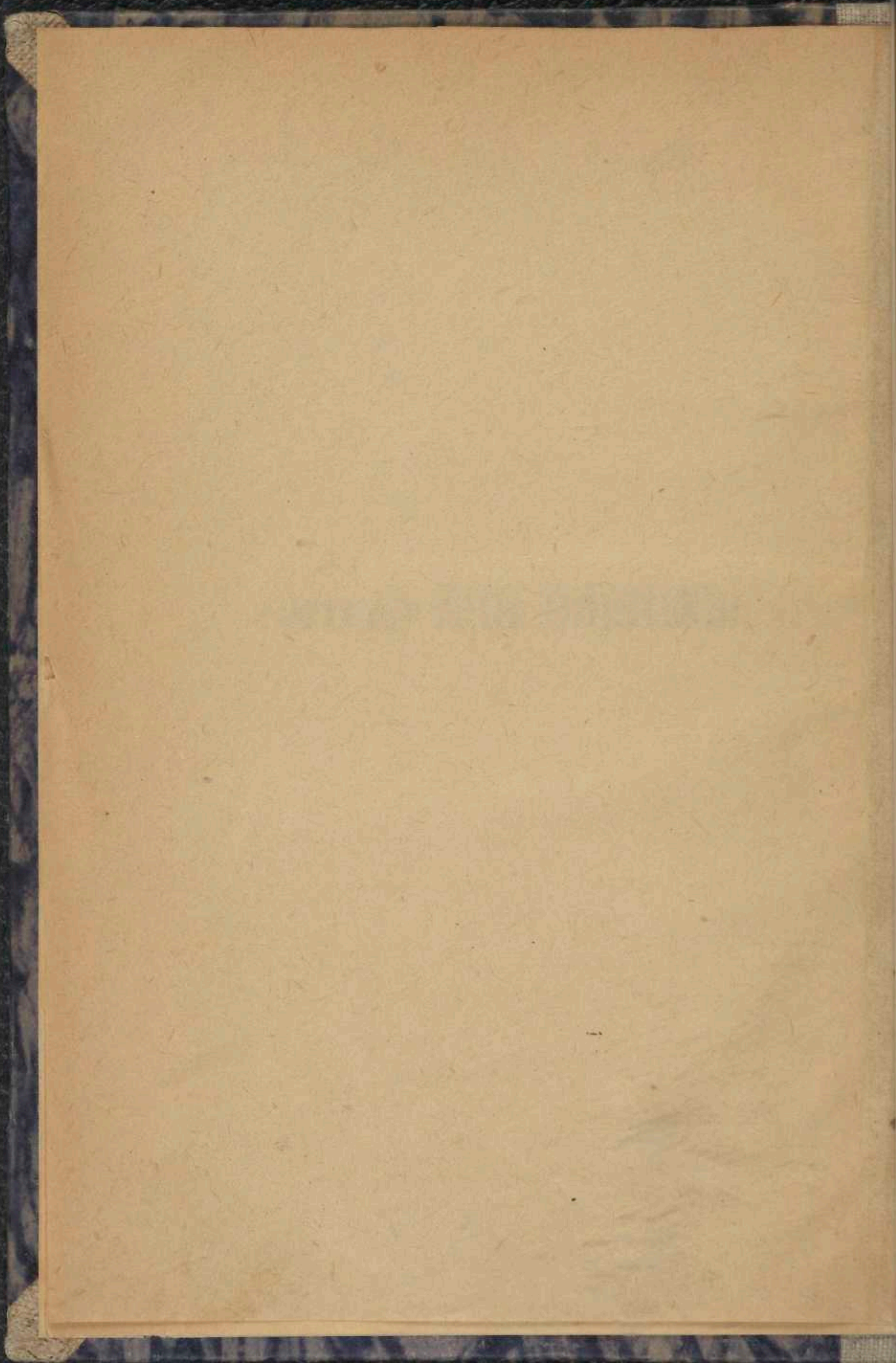


JEŹDZIEC BEZ GŁOWY.



MAYNE-REID
KAPITAN.

Jeździec bez głowy.

Z ILUSTRACJAMI.



WARSZAWA.
STOWARZYSZENIE PRACOWNIKÓW KSIĘGARSKICH
SPÓŁKA Z OGR. ODP.



—
I 503.119
—

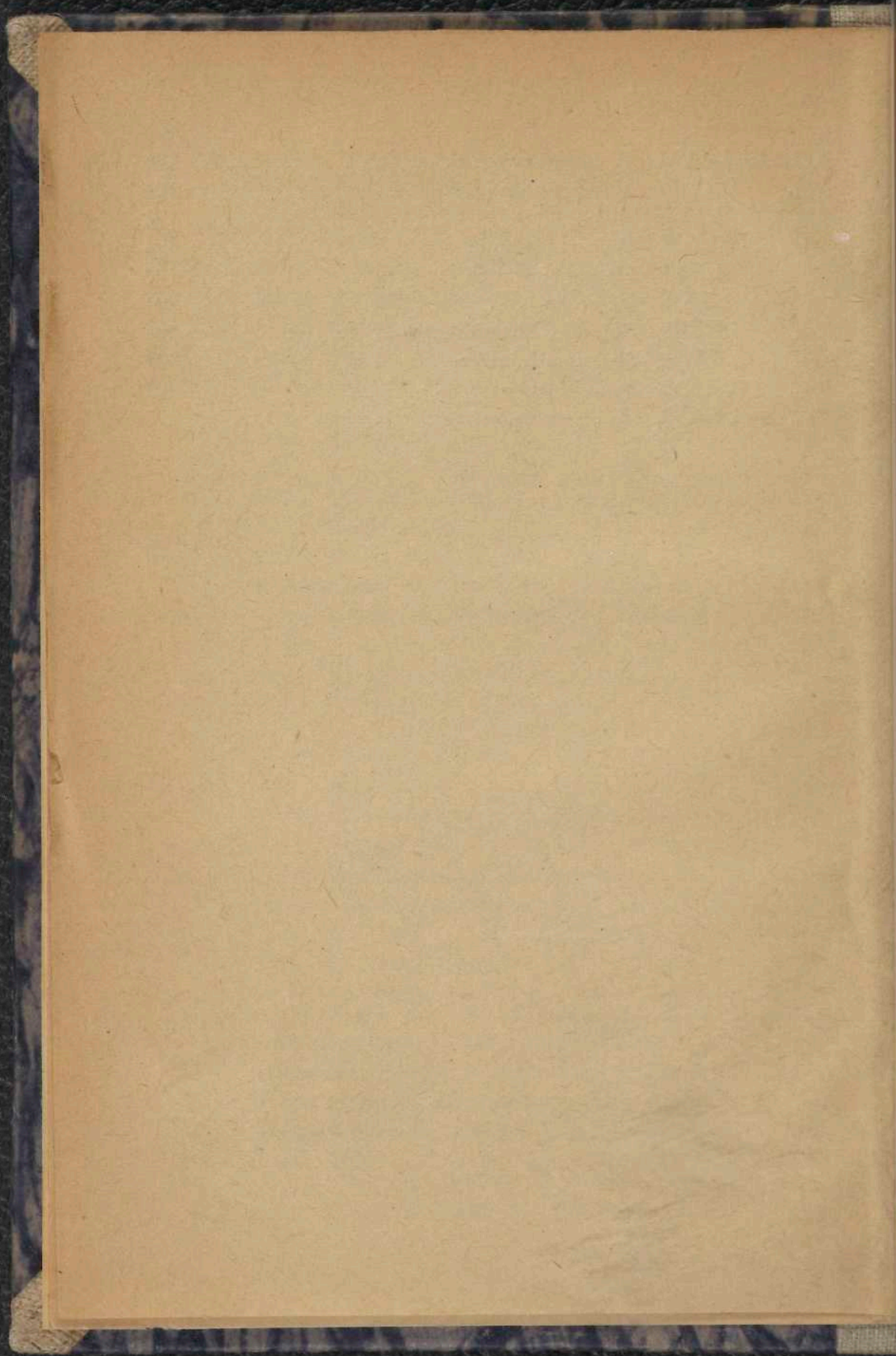
Drukarnia Społeczna Stow. Robotników Chrz.
Warszawa, Plac Grzybowski 3/5. Tel. 295-80.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

		Str.
	Prolog	
Rozdział	I. Wypalone stepy	3
"	II. Śladami lasso	8
"	III. Znaki wskazujące drogę	15
"	IV. Tajfun	18
"	V. Zagroda łowcy mustangów	22
"	VI. Pstrokaty mustang	26
"	VII. Straszna noc	32
"	VIII. Skorpion	36
"	IX. Pograniczna twierdza	40
"	X. Casa del Corvo	42
"	XI. Niespodziany przyjazd	46
"	XII. Poskromienie dzikiego konia	50
"	XIII. Piknik w prerji	56
"	XIV. Manada	57
"	XV. Schwytany zbieg	60
"	XVI. Stado mustangów	63
"	XVII. Pułapka na mustangi	66
"	XVIII. W szponach zazdrości	70
"	XIX. Zaczepka	72
"	XX. Niemiła sytuacja	76
"	XXI. Pojedynek	78
"	XXII. Tajemniczy koszyk	79
"	XXIII. Zaprzysiężenie zemsty	82
"	XXIV. Nieznajoma amazonka	84
"	XXV. Pierwsza rozterka	86
"	XXVI. Podszepty zazdrości	89
"	XXVII. Kocham	91
"	XXVIII. Zakazana wycieczka	93
"	XXIX. „Stepowy Wilk“	96
"	XXX. W tajemnicy	98

	Str.
Rozdział XXXI. W noc księżycową	99
„ XXXII. Smutna wiadomość	100
„ XXXIII. Rycerskość Kasjusza	101
„ XXXIV. Nowe niepowodzenie	104
„ XXXV. Podstępny strzał	106
„ XXXVI. Zwiastun zbrodni	107
„ XXXVII. Cenna wskazówka	110
„ XXXVIII. Kałuża krwi	112
„ XXXIX. Kula ze znakami	114
„ XL. Czarne jastrzębie	116
„ XLI. Straszliwe widziadło	118
„ XLII. Czterech Indjan	120
„ XLIII. Tajemnica kobiety	123
„ XLIV. Przejęty list	127
„ XLV. Na granicy rozpaczy	131
„ XLVI. Napad wilków	133
„ XLVII. Kartka pisana krwią	136
„ XLVIII. W porę	138
„ XLIX. Daremne pogrożki	141
„ L. Podejrzana wizyta	143
„ LI. Siostrzany pocałunek	146
„ LII. Zemsta Isadory	149
„ LIII. Anioł prerji	151
„ LIV. W męczącym oczekiwaniu	154
„ LV. Sąd Lyncha	157
„ LVI. Nieoczekiwana przeszkoda	159
„ LVII. Znowu przeszkoda	162
„ LVIII. Indjanie	165
„ LIX. W domu zabitego	167
„ LX. Gniadosz	170
„ LXI. Ślady	172
„ LXII. Zamiana	176
„ LXIII. Na straży	178
„ LXIV. Przeróżający widok	180
„ LXV. Obrońcy	182
„ LXVI. Sąd	184

	str.
Rozdział LXVII. W ogniu pytań	186
„ LXVIII. Słowo podsądnego	189
„ LXIX. Pogoń	192
„ LXX. Dalsze zeznania	194
„ LXXI. Ostatni świadek	198
„ LXXII. Ucieczka	201
„ LXXIII. Pojmany zbrodniarz	202
„ LXXIV. Nie umarł jeszcze	204
„ LXXV. Samobójstwo	205
„ LXXVI. Zdobyte szczęście	207



PROLOG.

Niespodziewany tętent kopyt końskich zbudził teksańskiego jelenia. Była północ. Zwierzę podniosło głowę, miało się na baczności. Dziwny odgłos doleciał znowu, ale tym razem dźwięczały już na kamienistym gruncie podkowy. Jeleń skoczył na równe nogi i jał pędzić przed siebie, ale po pewnej chwili przystanął i obejrzał się zaciekawiony, kto mógł mu przerwać tak słodki sen w bezbrzeżnej prerji.

W świetle księżyca dostrzegł wyraźnie postać swego najzawziętszego wroga - człowieka. Wróg ten jechał konno i zbliżał się coraz bardziej. Niezwykły jednak wygląd jeźdźca zdumiał niepomiernie stepowe zwierzę.

Oto koń miał na sobie siodło, strzemiona, wędzidło tak, jak wymagał tego porządek rzeczy, ale jeźdźcowi stanowczo brakowało czegoś. O, Boże cóż to za cudaczne zjawisko? Jeździec bez głowy!

Nawet tak naiwne stworzenie jak jeleń, dostrzegło ten brak głowy, i nie mogąc pojąć, co właściwie to wszystko oznacza rzuciło się do ucieczki, poszło wplaw przez rzekę i dopiero odetchnęło spokojnie, gdy między niem a okropnem straszidłem stanęły na przeszkodzie nurty Leony.

Tymczasem jeździec bez głowy jechał sobie spokojnie i nie zwracając uwagi na wylęknione zwierzę, oraz nie spiesząc się zbytnio, docierał do rzeki. Milczał, jakby w głębokiej zadumie i nie wzbraniał koniowi skubnąć po drodze to tu, to tam szczyptę smacznej trawki. I nawet, gdy koń przestraszony wyciem stepowego wilka zaczął chrapać i rzucać się w bok, tajemniczy jeździec nie zdradził ani jednym ruchem swojej niecierpliwości. Jakdyby pograżył się cały w myślach. Wiatr rozwiewał mu płaszcz, a on odbywał swą podróż w prerjach, w nocy, pod gwiazdzistym niebem, wśród dźwięków rozspiewanych cykad.

Lecz nagle koń zarżał wesoło i przyśpieszył kroku. Połechtał mu nozdrza świeży oddech pobliskiej rzeki. Za chwilę miał pod sobą przezroczyste fale potoku. Nogi jeźdźca zanurzyły się w wodzie po kolana. Koń ugasił pragnienie, wypłynął na drugi brzeg i otrząsnął z siebie pył wodny. Zadźwięczały strzemiona i znowu z pyłu wodnego jak z obłoku, wyłoniła się postać tajemniczego jeźdźca bez głowy.

Widocznie jeździec teraz uderzył konia ostrogami, gdyż ten, nie zatrzymując się dłużej, ruszył naprzód z kopyta.

A w dali rozpościerały się sawanny. Długo jeszcze w tajemniczym świetle księżyca majaczyła postać niezwykłego jeźdźca bez głowy, lecz zacieśniając się coraz bardziej na tle czystego nieba, znikła, jak senne zjawisko.

I. Wypalone stepy.

Na rozległej równinie Teksasu, w złotych promieniach południowego słońca pojawiła się karawana, złożona z dziesięciu wozów z białymi płóciennymi budami. Dziwne było to zjawienie się karawany w bezludnym stepie, zdala od jakiegokolwiek ludzkiego siedliska. Zapewne wozy te należały do emigranta, który dążył nad brzegi Leony, tam, gdzie niedawno powstało kilka kolonji.

Karawana poruszała się powoli, gdyż wozy były naładowane sprzętami domowymi a nawet rzeczami zbytkownymi. Ciągnęły je dobrze najedzone muły. Za wozami szli czarni niewolnicy i mulaci. Z przodu jechała karetka, zaprzężona w parę gładkich, połyskujących sierścią mułów. Na [koźle siedział stangret w liberji. Świadczyło to wymownie, że orszak należy nie do biednego, północno-amerykańskiego emigranta, który [poszukuje lepszej dla siebie ziemi, lecz — do zamożnego przesiedleńca z południa, który przenosi się do zakupionego zawczasu majątku.

Istotnie, nowy plantator przybył do Indjanoli nad zatoką Matagorda i obecnie dąży do swojej nowo nabytej majątności. Był to wysoki szczupły pan o dumnym i surowym wyrazie twarzy. Miał na sobie koszulę z najdelikatniejszego płótna, czarną, jedwabną kamizelkę, dość luźną alpagową marynarkę, nankinowe spodnie, buty z delikatnej skóry i szerokoskrzydły kapelusz. Jakkolwiek ubiór

jego znamionował prostotę, to niemniej jednak był bardzo kosztowny.

Woodley Pointdekster jechał konno, a obok, również konno, syn jego dwudziestoletni młodzieniec i o sześć lat starszy kuzyn plantatora.

Otwarta, pełna radosnej pogody twarz syna była jakby kontrastem dumnego wyrazu twarzy ojca i prawie ponurego wyglądu kuzyna. Młodzieniec miał na sobie ubiór błękitny, na głowie—kapelusz panama, brat zaś jego cioteczny, dymisjonowany kapitan—coś w rodzaju wojskowego mundur z ciemno-granatowej materji i czapkę. Razem z nimi jechał czwarty jeździec, który o ile wnosić można było z ordynarnych rysów twarzy, ubrania i bata, trzymanego w ręku, był dozorcą czarnych niewolników.

W karecie siedziała córka plantatora, typowa piękność kreolska i — jej służąca murzynka.

Woodley Pointdekster przenosił się ze swoimi niewolnikami z nad brzegów Missisipi, gdzie miał plantacje trzciny cukrowej, do południowo-zachodniego Teksasu.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Zmęczeni podróżą i spiekotą dnia jeźdźcy milczeli. Również w milczeniu szli murzyni, bardziej przywykli do żaru i niewygód. Uroczyste milczenie jakby pogrzebowego orszaku przerywało tylko czasami świszczące, jak strzała, uderzenie bata i nawoływanie poganiacza mułów. Wozy sunęły powoli, gdyż z braku wytkniętej drogi musiano się kierować śladami wozów, które przedtem jechały tędy.

zostawiając po sobie zmiętą trawę. Plantator chciał jeszcze za dnia stanąć u celu podróży i dlatego nie zatrzymywał się nigdzie nawet w najbardziej upalne godziny.

W tem znajdujący się nieco z przodu dozorca niewolników zatrzymał konia, jak gdyby zauważył na drodze nieoczekiwaną przeszkodę, poczem zakręcił na miejscu i pomknął z powrotem.

— Co się stało, mister Sansom? — zapytał plantator.

— Pożar wyniszczył wszystką trawę w prerji.

— Czy i obecnie płonie step? Dymu zdaje się nie widać.

Mówiąc to Woodley Pointdekster spojrział troskliwie w kierunku karety.

— Nie, sir, pożaru już niema.

— Więc cóż stoi na przeszkodzie? Przecież z jednakowym skutkiem odbywać możemy podróż i w wypalonym stepie.

— Straszy pan tylko ludzi niepotrzebnie, — rzekł kapitan Calchun. — Hej! śpieszcie się tam! Prędzej! — krzyknął w stronę murzynów.

— Ale w jaki sposób odnajdziemy dalszą drogę, panie kapitanie? — odparł dozorca.

— Czyśmy zblądzili z drogi?

— Obawiam się że tak. Wszystka trawa wypalona. Śladów kół nie można już dojrzeć.

— To nic strasznego, znajdziemy drogę z tamtej strony wypalonej przestrzeni.

— A jeżeli „tamtej” strony niema zupełnie? — zapytał z prostotą dozorca.

— Naprzód, murzyni! — zawołał kapitan, nie zwróciwszy uwagi na wątpliwości dozorca.

Koła wozów zaskrzypiały raźniej, ale po chwili cały orszak zatrzymał się znowu. Tuż przed nimi widać było beznadziejnie pustą, wypaloną do cna, czarną równinę. Nawet niebo, odzwierciadlając w sobie tę ponurą pustynię, przybrało specjalny odcień. Ponieważ była to jesień, przeto wyschłe kępy drzew i łodygi kwiatów stały się obfitą strawą ognia. Wkrótce też sprawdzono, że dozorca miał słusność, bo śladów kół, któremi kierowano się⁵ dotychczas, nikt już nie mógł odszukać.

— I cóż my teraz poczniemy? — zapytał bezradnie plantator.

— Najspokojniej w świecie pojedziemy sobie dalej, — rzekł kapitan.

— A jeżeli zabłądzimy, Kasjusz? To co wtedy?...

— Niemożliwe. Gdzieś przecie ta pustynia ma swoją granicę!

— Więc dobrze, prowadź nas, kiedy wiesz tak dobrze.

— Bądź spokojny, wuju. Znajdowałem się nieraz w daleko gorszym położeniu i zawsze umiałem znaleźć wyjście. Podążajcie tylko za mną!

Spojrząwszy ukradkiem na karete, z której wyjrzała piękna twarzyczka, kapitan ścisnął konia ostrogami i śmiało wysunął się naprzód. Znowu

świsnęły baty, znowu rozległo się cłapanie kopyt i zaskrzypiały koła wozów.

Ale zanim przejechali milę karawana zatrzymała się tym razem już z rozkazu kapitana, który stracił poprzednią pewność siebie. Widok okolicy zmienił się trochę. Podróżujący ujrzeli przed sobą, zamiast równiny, zagony, poprzerzynane szerokimi wgłębieniami. Przed pożarem rosły tu wspaniałe drzewa, ale ogień pochłoniął ich listowie tak, że sterczały już tylko pnie osmolone.

— Zmyliłeś drogę? — zapytał plantator swego kuzyna.

— Nie, wujku, nie. Muszę tylko rozpoznać okolicę. Naturalnie trzeba skierować się tą doliną. Za mną, murzyni!

Zeszli w dół, wdrapali się potem na wzgórza i znowu przystanęli.

— Więc cóż, Kasjuszu, zabłądziliśmy? — ponownie zapytał plantator.

— Nie sędzę, wujku, — odrzekł kuzyn niepewnym głosem. — Niech licho porwie, z tego pogorzeliska nie wydostaniemy się! Zresztą poczekajcie. Rzeka powinna być w tej stronie, jedziemy we właściwym kierunku.

Zapewne wypaloną prerją niedawno przejechała taka sama karawana, bo na ziemi widać było świeże ślady mułów i koleiny po kołach powozów. Prawdopodobnie karawana ta skierowała się w stronę fortu Inge, wobec czego należało podążać za nią. Po rozwiązaniu tej zagadki kapitan uspokoił się zupełnie. Lecz jakież było jego zdumienie,

gdy zauważył, że tak szczęśliwie odkryte ślady to nie innego, jeno ślady karawany jego wuja! Okazało się, że zblądzili z drogi naprawdę i krążyli na jednym miejscu.

II. Śladami lasso.

— Nasze własne ślady! — zakrzyknął Kasjusz i cisnął jakieś przekleństwo.

— Coś powiedział, Kasjuszu? Czyśmy doprawdy?...

— Niestety, wuju, jedziemy własnymi śladami. Proszę spojrzeć, oto znak złamanej podkowy naszego konia, oto ślady nóg naszych murzynów, a oto wzgórze, z którego zjechaliśmy w dół po naszym ostatnim postoju. Zrobiliśmy ze dwie mile napróżno.

Na twarzy kapitana odmalowało się zmieszanie, smutek i wstyd. Wiedział, że z jego winy karawana została bez doświadczonego przewodnika, którego wynajęto umyślnie w Indjanoli, a który dzięki porywczoci kapitana i jego wymysłom odmówił dalszej podróży. Wstyd więc było kapitanowi, że zbytnio polegał na samym sobie i naraził całe towarzystwo na przykre położenie.

Otóż bezwątpienia zmylili drogę, a plantatorowi przestała uśmiechać się myśl o przybyciu na miejsce przed zapadnięciem nocy. Pointdeksterowi zaczęło głównie chodzić o to, że karawana jego

może się teraz narazić na nieprzyjemne przygody, a zwłaszcza, jeśli wypadnie nocować w pustyni, lub co gorsza błądzić tak kilka dni, to muły zostaną bez wody.

Zawstydzony swem niepowodzeniem Kasjusz zrzekł się dalszej roli przewodnika. Urządzono więc naradę, jakie należałoby przedsięwziąć środki, aby wydostać się z tej przykrej pustyni, której widok ponury i beznadziejny odmalował się nie tylko na niebie, ale i na twarzach podróżujących. Czarne jastrzębie jak zwiastuny złych rzeczy, szybowwały nad karawaną, przejmując lękiem nawet murzynów.

Lecz nagle w dali ujrzano jeźdźca. Twarze wszystkich ożywiły się, oczy zapłonęły nadzieją.

— Zdaje się, że podąża on tutaj? zapytał plantator.

— Prosto do nas jedzie ojciec — zawołał Henryk i zdjął kapelusz, wymachując nim, ażeby zwrócić uwagę jeźdźca.

Lecz znaki te były zbyteczne. Dojrzawszy w prerji stojącą bezradnie karawanę, jeździec skierował się do niej galopem i wkrótce podjechał do plantatora i jego towarzyszy.

— Jakiś meksykańczyk — szepnął Henryk, przypatrując się jego ubiorowi.

— Tym lepiej, — odrzekł plantator — potrafi nam wskazać drogę.

— Oprócz ubrania, nic on nie ma w sobie meksykańskiego — zaprzeczył Kasjusz Calchun. — A zaraz przekonamy się. Buenas dias cavallero!

Esta Usted Mexicano? (Witamy pana! Pan jesteś meksykańczykiem?)

— Nie, — odrzekł nieznajomy, — nie jestem meksykańczyk. Jeżeli zyczycie sobie państwo, mogę mówić z wami w języku hiszpańskim; lecz sądzę, że lepiej porozumiemy się, jeżeli przemówię do was w waszym ojczystym języku angielskim.

— Myśmy amerykańanie, sir — odparł urażony Pointdekster. — Amerykanie ze Stanów Południowych.

— Właśnie widzę to, patrząc na pańską swiętę, — rzekł nieznajomy, rzuciwszy okiem na czarnych niewolników. Na twarzy jego przemknęło coś w rodzaju odrazy. — Widzę również, żeście państwo nie zwyczajni podróżować w prerjach i zblądziliście.

— Istotnie, sir. Czy nie byłby pan łaskaw wskazać nam drogę?

— Pocóż tu zaraz łaskawość. Jadąc prerją, wpadłem na wasze ślady, a ujrzawszy, że zablądziliście, podążyłem za wami, aby wskazać państwu drogę.

— Dziękuje panu bardzo, sir. Pozwoli pan grzedstawić się: jestem Woodley Pointdekster z Louissiany, właściciel majątku, który nabyłem nad brzegiem Leony w pobliżu fortu Inge. Sądziłem, że będziemy mogli znaleźć się u celu podróży przed nastaniem nocy. Czy to możliwe, panie?

— Najzupełniej, ale pod warunkiem, że zastosujecie się do moich wskazówek.

Jakby chcąc zapoznać się z miejscowością, nieznajomy oddalił się o kilka kroków i stanął na kamienistym wzgórzu. Jego piękny gniady rumak o wspaniałej grzywie i ogonie sprawił wrażenie konia arabskiego szeika. Jeździec zaś liczył nie więcej nad dwadzieścia pięć lat, miał na sobie meksykańską jedwabną marynarkę, wąskie spodnie i buty z bawolej skóry. Głowę mu okrywał kapelusz ceratowy z galonikiem.

Firanki w oknie karety rozchyliły się i wyjrzała stamtąd zaciekawiona Luiza Pointdekster. Nigdy jeszcze w rzeczywistości nie widziała takich „bohaterów”. Gdyby nieznajomy wiedział, jak bardzo podobał się młodej kreolce, byłby z tego dumny ogromnie.

— Doprawdy nie wiem, jak państwu wskazać drogę — rzekł mniemany „bohater”. — Choć znam ją dobrze. Ale i ja muszę jechać ku brzegom rzeki Leony o pięć mil za fortem. Więc podążajcie państwo za mną, moimi śladami. Żegnam, gentlemani!

Powiedziawszy to, nieznajomy uderzył konia ostrogami i pomnął galopem. Tak nieoczekiwany odjazd wydał się plantatorowi niegrzecznym, ale zaledwie pomyślał o tem, gdy spostrzegł, że nieznajomy pędzi z powrotem.

— Obawiam się, — zawołał jeździec, — aby ślady mojego konia nie pomieszały się ze śladami koni indyjskich, które przejeżdżały tędy po pożarze. A chociaż mój koń podkuty, to czyż potraficie

państwo odróżnić jego ślady od śladów kopyt dzikich koni, zwłaszcza wśród masy lotnego popiołu?

— Cóż w takim razie mamy robić? — zapytał plantator.

— Przykro mi, że nie mogę was prowadzić. Lecz wiozę do fortu terminową depeszę i nie wolno mi zatrzymywać się. Zwracajcie państwo uwagę na to, aby mieć słońce po prawej ręce i jedźcie prosto aż do napotkania na drodze wysokiego cyprysu. Drzewo to rośnie nad brzegiem rzeki, w pobliżu miejsca przeprawy.

Jeździec zamierzał znowu odjechać, lecz na chwilę zatrzymał się: oto ujrzał w oknie karety dwoje zwróconych na niego oczu i przepiękną twarzyczkę panienki. Mimowoli wpadł w zachwyt, nie mogąc go w żaden sposób ukryć.

— Niema pan za co dziękować — mówił do plantatora, który dziękował mu gorąco za udzielenie informacji,—bo wszak zostawiam państwo na łasce dość ogólnych wskazówek, nie będąc pewnym, czy wkońcu nie zabłądzicie. Ale nie mogę zwlekać.

— Sądzę, że teraz łatwo nam będzie znaleźć drogę według słońca—zauważył Pointdekster.

— Nie bardzo, — zaprzeczył młodzieniec, patrząc w niebo. — Z północy nadciągają chmury. Słońce może ukryć się wcześniej, zanim dotrzecie państwo do cyprysu. Lecz wiecie co? Najlepiej będzie, jeżeli skierujemy się śladami, jakie zostawi moje łąso.

Rzekłszy to, jeździec rozwinał przywiązane jednym końcem do siodła łąso, zdjął kapelusz,

skłonił się, uderzył konia i znowu pomknął prerją. Sznur długości dwunastu yardów zostawiał na pulchnej powierzchni prerji ślad, jakdyby pełzało tedy ogromne cielsko węża.

— Dziwny człowiek,—rzekł plantator, patrząc za odjeżdżającym, — szkoda, że go nie zapytał o nazwisko.

— Nie wielka szkoda—mruknął kapitan, którego uwadze nie uszło spojrzenie nieznajomego, rzucone na karete. — Napewno wymieniłby jakie zmyślane nazwisko. Takich, jak on elegantów jest wielu w Teksasie, a wszyscy oni zmyślają sobie nazwiska dla tym większego powodzenia, jeżeli nie dla innych powodów.

— Niesłusznie oceniłeś go, Kasjusz,—odparł młody Pointdekster. — Jest to bezwątpienia gentleman, należący do przyzwoitej rodziny.

— Gentleman w takim błazeńskim stroju! — zawołał kapitan, a, zauważywszy, że jego piękna kuzynka wyjrzała z okna i śledzi oczami nieznajomego jeźdźca, rozgniewał się jeszcze bardziej. Podjechał do karety i szepnął półgłosem:

— Cóż to, Luizy, chętnie byś pomknęła za tym oto kawalerem? Chcesz, to ci swego konia odstąpię?

Słowa te uraziły panienkę, ale zaśmiała się tylko dzwięcznie i cofnęła w głąb karety. Kapitan był bardziej obrażony.

— Nie wątpię, że chciałabyś zamienić słów kilka z tym elegackim jeźdźcem? Czy podobał ci się jego ubiór? Poznać ptaka po piórkach. Ale



uda mi się jeszcze w tych pawich piórkach odkryć zwykłą wronę.

— Wstydz się, Kasjusz, — rzuciła panienka.

— A ty się nie wstydzisz myśleć o tym wystrojonym najemniku? Nie wiesz, że to jest prosty służący z fortu, kurjer!

— Kurjer! Ach, jakżebym pragnęła, aby mi taki kurjer przywoził listy!

— Więc proszę powiedzieć mu o tem. Mój koń gotów do usług.

— Ach, jakiś ty dziwny! Przypuśćmy, że zgodziłabym się na twoją propozycję, ale czy sądzisz, że twój ociężały koń dopędziłby tego gniadego rumaka? A nawet zanim byś zdążył osiodłać swego gniadosza, tamten zniknąłby zupełnie z oczu. Nie, Kasjusz, nie dogonię go, chociaż pragnęłabym bardzo...

— A cóż, gdyby ojciec słyszał te słowa?

— I twoje również! — rzekła panienka z wyrzutem i przestała się śmiać. — Chociaz jesteś moim ciotecznym bratem a ojciec sądzi, żeś doskonały — ja myślę inaczej. Jesteś tylko bratem ciotecznym i kapitanem Kasjuszem Calchunem i niczem więcej. Rad twoich nie potrzebuję i proszę w przyszłości nie robić mi takich wymówek, jak te, któremi mnie zarzuciłeś przed chwilą. Sama jestem odpowiedzialna za moje myśli i postęпки, a jeżeli ulegam komu, to w każdym razie nie tobie.

Oczy młodej kreolki zabłysły gniewem, rzuciła się w głąb karety i zasłoniła okno firanką na znak, że rozmowa skończona.

III. Znaki, wskazujące drogę.

Tymczasem podróżujący jechali spokojnie naprzód śladami lassa, nie obawiając się już zbłądzenia z drogi.

Pointdekster był kontent, że uciążliwa podróż wkrótce się skończy i że dotrą nareszcie do nowonabytego majątku, którego widok stał mu w wyobraźni i napawał radością. Zapomniawszy już o swojej zwykłej napuszoneści, plantator żartował to z tym, to z owym i, unosząc się nad swoim patryjarchalnym traktowaniem niewolników, znajdował, że skasowanie — niewolnictwa byłoby niedorzecznością.

Wesoły humor Pointdekstera udzielił się również murzynom, którzy mniej lubili swego pana, ale lękali go się bardziej niż Boga. Zresztą plantator był stosunkowo dobrym gospodarzem i panem, bo nie męczył ich dla przyjemności; niewolnicy jego byli syci i odziani dobrze, skóra ich połyskiwała dzięki regularnie otrzymywanym porcjom sardła do nacierania i nie widać było na niej śladów bata. A to miało duże znaczenie dla właściciela niewolników z nad brzegów Missisipi.

Przewidywanie nieznajomego jeźdźca sprawdziło się, bo słońce zaszło za chmury, a podróżujący nie dotarli jeszcze do umówionego cyprysu.

— Ciemno, jak późnym wieczorem, chociaż zaledwie trzecia godzina, — rzekł plantator, patrząc na zegarek. — Gdyby nie ten młodzieniec, który nam tak dowcipnie wskazał drogę, błądzilibyśmy

tutaj całą noc i napewno musielibyśmy rozłożyć się na tym czarnym popiele.

— Nie trzeba tryumfować zawczasu—zauważył kapitan,—bo może będziemy musieli nocować w stepie.

— Tak sądzisz, Kasjusz?

— Naturalnie, nieznajomy mógł nam umyślnie wskazać fałszywą drogę. Przecież zrobiliśmy już za jego śladem około pięciu mil, a żadnego drzewa nie widać wcale.

— Lecz cóżby mu na tem zależało? Jakież powód?

— O powód nie trudno.

— Słuchamy, proszę mówić — rozległ się ironiczny głos Luizy.

— Gotowa jesteś słuchać zawsze, gdy mowa o nieznajomym,—mruknął kapitan.—Ale cokolwiek powiem, nie uwierzysz.

— Zależy co powiesz. Taki wojak i doświadczony podróżnik, jak ty, nie omyli się.

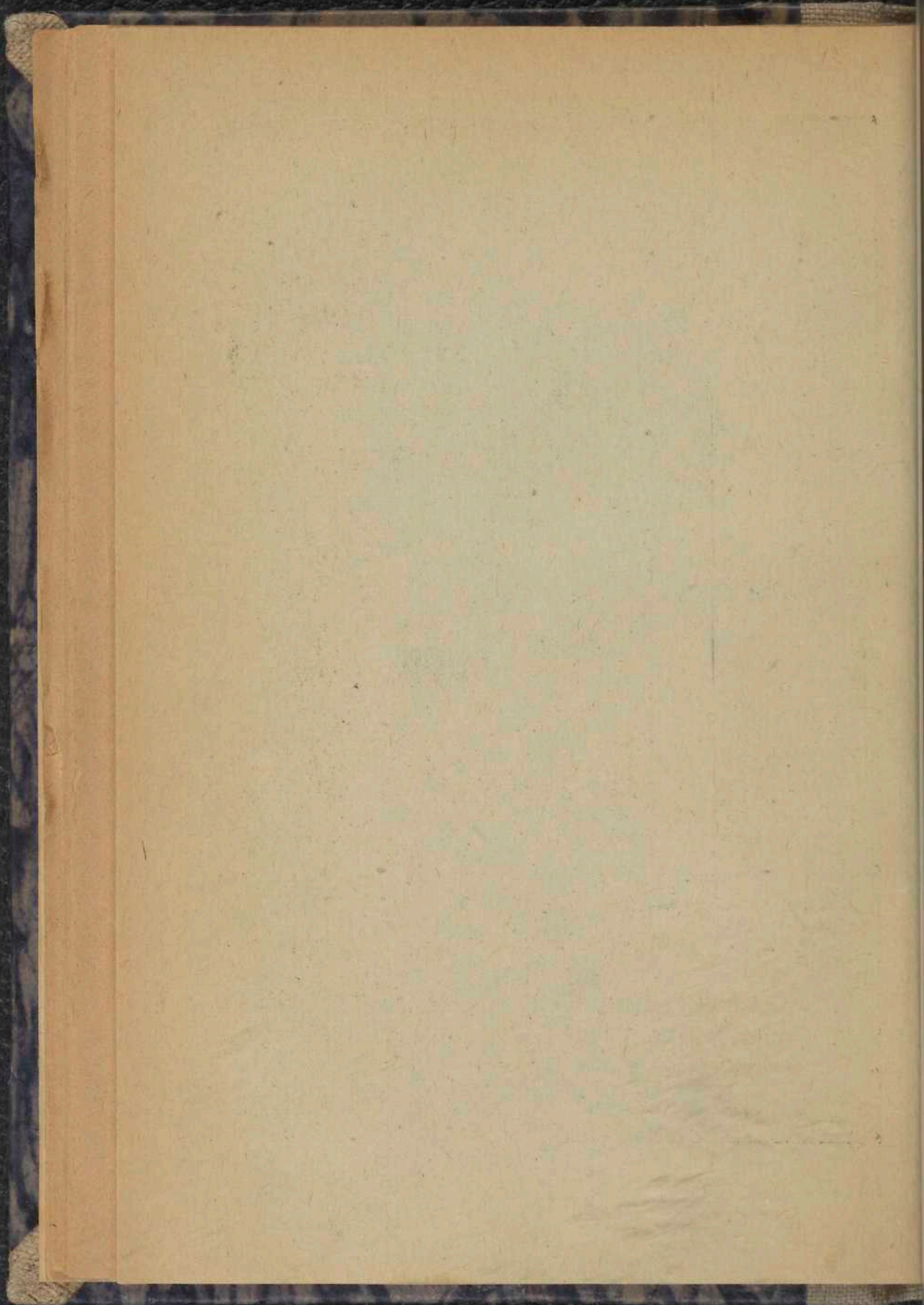
Kapitan zagryzł wargi i zamilkł, ale nalegany przez zaciekawionego plantatora zaczął:

— Niejednokrotnie zdarzało się, że na duże karawany napadali...

— Indjanie? — zapytał z przestrawieniem Pointdekster.

— Tak, a czasem i biali. Nie trudno wciągnąć sobie na głowę grzywę z końskiego włosia i pióra. Przypuszczam, że to zbytne zaufanie, jakim obdarzyliśmy nieznajomego jeźdźca zemści





się na nas i zostaniemy ograbieni przez bandę takich właśnie najemnych indjan.

— Sądysz, Kasjusz, że ten jeździec wciągnął nas w pułapkę?

— Nie mogę twierdzić napewno, ale to możliwe.

— Lecz nieprawdopodobne, — rozległ się znowu ironiczny głosik z karety.

— Rzucasz niesłuszne podejrzenia na nieznanego, — rzekł Henryk — lecz proszę spojrzeć!

Wskazał na ocalały od pożaru kaktus na skraju drogi. Do kaktusa była przyczepiona karteczka.

— A otóż mamy cyprys! — zawołał Henryk, pochylając się nad karteczką, na której była narysowana ręka, wskazująca kierunek.

— Nic nie widać, — rzekł Kasjusz, patrząc we wskazanym kierunku. — Niegodziwiec, kpi sobie z nas.

— Żle mówisz, Kasjusz, — zaprzeczyła panienka z karety, — spójrz przez lornetkę, a napewno zobaczysz to drzewo.

Kapitan uwierzył słowom kuzynki, wiedząc, że mówiła prawdę.

— Istotnie, widać drzewo, — powiedział Pointdekster. — Mister Sansom, proszę skierować wozy w tę stronę!

Niezadowolony kapitan uderzył konia ostrogami i pomknął naprzód.

— Pozwól mi tę kartkę, Henryku, — rzekła cichutko Luiza, a gdy Henryk spełnił jej prośbę, przeczytała:

— „Maurice Gerald“.

Ukryła kartkę na piersiach i zaczęła snuć myśli.

— Ktokolwiek jesteś, skądkolwiek przychodzisz i dokąd pojedziesz, losy nasze odtąd związane są ze sobą nierozłącznie. Wiem o tem i czuję to całym sercem...

IV. Tajfun.

Wylęknione głosy brata i ojca wyrwały Luizę z zadumy.

— Patrz, patrz!

— Gdzie, Henryku?

— Tam, gdzie wozy!

— Cóż to takiego?

— Jakby trąba morska! — rzekł kapitan. — To dziwne, wszak jesteśmy zdaleka od morza, a ja nigdy nie słyszałem o podobnych zjawiskach w prerji.

— Jest ich kilka i suną gwałtownie, zbliżając się do siebie i rozchodząc. Mam wrażenie, jakby to były czarne marmurowe obeliski.

— Olbrzymy — ludojady z jakiegoś drugiego świata, którym zachciało się teraz spacerować po prerji! — zaśmiał się sztucznie kapitan, chcąc ukryć przejmujący go strach.

Istotnie trwoga mogła ogarnąć każdego. Z północy parło naprzód kilka czarnych słupów, zmieniając co chwila swe kształty, prześlizgując się

koło siebie i pędząc w gwałtownych podskokach i przegięciach. Z piersi ludzkich wyrwał się krzyk przerażenia, ciała mułów przebiegły dreszcze, konie rżały lękliwie i prychały. Od strony nadciągającej burzy piaszczystej dochodził jakiś przeraźliwy szum, jakby spadł olbrzymi wodospad, a czasem słychać było jakby salwę armatnią, to znowu dalekie głucho przewalanie się gromów. Huk ten potężniał coraz bardziej, zwiastując ponurym głosem bliską już grozę niebezpieczeństwa.

Nagle wystraszeni podróżni usłyszeli czyjś doniosły głos i — ku zadowoleniu swemu ujrzeli zbliżającego się do nich z przeciwnej strony jeźdźca. Koń i jeździec byli czarni, jak węgiel. Ale mimo to poznano w nim, nieznanomego, który wskazał drogę. Poznała go najpierw Luiza.

— Naprzód! — krzyknął jeździec. — Prędzej, o ile możliwości prędzej!

— Czyż grozi nam jakie niebezpieczeństwo? — zapytał plantator.

— Tak, północny tajfun! Tajfuny nie zawsze są niebezpieczne, ale ten jest straszny. Śpieszcie się państwo, ażeby ocaleć. Czy widzi pan te czarne kolumny? To zwiastuny burzy. Całe niebo zawalone chmurami. Nie straszylbym was na próżno, lecz ta czarna chmura grozi śmiercią. Prędzej, prędzej, póki czas!

Ludzi i zwierzęta nie trzeba było popędzać, gdyż panika dodała nóg wszystkim. Karetą znajdowała się, jak zwykle na przedzie. Nieznajomy jeździec podążał w tyle obozu, zatrzymując się co

chwila i obserwując uważnie chmurę oraz wirujące piaskowe słupy.

— Czy pańskie muły nie mogą już iść prędzej? — zapytał plantatora.

— To niemożliwe.

— W takim razie wszystko na nic. Tajfun nadciąga tak szybko, że żadną miarą nie zdążymy uciec.

— Więc niech pan powie, co mamy robić, sir? Czyż ratunku niema?

Nieznajomy zamyslił się. Rzucił okiem na wozy.

— Jest! — krzyknął nagle. — Burzy nie unikniemy, ale możemy uniknąć grożącego nam niebezpieczeństwa. Niech pan rozkaże jaknajprędzej związać zwierzętom głowy, bo w przeciwnym razie oślepną albo oszaleją. Ludzie zaś niech się ukryją w wozach i zamkną szczelniej budy.

Podczas gdy Pointdekster wydawał rozkazy, nieznajomy skoczył do karety.

Proszę zaraz zasłonić firanki! — zawołał, pochylając się do okna. — Stangret i wy, panowie, — zwrócił się do Henryka i kapitana — musicie również wejść do karety. Miejsca starczy dla wszystkich. Burza dosięgnie nas za dziesięć minut. Proszę o pośpiech!

— A cóż pan zrobi ze sobą? — zapytał plantator.

— Mniejsza o mnie. Przywykłem do takich niebezpieczeństw i potrafię ratować się. Ale nie traćcie państwo czasu. Tajfun za chwilę zasypie nas kurzem.

Ojciec i syn posłusznie weszli do karety, ale kapitan długo jeszcze przekomarzał się, nie chcąc iść za przykładem tamtych. Kasjusz w rzeczywistości nie był tchórzem i nie lękał się wrogów, ale nadciągająca burza i turkot piorunów przejmowały go nieopisaną grozą. Niebo i ziemia połączyły się teraz ze sobą i we wspólnym gniewie występowały przeciwko ludziom. Niebezpieczeństwo było tak wielkie, że kapitan wbrew własnej woli musiał zsiąść z konia i wejść do karety.

Trudno opisać to wszystko, co się później działo. Nieprzejrzana ciemność ogarnęła świat cały. Jeden z piaskowych słupów wpadł na wozy, rozbił się o nie i zasypał je deszczem czarnego pyłu. Zrazu zrobiło się duszno i gorąco, jak w rozpalonym piecu, a potem wionął lodowaty, mroźny wicher. Tajfun zaskoczył karawanę w sferze podzwrotnikowej, a podróżnym zdawało się, że idą na nich olbrzymie góry lodu gdzieś na północnym oceanie. Wycie huraganu było tak silne, że siedzący w karecie nie mogli usłyszeć ani jednego słowa. Zwierzęta skuliły się i stały spokojnie. Powietrze przesycił piasek i popiół, bijący w górę z wypalonego stepu. Było duszno. Burza szalała z górą godzinę, podróżni nie mieli odwagi wychylić się z karety.

Nagle rozległ się głos nieznanego:

— Możemy jechać dalej. Burza przeciągnie się do wieczora, lecz w tej chwili nic nam już nie grozi. Wiatr rozwiał wszystkie popioły, więc aż do Rio Grande droga będzie zupełnie czysta.

— Dziękuję panu, sir. Pan ocalił nam życie. Proszę nareszcie powiedzieć, komu to zawdzięczamy?

— Jestem Maurice Gerald! Proszę zapytać o łowcę mustangów—na forcie każdy mnie zna— odrzekł jeździec, poczem dodał, wskazując przed siebie:

— Otóż w dali widać cyprys, od którego droga was doprowadzi do miejsca bez mojej pomocy. Tam w dali ujrzycie państwo powiewającą na szczycie fortu chorągiew. Staniecie u celu przed nocą. Ale mnie już czas w drogę i dlatego żegniam państwa.

Powiedziawszy to, jeździec ścisnął ostrogi i szalony jego rumak pomknął jak strzała.

V. Zagroda łowcy mustangów.

Wzdłuż rzeki Leony ciągną się wspaniałe fałiste prerje. Monotonny ich wygląd urozmaicają gęste zarośla akacji, kępy kaktusów, drzewa woskowe, aloesy, a nawet w tych miejscach, gdzie grunt jest bardziej żyzny rosną wiązy, dęby i cytryny. Niebo jest zawsze szafirowe, pozbawione chmur, a woda w rzece przezroczysta.

Dla ludzi cywilizowanych obca jest ta okolica. Natomiast włóczą się tutaj koczujące plemiona czerwonoskórych, mają swe siedliska jelenie, antylopy, króliki i grożące człowiekowi na każdym

kroku węże jadowite, tarantule, skorpiony, straszniejsze, niż meksykańskie dzikie koty, pумы, jaguary i teksańskie wilki.

Ale na równi z tymi dzikimi wrogami ludzkiego życia są tu zwierzęta najszlachetniejszej rasy — konie, zwane mustangami, które żyją sobie na wolności i nie znają ani siodła, ani wędzidla. Na takie to dzikie konie, czyli mustangi, polował Maurice Gerald.

Miał on swoją zagrodę nad brzegiem rzeki Alamo, która wpada do Leony. Dom był zbudowany z pni juccowych, dach pokryty liśćmi tej rośliny, ściany zaś obite skórą koni. Chata nie miała okien, tylko drzwi zbite z desek i obciągnięte również skórą. Za domem było coś w rodzaju szopy, okrytej liśćmi, a wokół niej szeroko ogrodzona przestrzeń. Pod tą szopą stało kilkanaście koni, zapewne schwytanych niedawno, bo dzikie ich ślepie i gwałtowne ruchy świadczyły o tem, jak trudno im jeszcze pogodzić się z otoczeniem i więzami niewoli.

Wewnątrz chaty na ścianach wisiały różnokolorowe skóry, skórą również było zasłane łóżko polowe. Obok stał stół i kilka krzeseł. Gdyby nie etażerka z książkami, i gazety rozłożone na stole oraz wiszące na ścianie nieprzemakalne palto, myśliwska strzelba, róg i gwizdek, miałyby się wrażenie, że zamieszkuje tu jakiś niekulturalny człowiek.

W danej chwili w chacie znajdowały się dwie żywe istoty: rudowłosy Irlandczyk, Felim, który

był służącym Geralda, i — pies. Felim miał na sobie jedwabną spłowiałą kurtkę, irlandzkie buty, czerwoną szarfę i duży szeroki kapelusz. Zwracał się właśnie do leżącego pod kominem psa z następującą przemową:

— Otóż słuchaj Tara, skarbie mój. Sądzę, że nie byłbyś przeciwny temu, aby wrócić do kraju, do naszego starego zamczyska. Tam miałeś lepiej, niż tutaj. Wychudłeś gorzej aż znać ci każde źeberko. Bóg raczy wiedzieć, kiedy naszemu panu zechce się wrócić do ojczyzny. Ale nie martw się, Tara. Pan nasz wkrótce ma jechać do kolonii i zabierze nas ze sobą. Chociaż taką miejmy pociechę. Już trzy miesiące upływa, jak nie byłem na forcie, a może spotkam tam znajomych wśród przyjezdnych irlandzkich żołnierzy. Oni naturalnie uraczą swego ziomka i tobie coś się oberwie. Jak sądzisz, Tara?

Pies zaskomlał cichutko, jakby wyrażał swą zgodę.

— Chciałbym sobie zaraz zwilżyć gardziółko — ciągnął Felim, patrząc chciwemi oczami na stojące w kącie naczynie z wódką, — ale butelka prawie pusta i gospodarz zauważyłby to. W każdym razie nie wypada dobierać się do cudzej wódki bez zezwolenia, czy nie mam racji, Tara?

Pies znowu podniósł głowę i zaskomlał.

— Tobie się zdaje, że to nic nie szkodzi, Tara? No, jak, można? Oj, nie kuś mnie, stary złodzieju, bo za nic nie wezmę do ust cudzej gorzał-

ki. Patrz, tylko odkorkuję butelkę i powącham. Przecie pan nie będzie wiedział, a nawet jeśli się dowie, to nie może mieć do mnie za to pretensji.

Irlandczyk podniósł się i ukradkiem podszedł do butelki. Wyciągnął korek, spojrzął na drzwi, wyteżył słuch, czy kto nie nadchodzi, i zaczął wąchać. Ale mimo silnego postanowienia zapach wódki tak go znęcił, że niewiadomo kiedy butelka przechyliła się zalotnie do ust Felima, wlewając w nie kilka porządnych łyków. Uraczywszy się w dostatecznej mierze tak upragnionym napojem, Irlandczyk zakorkował szybko butelkę i wrócił na swoje poprzednie miejsce.

— Toś ty, stary złodzieju, skusił mnie, — rzekł do psa. — Ale to nic. Pan nie zauważy. Przytem wkrótce pojedzie do fortu więc uzupełni zapasy. Nie rozumiem tylko, dlaczego nasz pan odkłada ten wyjazd. Mówi, że pojedzie dopiero wtedy, gdy schwyta pstrokatego mustanga, Żeby jaknajprędzej mu się to udało, bo będziemy sterzyć tutaj do sądneho dnia... Tst! Cóż to znowu?

Pies zaszczekał. Ktoś zastukał do drzwi i krzyknął:

— Felimie! Felimie:

— To gospodarz - wymamrotał służący i podniósł się, aby otworzyć drzwi.

VI. Pstrokaty mustang.

Felim nie omylił się — to wrócił łowca mustangów, Maurice Gerald. Był on razem z koniem cały czarny od kurzu i sadzy. Prowadził za sobą schwytanego w stepie mustanga. Była to klacz niezwyklej piękności, kształtu, o szerokich piersiach i cienkich zgrabnych nogach, o skórze pięknej maści koloru brunatnego, nakrapianej, jak futro jaguara, czarnemi i białemi plamami. Gerald trzykrotnie polował na nią i zawsze bez skutku, dopiero teraz udało mu się schwycić to śliczne zwierzę na brzegu rzeki Alamo. Wrócił więc do domu zadowolony i promieniejący.

Znawca koni, były koniuszy irlandzki, Felim, nie mógł napatrzeć się na konia i znaleźć dość słów na wyrażenie swego uznania. Postanowiono nie wstawiać klaczy na noc do szopy razem z innymi końmi, lecz poprostu przywiązać ją do drzewa w pobliżu domu.

Gerald powiedział służącemu, że klacz jest jeszcze nie ujeżdżona, i że liczy na poskromienie jej dopiero po powrocie z fortu, w czasie odpoczynku. Służący zapytał nieśmiało:

— Proszę pana kiedy pan pojedzie do fortu?

— Jutro. Wyjedziemy o świcie, ażeby wieczorem stanąć już na miejscu.

— Ogromnie jestem rad, że wrócimy tam nareszcie, ale nie tyle chodzi o mnie, ile o pana, mister Maurice. Whisky jest już na wyczerpaniu, nie wiem, czy ze dwa łyki zostało na dnie butelki.

— Nie, martw się, Felimie, — odrzekł Maurice z uśmiechem. — Whisky na dzisiaj nam starczy i zapewne na jutrzejszą drogę. Bądź spokojny, stary! Przywiążmy najprzód naszą klacz, a o zapasie wódki pomówimy potem.

Gerald zaśmiał się i zeskoczył z konia.

Klacz zaprowadzono do cienia i przywiązano do drzewa.

Zmęczony Gerald wyciągnął się wygodnie na polowem łóżku z końskich skór i próbował zasnąć. Nikt nie wiedział, na co był mu potrzebny pstrokaty mustang, a on tymczasem polował na niego w ciągu trzech dni. Zresztą, nie bacząc na zmęczenie, nie mógł uleżeć spokojnie, to jakaś myśl napastowała go stale. Gdyby nie dzisiejsza zdobycz, należałoby sądzić, że chęć pojmania upatrzonego w stepie konia podrywa go z miejsca. Ale wszak pstrokaty jest już na uwięzi, a Moris nie może znaleźć chwili spokoju.

Podpatrujący go od pewnego czasu służący Felim postanowił nareszcie zbadać rzecz całą i zapytał:

— O, Matko Najświętsza, co się z panem dzieje, mister Maurice? Widzę, że nie może pan zamknąć oczu od chwili powrotu do domu i okazuje w swych ruchach tyle niepokoju. Czy czasem nie zakochał się pan w jakiej meksykańskiej dziewczeczce? Chociaż ród Geraldów nie można posądzać o to!

— Głupstwo, stary! Zdaje ci się tylko.

— Nie, wcale mi się nie zdaje. Pan się często zapomina, a w zapomnieniu bredzi jak we śnie i powtarza ciągle czyjeś ponętne imię... jakby Luiza...

— Mówię ci, że nic mi nie jest. Zapewne wymawiam przez sen imiona osób, które zdarzyło mi się spotkać we dnie.

— Prawdopodobnie. Mówił pan, ażeby kobieta ukryła się za firanki, gdyż grozi jej jakieś niebezpieczeństwo...

— Rzeczywiście, co to się człowiekowi majaczy we śnie. Zadziwiająca!

— Ja sam się dziwię. Naturalnie mój pan nie zawróci sobie głowy przeciętną amerykanką. Cóżby na to powiedziała złotowłosa i błękitnooka panielka, która przebywa w odległości dwudziestu mil od zamku Baallah?

— Czyś ty zwarzował, Felimie?

— Nie, mister Maurice, lecz chciałbym jaknajprędzej wydostać się z tego Teksasu. Co za przyjemność sprawia panu życie w pustyni i polowanie na mustangi, kiedy po śmierci swej ciotki zostanie pan spadkobiercą wspaniałego majątku i zamku Baallah?...

Gerald zaśmiał się, ubawiony słowami starego.

— Słuchaj, Felim, to wszystko dobre, ale nie miałem nic w ustach od rana. Co tam zostało w spiżarni?

— Został tylko czarny chleb i zimne mięso. Pozwoli pan? A może przedtem szklanekę grogu?

Felim wziął srebną czarękę i skierował się do spiżarni, gdy wtem zaszczekał i radośnie zaskomlał pies, Tara.

— Zapewne to Zeb Stamp, — rzekł Felim i otworzywszy drzwi, witał po chwili gościa.

Do chaty wszedł mężczyzna wysokiego wzrostu w butach ze skóry krokodyla, w szarym kapeluszu i w kurtce z jelenia. Za szerokim pasem miał zatknięty długi myśliwski nóż, z boku wisiało pudełko ze śrótem i prochem, za plecami widać było prostej konstrukcji strzelbę.

Przebyłego nazywano Zabulon Stamp, a w skróceniu „Stary Zeb Stamp“. Liczył sobie nie więcej nad lat pięćdziesiąt; wczesne swe lata spędził w dziewiczych lasach w pobliżu ujściu Mississipi, następnie przeniósł się do zachodniego Teksasu, gdzie nadal uprawiał swe rzemiosło, polowanie.

— Dobry wieczór! — rzekł, wchodząc.

— Witamy! — zawołał Maurice, podniósłszy się z łóżka. — Proszę siadać.

Myśliwy z pewnym trudem siadł na krześle, które było tak niskie, że gość miał kolana prawie pod brodą, a strzelba sterczała mu nad głową, jak dzida.

— Piechotą, jak zwykle, mister Stamp? — zapytał gospodarz. — Pan zdaje się nigdy nie poluje konno?

— Konno polują jedynie głupcy — odrzekł myśliwy.

— Lecz w Teksasie jest to przyjęte.

— Niech sobie będzie, ale piechotą upoluję więcej jednego dnia niż konno w ciągu tygodnia. Nie mówię tu o panu. Pan to co innego. Łowca mustangów musi mieć rączego konia. A jakże ja pójdę na niedźwiedzia z koniem, albo na jelenia? Wystraszy się zwierzynę na całą milę wokoło. Na wypadek jednak, gdybym miał polować na mustangi, biorę ze sobą konia. Dziś właśnie przyjechałem.

— Niech więc Felim przywiąże go gdzie w cie-
niu, bo wszak pan u mnie zanočuje?

— Z tym zamiarem jechałem tutaj. O konia nie kłopotcie się, sam go przywiązałem.

— W takim razie zjemy kolację. Przykro mi tylko, że mam taki skromny posiłek. Felim zabierał się do przygotowania siekanej dziczyzny.

— Mogę pana wybawić z kłopotu. Po drodze zabiłem indyka, jest tam przywiązany do siodła. Niech Felim przyniesie.

— Doskonale. W ciągu tych kilku dni czekałem na ciekawego mustanga i, wyjeżdżając z domu, nie brałem ze sobą strzelby. Z tego powodu spiżarnia stoi pustkami.

— Jakiego mustanga? — zapytał myśliwy.

— Brunatnego koloru z białymi plamami.

— Wyobraź pan sobie, że i ja przyjechałem tutaj z powodu tego mustanga.

— Czy być może?

— Widziałem w prerji plamistego mustanga, ale nie mogłem zbliżyć się do niego nawet o pół mili. Otóż chciałem razem z panem urządzić na niego polowanie. A jaki powód zaraz opowiem.

Ostatnim razem, gdym bawił nad Leoną, spotkałem tam pewnego bogatego plantatora, z którym się znałem przedtem, jeszcze za bytności swojej nad brzegami Missisipi. Nazywa się Pointdekster.

— Pointdekster?

— Tak, znają go tu prawie wszyscy. Był wówczas zamożnym, chociaż i dzisiaj nie jest biednym. Posiada stu czarnych niewolników. Z nim razem przybył bogaty kuzyn, Calchun. Plantator ma córkę, ogromną amatorkę koni. Kiedym się zdradził, że widziałem plamistego mustanga, panna dopóty prosiła ojca, aż obiecał dwieście dolarów temu, kto przyprowadzi owego rumaka. Oczywiście, natychmiast osiodlałem swoją starą klacz i przyjechałem do pana. Niechże pan narzeczcie schwyta tego mustanga jaknajprędzej i uprzędzi innych, którzy zapewne polecą na dwieście dolarów.

— A proszę, niech pan pozwoli ze mną, mister Stamp, — rzekł Gerald i skierował się ku drzwiom.

Myśliwy poszedł za nim.

— Czy nie ten sam, którego pan widział, co? — zapytał Maurice, wskazując na przywiązanego za domem konia.

— Ależ ten sam, ten sam! — zawołał myśliwy ze zdumieniem. — To pan już go schwytałeś? Tym lepiej. Dwieście dolarów pańskie. Niema co mówić! Koń jest wart te pieniądze. Jakież to piękne zwierzę! Napewno spodoba się miss Pointdekster.

VII. Straszna noc.

Zadowolony z tego, że srokaty mustang został już schwytany, myśliwy wpadł przy kolacji w dobry humor i zaczął opowiadać różne myśliwskie przygody ze swej przeszłości. Zresztą i Gerald czuł się dobrze, ponieważ wbrew przewidywaniom Felima whisky starczyło dla obojgu.

Było jeszcze daleko do północy, gdy myśliwi przerwali swe opowiadania i zaczęli myśleć o spoczynku.

Stary Zeb Stamp wyciągnął z siodła żółty wełniany koc, na którym zwykle sypiał w podróży.

— Niech pan śpi na mojem łóżku — uprzejmie zapraszał gospodarz.

— Dziękuję, wolę spać na twardem, przynajmniej nie spadnę z łóżka i sen będę miał smaczniejszy.

— W takim razie proszę się położyć na podłodze. Podścielę panu skórę.

— Nic nie chcę. Przyzwyczajony jestem do spędzania nocy w prerji i spania w trawie.

— Jakże pan może spać pod odkrytem niebem? I w nocy? — zdziwił się Maurice.

— Nic w tem niema dziwnego, mój młody druchu, bo już od sześciu lat nie sypiam pod dachem. Przedtem za życia żony miałem niewielką chałupę, zbudowaną pod starem drzewem figowem na brzegu Missisipi. Ale po śmierci żony przeniosłem się gdzieindziej i zawsze sypiam pod otwartem niebem.

Po tych słowach myśliwy wyszedł z domu, obejrzał się dokoła, wybrał sobie wygodne miejsce na łące, wziął długi sznur, jakim zwykle przywiązuje się konia, zwinął go w kształcie wydłużonego kręgu, położył się w środku i nakrył kocem. Po chwili zasnął. Ale nie dano mu spokoju. Śledziło go dwoje ciekawych oczu. To stary Felim patrzył na niego ze zdziwieniem, nie mogąc pojąć, dlaczego myśliwy okrążył się sznurem. Długo tak stał, snując różne przypuszczenia, aż wreszcie ciekawość w nim przemogła i zbudził Stampa, prosząc go o wyjaśnienie.

— Głupi irlandzki ośle! — Krzyknął myśliwy zły, że zbudzono go niepotrzebnie.—Myślałem, że to rano i trzeba wstawać. Dlaczego okrążyłem się sznurem? Ażeby nie włąziły do mnie różne gady!

— Jakie gady, mister Stamp? Węże?

— Naturalnie, węzeł! Idź lepiej spać!

Felim wrócił do chaty zadowolony. Teraz już wiedział, co trzeba robić, aby zabezpieczyć się od węży, i cieszył się, że będzie mógł spać spokojnie. Zdjął ze ściany długi arkan, wyszedł cichutko z domu i, okrążywszy cały dom sznurem, wrócił znowu do izby. Izbę zaległa głęboka cisza. Przedtem Felim nie dosypiał nocy bojąc się najbardziej węży, ale teraz po użyciu znanego sposobu, zasnął spokojnie. Spał również pies Tara, spały zdaje się konie, stojące pod szopą. Tylko klacz Zeba Stampa poza domem skubała głośno soczystą trawę i prychała.

Lecz myśliwy, zbudzony przez Felima, przewracał się z boku na bok i nie mógł zmrużyć oka.

— Ten irlandzki osioł zepsuł mi całą noc! — mamrotał rozgniewany. — Teraz nie zasnę do rana. Wartoby tak tego Felima zbudzić i rzucić do rzeki, niechby zakosztował tej przyjemności. Szkoda mi tylko gospodarza.

Siedząc na ziemi i rozmyślając nad tem, jakby ukarać Irlandczyka, stary myśliwy zauważył, że coś pełźnie ku niemu.

— Wąż! — krzyknął Stamp. — Ale jaki? Na grzechotnika za duży. Zresztą w tych stronach spotyka się takich grzechotników.

Przekonany, że wąż nie zdąży podpełznąć do niego i ucieknie czempredzej po dotknięciu się do sznura, skręconego z końskiego włosia, myśliwy obserwował spokojnie. Wierzył w magiczną siłę sznura, wiedząc, że żaden jadowity wąż w prerji nie przejdzie przez jego zwoje. A przytem wąż, sunący ku Stampowi, był nieszkodliwy. I rzeczywiście zaledwie dotknął się sznura, już zaczął pełznąć z powrotem.

— Pełnij sobie, pełnij, marne stworzenie — przemówił Stamp. — Dużej krzywdy nikomu nie wyrządzisz. Najwyżej wypijesz jajko indyczki, a to nic strasznego. Na ciebie się nie gniewam. Zły tylko jestem na tego irlandzkiego głuptasa, który mi przerwał sen. Chyba nie będę Zabulonem Stampem, jeżeli nie odpłacę mu za to. A w jaki sposób, już wiem!

Myśliwy wstał, chwycił uciekającego węża całą garścią, zaniósł do chaty, a widząc, że Irlandczyk okrążył się sznurem, przerzucił gada za linję sznura. Następnie wrócił na poprzednie miejsce i śmiał się w duchu ze splatanego przez siebie figla. Pomyślał, że wąż, dzięki sznurowi, nie będzie mógł w żaden sposób wydostać się z chaty i za jakieś pół godziny wypełźnie Felimowi do łóżka.

Nie upłynęło jednak kilka minut, gdy przerwał ciszę nieopisany krzyk, rozpaczliwe szczekanie psa, rżenie koni—wogóle hałas, jaki sobie trudno wyobrazić.

— Co się stało?—zapytał Maurice, wyskakując z łóżka. — Co za djabeł wlaźł w ciebie, Felimie? Czy ci się co straszego przyśniło?

— Gorzej, panie! Pokąsał mnie wąż! O, ja nieszczęsny! Umieram!

Maurice szybko zapalił świecę i zaczął oglądać ciało służącego.

— Gdzież cię ukąsił? Nigdzie niema znaku.

— Niema nawet najmniejszego zadraśnięcia,— potwierdził Stamp, który przybiegł na krzyk Felima.

— To dobrze, to dobrze, że mnie wąż nie ukąsił, ale przełaził po mnie, czułem wyraźnie na sobie jego zimne cielsko.

— Śniło ci się tylko, Felimie—rzekł Maurice.

— Ale nic podobnego, panie. Był to prawdziwy wąż!

— Więc zobaczymy, gdzie się on podział, — odparł myśliwy. — Ale dziwne — dodał — jak mógł

wąż wejść do chaty, gdy cały dom okrążony jest sznurem z końskiego włosia.

Nagle zawołał, wskazując na zwiniętego w kłębek węża w kącie chaty.

— A otóż jest wąż! Patrz, Felimie! Jest to gad nieszkodliwy i nie mógł cię ukąsić. Ale możemy go zgładzić ze świata.

Powiedziawszy to, myśliwy odrzucił węża na środek izby, potem zmiażdżył go swoim ciężkim butem i cisnął za drzwi.

— Teraz już możesz spać spokojnie do samego rana, mister Felim—rzekł spokojnie i wrócił na łąkę, układając się do snu poraz trzeci.

VIII. Skorpion.

Powoli wszystko znowu ucichło. Służący umilkł, pies przestał szczekać, konie uspokoiły się. Tylko od czasu do czasu słychać było zdaleka posępny krzyk sowy, przeciągłe wycie stepowego wilka i dziwny głos podobny do warku krokodyla—chrapanie starego Stampa, który nareszcie zasnął.

Uplęnęło kilka chwil zupełnej ciszy w chacie, pod szopą i na łące. Nagle rozległ się znowu przeraźliwy krzyk Irlandczyka.

— O Boże, o Matko Boska! Umieram! Ratunku! Maurice skoczył na równe nogi.

— Zwarjowałeś, czy co? — zawołał zapalając świecę.

— Wąż! Znowu wąż! Gorszy niż ten zabity! Ukąsił mnie tutaj, — jęczał wskazując na piersi, — o, jak mnie pali ta rana, jakby przykładał kto gorące żelazo!

— Już poraz wtóry nie daje nam spać ten głupi Irlandczyk! — mruknął Stamp, zjawiwszy się w progu, okręcony swoim kocem. — Nie chcę pana obrazić mister Maurice, ale muszę stwierdzić, że takiego osła, jak ten pański służący, niema na całym świecie! Jeżeli nie wyrzucimy go stąd do wody, to nie da on nam spokoju całą noc!

— Ach, mister Stamp, zapewniam pana, że jest tu drugi wąż! Przed chwilą laził po mnie.

— Wiedz o tem, Felimie, — rzekł myśliwy nieco łagodniej, — że żaden wąż w Teksasie nie przejdzie przez sznur z końskiego włosia.

— Oto ślad tej gadziny! — zawołał Felim, obnażywszy piersi. — Tutaj był drugi wąż! O Matko Boska, jak mnie piecze ta rana, jak pali!

— Wąż? — zapytał myśliwy z niedowieraniem i, ujrawszy na piersi Irlandczyka czerwoną plamę, zawołał: To nie wąż, to coś gorszego!

— Gorsze, niż wąż! — Krzyknął przerażony Felim. — Więc grozi mi śmierć?!

— A no zobaczymy. Jeżeli uda mi się zaraz znaleźć pewną rzecz, to jeszcze ratunek będzie możliwy. Jeżeli zaś nie, to nie rękę, mister Felim.

— Cóż to takiego? — zapytał Maurice, patrząc na czerwoną linję na piersi służącego. — Czy grozi mu naprawdę niebezpieczeństwo? dodał, widząc, że myśliwy ma poważną zakłopotaną minę.

Stamp nie odpowiedział i wyszedł z chaty. Maurice udał się za nim, nie przestając go wypytywać.

— Jest-to ślad skorpiona. Wśród rozlicznych odmian ich są niebezpieczne i jadowite.

— Czy ukąsił Felima?

— Nie sądzę. Ale wystarczy, aby taki skorpion przeszedł tylko po ciele. Następstwo może być śmiertelne.

— O Boże miłosierny! Tak pan mówi?

— Niestety, mister Gerald. Niejednokrotnie zdarzało mi się widzieć podobne wypadki, kiedy po przejściu takiego skorpiona ludzie umierali. Jeżeli nie zapobiegniemy natychmiast, to Felim dostanie febry i pomieszania zmysłów, jak od ukąszenia wściekłego psa. Znam jedyną tylko roślinę, która może Felima uratować. Trzeba ją zaraz znaleźć. Jak na złość księżyc zaszedł za chmury i będę musiał szukać poomacku. Widziałem, że gdzieś rośnie w pobliżu. Niech pan teraz pilnuje chorego, a ja zaraz wrócę.

Widząc, że gospodarz i myśliwy wyszli z izby, Felim wpadł w jeszcze większe przerażenie i z płaczem rzucił się do drzwi. Lecz Maurice wrócił w porę i zaczął go pocieszać, że nic mu złego nie grozi.

Po upływie kilku minut zjawił się Zeb Stamp, dając poznać wesołym wyrazem twarzy, że skuteczną roślinę znalazł. Istotnie trzymał w ręku zielone

kolczaste szyszki, w których Maurice poznał liście specjalnego gatunku kaktusa.

— Uspokój się, Felimie, — pocieszał myśliwy chorego. — Nic ci już nie grozi. Przyniosłem zba-wienny balsam. Nie krzycz! Bo i tak wystraszyłeś już wszystkie zwierzęta, ptactwo i płazy w pro-mieniu conajmniej dziesięciu mil. A teraz twoje przeraźliwe wycie może sprowadzić nam tutaj czerwonoskórych komanczów, którzy są trochę straszniejsi, niż skorpion.

Myśliwy, ściał nożem kolce rośliny, zdarł z niej skórę i rozplatał ją na połowę. Potem grube soczyste liście kaktusa przewinał czystym białym gałgankiem i taki opatrunek przyłożył do rany, powstałej pod działaniem jadu, który zostawia po sobie skorpion, przebiegając po ludzkim ciele.

Opatrunek podziałał niespodziewanie szybko. Felim uspokoił się i zasnął. Skorpion zapewne uciekł.

Nazajutrz wszyscy obudzili się wczesnym ran-kiem. Felim, jakby zapomniał o wczorajszej swojej przygodzie. Po spożytym naprędce śniadaniu za-częto wybierać się w drogę. Przy pomocy myśli-wego Felim powiązał dzikie konie, o pstrokatej zaś klaczy Maurice sam pomyślał.

W godzinę potem trzech mężczyźni mknęli przez równinę, prowadząc za sobą dzikie konie z pstrokatą klaczą na czele, Stamp zostawał trochę w tyle, nie mogąc nadążyć za rumakiem Mauricea, a pochód zamykał pies Tara.

IX. Pograniczna twierdza.

Nad fortem Inge powiewał gwiazdzisty sztandar amerykański. Życie w tej pogranicznej twierdzy było mieszaniną barbarzyństwa i cywilizacji, wojennych zapalów i spokojnego życia obywateli.

Jak zwykle w pobliżu wojskowego posterunku, za fortem ciągnęła się wieś, pełna sklepów, tawern, domów gry, czarnookich dziewcząt, myśliwych, poganiaczy wołów, łowców mustangów i wogóle ludzi niewiadomego zajęcia, znajdujących przytułek pod osłoną twierdzy. Na ulicach było tłoczno, różnojęzyczna i różnoplemienna tłuszcza zaległa wieś całą, goszcząc się w tawernach i hazardując w domach gry.

Nieco na południe od twierdzy, nad brzegiem Leony widać było domy plantatorów, wśród których zwracał na siebie uwagę dom wysoki, z płaskim dachem, z białymi ścianami, mający widok na majaczące w zamglonej dali zarysy gór Guadaluppa. Dom ten nazywał się Casa del Corvo.

W tydzień potem, jak plantator Woodley Pointdekster osiedlił się w zakupionym majątku nad Leoną, na placu, należącym do fortu Inge, stało trzech młodych oficerów i patrzyło w kierunku Casa del Corvo, rozprawiając na temat obiadu, na który zostali zaproszeni przez świeżo osiedlonego plantatora. Między innemi kapitan Slomen zauważył, że córka Pointdekstera należy do najpiękniejszych panien i że urodą swą zakasuje wszystkie miejscowe kreolki. Jest ona przytem

otwarta, mądra, dowcipna i posiada dumę swojego ojca.

— Wnosząc z pańskiego opisu, kapitanie, panienska ta akurat odpowiada moim wymaganiom—zartował młody dragon Hencoc,—a ponieważ jestem dość odważny, więc zacznę się starać o jej względy.

— Zobaczymy tę pańską odwagę przy spotkaniu się z Miss Pointdekster, — rzekł Slomen.

— Bądź pan spokojny! Byłem już w ogniu nie takich pięknych oczu i nie traciłem odwagi.

— Ale takich oczu pan jeszcze nie widziałeś.

— Słyszając pańskie słowa, można byłoby zakochać się w młodej lady bez realnego jej widoku. Zapewne musi być to coś niezwykłego. Kapitanie, czuję, że serce me już do niej należy. Jestem nią zachwycony!

— Ale muszę pana ostrzedz, zanim pan ją pokocha naprawdę. Młodą lady pilnuje staszydło.

— Zapewne brat?

— Owszem lady ma brata również. Ale jest on najmilszym z ludzi i jedynym z rodziny Pointdekster, który nie zadziera nosa. Groźnym jest natomiast kuzyn młodej panny, Kasjusz Calchun.

— Jakby mi znane było to nazwisko.

— Brał on udział w Meksykańskiej wojnie. Wyróżnił się nie tyle w ogniu walki, ile na tyłach, gdzie zepsuł sobie opinię i przestał uchodzić za groźnego człowieka.

— Więc do czego to prowadzi? — zapytał dragon. — Wszak jest on tylko kuzynem panienski i niczem więcej?

— Owszem i wielbicielem jej,
— Ze wzajemnością?
— Nie chcę przesądzać. Lecz mówią, że Calchun cieszy się względami starego Pointdekstera, który przecie nie jest tak bogaty, jak to sobie inni wyobrażają, i zagląda do kieszeni kuzyna.

— Rozumiem, więc przybył on tutaj razem z nimi?

— Naturalnie. Widziałem go dzisiaj w restauracji. Piękny mężczyzna, ma lat ze trzydzieści, szatyn, z wąsami. Ubiera się trochę po wojskowemu, nosi rewolwer i kindżał za pasem. Ma wygląd prawdziwego zawadjaki.

— O to mniejsza! Nie napróżno służyłem w armji wujaszka Sama, abym się lękał wyglądu zawadjaki. Strzelać potrafię niezle! — zapalił się dragon.

W tej chwili dano sygnał do porannej defilady i trzej wojskowi rozeszli się do swoich oddziałów.

X. Casa del Corvo.

Majątek Casa del Corvo, który otrzymał swą nazwę od hiszpańskiego słowa corvo, co znaczy krzywy, był położony na brzegu rzeki Leony i miał pośrodku dom, zbudowany w meksykańsko-maurytańskim stylu, jednopiętrowy, z płaskim dachem, ogrodzonym balustradą, z wewnętrznem podwórzem,

pośrodku którego biła fontanna. Na dach prowadziły ze dworu kamienne schody.

W pobliżu, za domem gospodarza, były rozrzucone chaty niewolników. Jakkolwiek może wydawać się to dziwnem, to jednak w chatach tych rozlegały się wesołe piosenki i często urządzano tańce. Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego i pozwala sobie na wesołość nawet w niewoli.

Luiza Pointdekster siedziała przed lustrem i szykowała się z pomocą czarnej służącej Florindy na zapowiedziane przyjęcie gości. Młoda panna była trochę niespokojna, zamyślona i na natrętne pytania gadatliwej służącej odpowiadała automatycznie, monotennie.

— Jakież cudne włosy! — mówiła Florinda, rozczesując połyskujące, kasztanowego koloru warkocze młodej pani. — Długie, jak hiszpański mech, spuszczone z gałęzi cyprysu. Gdybym posiadała takie włosy, miałabym ich wszystkich u swych nóg.

— Co mówisz? — zapytała Luiza, jakby oczknięta ze snu. — Kogo byś miała u swych nóg?

— Młodych plantatorów, oficerów i wszystkich białych mężczyzn.

— Ha, ha! — zaśmiała się miss Pointdekster — Więc sądzisz, że, posiadając moje włosy, zwyciężałabyś serca męskie?

— Nie tylko włosy, ale pani śliczne, białe, jak z marmuru, lico, pani całą postać, najpiękniejszą ze wszystkich.

— Ty mi pochlebiasz, Florindo.

— Nie, miss Lu, nie pochlebiam.

I rzeczywiście, miss Pointdekster była piękna. Regularne rysy jej twarzy przypominały najwspanialsze rzeźby Praksytelesa i Fidjasza, chociaż takiego oblicza nie posiadał cały starożytny Panteon. Była to twarz bogini tym piękniejsza, że zdobiła żywą kobietę. Jedynie pulchna dolna warga Lu nadawała jej boskiej twarzy wyrazu realnego, ale drobny ten szczegół czynił z niej istotę bardziej pociągającą. Boginię można tylko uwielbiać, kobietę — kochać.

W odpowiedzi na zapewnienia Florindy Luiza roześmiała się. Wiedziała dobrze, że jest urodziwą. Mówiło jej o tem lustro.

Spostrzegłszy, że panienska nanowo wpadła w zadumę, służąca ciągnęła.

— Gdybym była tak cudna, jak pani, nigdy bym nie myślała o mężczyznach.

— Nie myślałabyś? Nie rozumiem, Florindo, o czem ty mówisz?

— Florinda nie jest głucha i ślepa. Florinda widzi, że miss Lu siedzi nieruchoma, milcząca, i tylko wzdycha głęboko. Za pobytu w Louissianie nie widziałam tego.

— Ach, prawisz mi niedorzeczności...

— Nie gniewaj się, miss Lu. Florinda jest twoją wierną niewolnicą i kocha cię, jak siostrę.

— Nie gniewam się, Florindo, ale zapewniam cię, że się mylisz. Wszak mam przyjąć gości, wszystko nieznajome osoby, więc jest nad czem pomyśleć i westchnąć! Przyjadą do nas młodzi

ludzie, którzy będą mi bardzo mili, ale żaden z nich nie zachwyci mnie sobą.

— Więc żaden z pośród tych gentlemanów nie podoba się pani? Nawet ten przystojny oficer i plantator.

— Florindo, dajmy już pokój tej rozmowie. Czas idzie, a jestem jeszcze nie przygotowana do przyjęcia gości.

— Bądź spokojna, miss Lu. Zdążysz się ubrać przed przyjazdem gości. A zresztą cokolwiek włożysz na siebie, zawsze będziesz czarującą.

— Zaczynasz mnie zdumiewać swemi pochlebstwami, Florindo. Podejrzewam, że czegoś ci potrzeba odemnie. A może poróżniłaś się z Plutonem i chcesz mnie prosić o pojednanie z nim?

— Nienawidzę go od chwili, gdy podczas tej pamiętnej burzy w prerji okazał się takim bezprzykładnym tchórzem. Ach, miss Lu, coby się z nami stało wtedy, gdyby nie zbawienna pomoc nieznanego jeźdźca!

— Napewno zginęlibyśmy wszyscy, — podchwyciła Luiza z zapalem.

— Ach, jaki on piękny, miss Lu! Włosy ma takie same, jak twoje, pani, tylko kędzierzawe. Na samo wspomnienie o nim warto westchnąć!

Było to bezwiedne czy też umyślne potrącenie w słabą strunę serca młodej paniienki. Luiza ożywiła się i gotowa była wyjawic swe myśli bodaj nawet niewolnicy, gdy wtem na dziedzińcu rozległy się jakieś głosy i uczynił ruch niezwykły.

XI. Niespodziewany przyjazd.

— Hej! Ty czarnoskóry, gdzie jest twój pan?
— Mister Pointdekster? Który? Młody czy stary? Obadwaj poszli oglądać budowę nowego płotu.

— Daleko?

— Trzy, czy cztery mile stąd.

— Kłamiesz, murzynie. Posiadłości Pointdekstera nie sięgają tak daleko. Powiedz lepiej, kiedy pan twój wróci.

— Na obiad.

— Na obiad? A więc dobrze, bo już czuć w powietrzu zapach kurcząt i innego drobiu, co świadczy wymownie, że obiad gotów. Zupełnie, jak za dobrych czasów nad brzegiem Missisipi. Wiwat, mister Pointdekster! Dlaczego nie krzyczysz razem ze mną?

— Nie wiem kim pan jest dla mego gospodarza, przyjacielem, czy tylko znajomym?

— Nie poznajesz mnie? A ja kiedym spojrzał na twoją szkaradną gębę, zaraz cię poznałem.

— A prawda! Przecież to mister Stamp, dostarczający dziczyznę do naszej plantacji. Naturalnie! Pamiętam! Jestem obecnie stangretem miss Lu. Niech pan zaczeka, mister Stamp, pan zaraz wróci.

— Dobrze, poczekam — rzekł myśliwy, złącząc z konia. — A ty zajmij się moją klaczą, aby nie była głodna. Pędziłem tu na życzenie twego pana, jak błyskawica.

Nagle rozległ się srebrny głosik miss Pointdekster, która w tej chwili wyszła na werandę:

— Kogo widzę? To mister Zabulon Stamp? Nie spodziewałam się pana tak prędko. Ale bardzo jestem rada pańskiej wizycie. Papa i Henryk też będą kontenci. Proszę, niech pan pozwoli na werandę, papa zaraz wróci.

— Boże miłościwy! — zakrzyknął Stamp. — Gdym widział panią nad brzegami Missisipi, byłaś najpiękniejszą istotą na ziemi; ale dzisiaj jesteś najprzedziwniejszem stworzeniem nietylko na ziemi, ale i na niebie.

Myśliwy nie przesadzał. W swym stroju z białego przezroczystego muślinu indyjskiego młoda panienska była naprawdę czarująca.

— Ach, mister Stamp! Widzę, że w Teksasie zrobił się z pana pochlebca. Florindo, daj panu wina, prędzej. Pan lubi najlepiej xeres.

— Owszem. Pod tym względem nie zmieniłem w Teksasie swego smaku.

— Pozwoli pan z wodą mister Stamp? — zapytała Florinda.

— Nie, dziękuję, bez wody. Opiłem się dziś wody dosyta.

— W takim razie może cukru lub miodu, aby nie było takie gorzkie? — zapraszała Luiza.

— Wystarczy mi tylko pani spojrzenie, a wino będzie słodkie, — rzekł myśliwy i wychylił szklanekę, nie zmarszczywszy się nawet. — A otóż chciałem pomówić z pani ojczulkiem co do pstrokaty klaczy.

— Ach, prawda, zapomniałam! I cóż pan się o niej dowiedział?

— Już schwytana.

— To doskonale! Nie miałam dotychczas przyzwoitego wierzchowca, dopiero ojciec obiecał mi kupić pańskiego mustanga. Niech mi pan jednak powie, kto schwycił tego konia?

— Łowca mustangów, naturalnie. Nikt nie potrafi jeździć konno i zarzucać lasso tak jak on, chociaż nie jest to żaden meksykańczyk, lecz taki sam białoskóry, jak ja.

— Jak się nazywa?

— Nazwisko zapomniałem, wiem tylko, że ma na imię Maurice. Łowcę mustangów Mauricea zna każdy w forcie.

Myśliwy nie zauważył z jakim zainteresowaniem panienska wypytuje go; ale Florinda, przysłuchująca się rozmowie, dostrzegła jak na dźwięk imienia Mauricea twarz jej pani oblał gorący rumieniec.

— Zdaje mi się, że takie miał imię człowiek, dzięki któremu ocaleliśmy w stepie? — zapytała służąca.

— Jest to ten sam właśnie, — rzekł myśliwy, — którego poznaliście państwo w stepie podczas burzy. Przybędzie tu przed nastaniem nocy. Wyprzedziłem go dlatego, aby zawiadomić ojczulka pani, że pstrokaty mustang został schwytany i aby ojczulek nabył go wcześniej, niż może on być przez kogoś przekupiony w drodze. Wszak

pamiętam, że pragnęła pani posiadać takiego wierzchowca.

— Dziękuję panu serdecznie, mister Stamp. Ojciec zaraz wróci. Będziemy mieli dzisiaj na obiedzie gości. Idź, Florindo w tej chwili i przygotuj dla mister Stampa śniadanie — zawołała Luiza, a zbliżywszy się do myśliwego rzekła: — Gdybym była zajęta gośćmi w chwili przybycia tego pana, to proszę już, abys pan mister Stamp, nie zapomniął o nim. Tutaj na werandzie będzie wino i wszystkie niezbędne rzeczy. Pan rozumie, mister Stamp?

— Co do wina, to oczywiście rozumiem. Ale kogo ma pani na myśli, mówiąc o jakimś panu, nie mogę pojąć na razie.

— Myślę o tym, który przyprowadzi konia!

— O, rozumiem teraz. Maurice jest rzeczywiście gentlemanem z pochodzenia i wychowania. Tylko jeśli chodzi o gościnność, to nie wiem, czy podoba mu się takie zaproszenie. Jest on dumny, jak Pointdekster i przyjmie zaproszenie tylko od pana domu. Gdyby należał do biedaków, których można przyjmować w kuchni...

— W takim razie, — przerwała Luiza, — niech go pan nie zaprasza, lecz każe mnie zawiadomić o jego przybyciu, a ja go zaproszę do stołu.

W tej chwili w progu kuchni ukazał się Pluton, niosący wespół z Florindą śniadanie dla myśliwego. Luiza szybko pożegnała się ze Stampem i pobiegła na werandę.

— Przeczuwam, że jest to mój los—myślała, siedząc w swoim pokoju. — Lękam się go, ale nie schronię się przed nim, nie mogę, nie chcę!

XII. Poskromienie dzikiego konia.

Według miejscowego zwyczaju wszyscy zaproszeni goście zamiast do salonu przeszli na taras na dachu domu. Było to świetne towarzystwo, złożone z pięknych kobiet i mężczyzn cywilnych oraz wojskowych. Pointdekster wydawał bal, więc zjechali się do nowej jego posiadłości znajomi i przyjaciele, rodowici arystokraci. Do obiadu podawano najwyszukańsze potrawy i wina. Gospodynią była piękna córka Pointdekstera, miss Luiza, więc nic dziwnego, że przyjmowała gości z uśmiechem królowej i wdziękiem bogini. A jakkolwiek otaczali ją nieodstępnie wielbicieli była względem nich obojętna, a na pochlebstwa ich odpowiadała spojrzeniem dumnym lub słowami zwięzłymi i wyniosłymi.

Był jednak ktoś, kto ani na chwilę nie tracił jej z oczu: to Kasjusz Calchun, który miał wyraz twarzy obojętnej a oczy, śledzące uważnie każdy ruch i zachowanie się pięknej kuzynki. I rzecz dziwna, gdy Luiza rozmawiała z młodymi mężczyznami, prawiącymi jej komplementy, a zwłaszcza z dragońskim oficerem, Kasjusz zachowywał się spokojnie i obojętnie. Dopiero zbudziła się w nim za-

zdrość wtedy, gdy zauważył, że miss Pointdekster rzuca ukradkiem spojrzenia w dal, w bezbrzeźną przestrzeń prerji, podchodząc kilkakrotnie ku balustradzie i patrząc w step jakby w oczekiwaniu na kogoś. Nikt nie mógł domyśleć się nawet, o co chodzi, ale Kasjusza męczyły jaknajczarniejsze myśli i podejrzenia.

Wtem w dali, w promieniach zachodzącego słońca ukazała się kawalkada. Kasjusz odgadł natychmiast, kto jedzie na czele tej kawalkady. Wcześniej jednak obłoczek kurzu zauważyła Luiza Pointdekster.

— To dzikie konie prowadzą, — rzekł komendant twierdzy Inge, spojrzawszy przez lornetkę we wskazanym kierunku. — O tak, to łowca mustangów, który dostarcza nam dzikie konie. Kieruje się on prosto tutaj, mister Pointdekster.

— Bardzo możliwe, — odrzekł plantator, — prosiłem go o przyprowadzenie kilku koni.

— Rzeczywiście jest to Maurice — potwierdził Henryk, patrząc również przez lornetkę.

Czując na sobie uporczywy wzrok kuzyna, Luiza udała, że zjawienie się w stepie Mauricea nic ją nie obchodzi.

Wkrótce nadjechał Maurice Gerald. Wyglądał pięknie w siodle i prowadził za sobą na arkanie pstrokatego konia.

Ach, jakie to piękne zwierzę! — zakrzyknęli goście, gdy koń został podprowadzony do podjazdu. Wszyscy wyszli na podwórze, aby oglądać konia zbliska. Maurice zwrócił na siebie ogólną

uwagę. Henryk Pointdekster wybiegł do niego pierwszy na spotkanie i przywitał się z nim serdecznie.

Z pośród dam jedynie żona komendanta zamieniła z Mauricem słów kilka, ale tonem nieco protekcyjnym i jakby z góry. Luiza Pointdekster nie mogła powiedzieć ani słowa, gdyż byłoby to źle widziane w tak doborowem towarzystwie; mimo to zamieniła z Mauricem jedno spojrzenie i to było wystarczające.

W tajemnicy niejedna kobieta zapatrzyła się na pięknego łowcę dzikich koni. Wprawdzie ubranie miał przyprószone szarym pyłem stepowym, ale policzki poczerwieniały mu od świeżego wiatru prerji, gęste włosy połyskiwały, swobodny lekki strój obnażał mu smugłą szyję, a cała postać jeźdźca świadczyła wymownie o niezwykłej jego sile i zwinności.

— Zapewne jest to ten sam mustang, o którym wspominał mi Zeb Stamp?—powiedział mister Pointdekster.

— Ten sam, zawołał Stamp, przeciskając się bliżej ku Mauriceowi.—Ten oto młodzieniec schwytał konia przed moim przyjazdem. Całe szczęście, że nie zdążył sprzedać go komuś innemu, bo miss Luiza pozbawiona byłaby dobrego wierzchowca.

— Dziękuję panu, mister Stamp. Doprawdy nie umiem wyrazić swego uznania.

— Nic szczególnego nie zrobiłem. Przejechałem się tylko przez prerję, aby nacieszyć się wi-

dokiem, kiedy pani dosiędzie tego rumaka — to mi wystarcza za nagrodę.

— Pan mi pochlebia, mister Stamp. Proszę spojrzeć dokoła, ile jest tu dam, które bardziej zasługują na komplementy.

— Nie będę toczył sporu, ale mówiono mi, że jedna tylko Luiza Pointdekster, — rzekł bez namysłu stary myśliwy.

Tymczasem plantator zwrócił się do Mauricea. Zapłacę panu za tego konia dwieście dolarów, jak to obiecałem mister Stampowi.

— Nie mogę zgodzić się na pańską propozycję, — odparł z uśmiechem Maurice Gerald, — gdyż konia tego nie sprzedaję.

Plantator i goście, a zwłaszcza oficerowie spojrzeli na Geralda ze zdumieniem, oceniając w duchu pstrokatego rumaka na jakieś dziesięć, a najwyżej dwadzieścia dolarów.

— Pan tak szczerze zapłacił mi za inne konie, ciągnął tymczasem Maurice, — że stosownie do irlandzkiego zwyczaju, pragnę tylko uczynić podarek komuś z członków rodziny nabywcy. Pan pozwoli?

— Owszem, mister Gerald, — zgodził się plantator.

— Dziękuję panu! — rzekł Maurice, spojrzawszy z góry na otaczające go towarzystwo. — Daruję tego mustanga miss Pointdekster. Jeżeli przyjmie go, będę w zupełności wynagrodzony za te trzy dni, które mi pochłonęło polowanie na niego.

— Przyjmuję pański podarek z wdzięcznością, sir, — odrzekła młoda kreolka, wysuwając się teraz naprzód. — Ale zdaje mi się, że ten koń jest jeszcze nie ujeżdżony. Proszę spojrzeć, jak on drży. Może zrzucić swego jeźdźca, więc cóż ja będę robiła z takim dzikusiem!

— Miss Pointdekster ma słuszość, — zauważył komendant. — Każdy z nas widzi doskonale, że koń nie ujeżdżony. Otóż daj mu pan lekcję, mister Gerald. Będziemy mieli wspaniałe widowisko, — zwrócił się do reszty gości, — zobaczymy, jak w prerji poskramia się dzikie konie. Chociaż to dzikus straszny, ale Maurice da sobie z nim radę!

Odmówić było niepodobieństwem. Stworzyła się taka sytuacja, że Maurice musiał zaprezentować swoją sztukę poskramiania dzikich koni, która jest powszechnie ceniona w prerji Teksasu. Ześlizgnął się więc zgrabnie ze swego konia i oddawszy go pod opiekę Stampa, poprosił gości, aby się usunęli z podwórza. Damy i panowie weszli na taras na dachu domu, skąd było łatwiej obserwować. Wówczas Maurice zbliżył się szybko do mustanga, owiązał mu tylko dolną szczękę sznurem z włosia i skoczył na jego grzbiet bez siodła.

Klacz z początku, poczuwszy na swym grzbiecie jeźdźca, zadrżała z oburzenia, i nie chcąc uznać nad sobą żadnego pana, stanęła dęba, aby zrzucić śmiałka. Lecz jeździec chwycił ją oburącz za szyję i przylgnął do niej całym sobą. Wtedy koń uderzył tylnymi nogami, Maurice wykonał szybki ruch

i, objąwszy silnie tułów zwierzęcia, utrzymał się na jego grzbiecie. Koń nie dał za wygraną i powtórzył ten sam manewr kilka razy, aż wreszcie przekonany, że nie można sobie poradzić z siedzącym mu na karku jeźdźcem, pogalopował w step i znikł z oczu. Jedni z pośród widzów przypuszczali, że dziki koń zabije jeźdźca, inni zaś, że go uczyni kaleką. Kasjusz Calchun pragnął tego z całego serca. Natomiast Luiza niepokoiła się, jak gdyby chodziło o własne jej życie.

Uplęnęło kilka chwil na denerwującym oczekiwaniu.

Nagle dojrzano w stepie znowu obłok kurzu i wśród ogólnego zdumienia Maurice Gerald przygalopował z powrotem, siedząc już spokojnie na grzbiecie dzikiego konia, co świadczyło, że mustag został ostatecznie poskromiony. Zwierzę pochyliło głowę pokornie, jakby uznając się za zwyciężone.

— Miss Pointdekster, — rzekł Maurice, zeskakując z konia, — niech pani będzie łaskawa zarzucić mu na szyję arkan i zaprowadzić go do stajni sama. Koń, skoro ujrzy w ręku pani ten symbol niewoli, uzna panią za swą władczynię i ulegnie zupełnie.

Luiza nie zawahała się ani na chwilę. Wzięła arkan, zarzuciła go na szyję konia i własnoręcznie zaprowadziła go do stajni.

W uszach jej tylko dźwięczały, jak jakaś dziwna przepowiednia, słowa Mauricea:

— ... skoro ujrzy w ręku pani ten symbol niewoli, uzna panią za swą władczynię i ulegnie zupełnie.

XIII. Piknik w prerji.

Zaledwie pierwsze promienie wschodzącego słońca zajaśniały nad twierdzą Inge, gdy na dziedzińcu fortecznym powstał ruch gorączkowy i kilku ordynansów zaczęło czynić przygotowania do zapowiedzianej przez komendanta wycieczki.

Wkrótce wóz, zaprzężony w parę mułów, został naładowany winem oraz zapasem żywności i na znak starego myśliwego, Zeb Stampa, ruszył w drogę.

Po upływie piętnastu minut na dziedzińcu zaczęli zjeżdżać się ze wszystkich stron panie i panowie oraz całe towarzystwo, podejmowane na obiedzie w Casa del Corvo przez plantatora. Luiza Pointdekster przybyła konno na swym pięknym mustangu, wzbudzając powszechny zachwyt.

Dzień w prerji zapowiadał się pogodny, przeto uczestnicy wycieczki mieli humory doskonałe, a zwłaszcza komendant twierdzy oraz grono oficerów, z których inicjatywy miał się odbyć piknik, urozmaicony polowaniem na dzikie konie.

Gdy stwierdzono, że wszyscy są gotowi do drogi, całe towarzystwo w otoczeniu oddziału kawalerji wyjechało w step, mając na czele Maurice Geralda, jako wytrawnego znawcę prerji i znakomitego łowcę mustangów.

Postanowiono przed śniadaniem nie zatrzymywać się nigdzie, pierwszy zaś posiłek spożyć dopiero po przebyciu conajmniej dwudziestu mil. Podróż taka w Teksasie nie wydaje się nikomu

zbyt uciążliwą i uważana jest za przejażdżkę, więc nic dziwnego, że znajomi nasi odbyli ją w ciągu trzech godzin. Wóz z prowiantem znajdował się już na miejscu i uczestnicy pikniku rozlokowali się na brzegu rzeki pod osłoną olbrzymiego drzewa, jak pod baldachimem.

Przed śniadaniem nie zdarzyło się nic godnego uwagi, tylko Maurice Gerald prezentował swą sztukę konnej jazdy, zmuszając swego rumaka do zdobywania przeszkód i do przesadzania napotykanych po drodze strumieni, które były na tyle szerokie, że inni jeźdźcy musieli je przepływać, lub objeżdżać.

Kasjusz Calchun, nie mogąc ukryć rosnącej w nim zazdrości, utrzymywał, że Maurice robi wszystko, na co go stać, aby przypodobać się pięknej kreolce i zdobyć jej względy. Nie wiedział biedny, że miss Pointdekster pochłaniały coraz bardziej romantyczne marzenia i budziło się w niej nieznane dotychczas uczucie.

XIV. M a n a d a.

Pod wpływem mieniącego się złotem wina śmiech dźwięczał weselszy, niebo wydało się głębsze i bardziej błękitne, trawa zieleńsza.

Nagle rozległ się krzyk wysłanego na zwiady meksykańczyka:

— Mustangi!

— Caballada? — zapytał z ożywieniem Maurice.

— Nie, manada, — odparł meksykańczyk.

— O czym oni mówią w swoim żargonie? — zdziwił się kapitan Calchun.

— Caballada, — wyjaśnił komendant — jest to stado dzikich ogierów, manada zaś — stado dzikich klaczy, które w tym czasie pasą się osobno z wyjąkiem wypadków, gdy je prześladują osły.

Komendant wypowiedział to zdanie tak nieostrożnie, że obecni spojrzeli zabawnie na siebie, nie mogąc ukryć śmiechu.

Tymczasem manada zbliżała się coraz bardziej. Wszyscy czempredzej siedli na konie. Dzikie stado pojawiło się na grzbiecie wzgórza i pędziło galopem, jakby w szalonej ucieczce. Dolatywało straszliwe rzenie i chrapanie. Konie biegły zapamiętale, nie zwracając uwagi ani na wóz, ani na towarzystwo pań i panów.

— Krespino, nie wiesz, kto je goni? — zapytał Maurice meksykańczyka, który, stojąc na wzgórzu, miał widok rozleglejszy.

W towarzystwie nastąpiło poruszenie; oczekiwano odpowiedzi z lękiem. Wszak za tabunem mustangów mogli pędzić Indjanie.

— Osioł, — odrzekł meksykańczyk.

— Jakbym wiedział o tem! — zawołał Maurice. — Tego osła trzeba zatrzymać, bo może nam zepsuć całe polowanie. Zarzuć na niego arkan, a jeżeli nie będziesz mógł, to palnij mu w łeb.

Na wzgórzu ukazał się osioł. Był wzrostu konia i pędził tak szybko, że dorównywał mustangom.

Dziki stado, spostrzegłszy ludzi, rzuciło się nagle w bok. Przewodnik ostrzegł towarzystwo, aby nikt nie ruszał się z miejsca, gdyż tabun może się wystraszyć i rozpaść, a wtedy trudno będzie natrafić na jego ślad.

— Osioł jest już blisko. Pal, Krespino! — zawołał Maurice.

Meksykańczyk wymierzył i strzelił, lecz chybił.

— Muszę go wziąć żywcem! — krzyknął Maurice i popędził za osłem, zarzucając mu lasso na szyję. Zwierzę stanęło dęba i zważyło się ciężko na ziemię. Wówczas myśliwy podszedł szybko, zadał mu cios śmiertelny kindziałem w gardło i zdjął swoje lasso. Nie przeczuwał jednak, że w tej chwili zdarzy się coś zgoła nieoczekiwanego.

Otóż pstrokaty mustang Luizy Pointdekster poznał w stadzie dzikich koni towarzyszy utraconej wolności, i odosobniwszy się szybko od kawalkady, jął pędzić za manadą.

Widząc to Calchun i kilku młodych mężczyzn pognało za szalonym mustangiem, ale błyskawicznie wyprzedził ich Maurice, zaniepokojony poważnie o młodą kreolkę.

Niepokój ten ogarnął i resztę towarzystwa, która, stojąc bezradnie i nieruchomo na jednym miejscu, obserwowała wspaniały widok gonitwy: przodem pędzi stado dzikich koni, za nimi młoda kobieta na pięknym mustangu, dalej jeździec w ma-

lowniczym stroju na gniadym rumaku, następnie kilku mężczyzn w wojskowych i cywilnych ubiorach, wreszcie oddział kawalerzystów.

Po upływie kilkunastu minut widok ten uległ zupełnej zmianie. Tabun dzikich koni, pstrokaty mustang i jeździec na gniadym rumaku zniknęli z oczu.

XV. Schwytany zbieg.

Tymczasem jeźdźcy zaczęli napotykać w prerji tu i owdzie rozrzucone zarośla, a w dali widać było las. Na myśl, że pstrokaty mustang z piękną panienką może wpaść do lasu i zgubić się w jego gąszczach, serce Geralda ogarniała nieopisana trwoga. Już obecnie tabun dzikich koni znikał często z oczu za drzewami, a mustang Luizy zostawał w tyle, co tymbardziej pogorszało sytuację, bo piękna amazonka mogła się znaleźć sama jedna w prerji, pozbawiona jakiegokolwiek ratunku.

A jeśli pstrokaty mustang wpadnie na stado dzikich ogierów, które są w tym czasie niezwykle okrutne?

Gerald znowu uderzył swego rumaka ostrogami, aż trysnęła krew, i popędził, jak szalony. Tymczasem manada zniknęła w leśnej gęstwinie. Ku swemu zdumieniu Gerald zauważył, że pstrokaty mustang zwolnił biegu, a po chwili stanął, jak wryty. Maurice rzucił się naprzód. Nieruchoma,

jakby wykuta z marmuru Luiza Pointdekster siedziała w siodle i zda się ze spokojem oczekiwała na Mauricea.

— Cieszę się ogromnie, — rzekł Maurice z prawdziwą ulgą, — że uniknęła pani grożącego jej niebezpieczeństwa.

— Dziękuję panu, ale czy rzeczywiście groziło mi coś złego?

— Naturalnie, koń pani poniósł, mógł wpaść do lasu i narazić panią na wiele nieprzyjemnych rzeczy.

— Byłam o to spokojna. Bo naprzykład mogłabym napotkać Indjan. Więc cóż strasznego? Napewno dzicy byliby względem mnie gentlemanami i nie wyrządziliby mi żadnej krzywdy. Czy pan sądzi, że uciekałabym na ich widok? Przeciwnie, pragnę już oddawna spotkać prawdziwych Indjan w bezludnej prerji i stanąć z nimi oko w oko.

— Jest pani niezwykle odważną, miss, ale bądźcobądź radziłbym mieć się na ostrożności, gdyż Indjanie nie są tak wspaniałomyślni, jak się to pani wydaje.

— W takim razie zawróciłabym z powrotem, wierząc, że mego mustanga nie dogoni żaden z czerwonoskórych.

— Jakto? więc mogłaby pani powodować tym pstrokatym dzikusiem? Więc on nie poniósł panią, jak to sądziłem?

— Nie, nie. Naturalnie z początku poniósł ale potem przekonałam się, że mogę go łatwo

wstrzymać, co też udało mi się zrobić, jak pan to widział.

— Czy wcześniej nie mogła go pani wstrzymać?

Dziwna myśl błysnęła Mauriceowi i z niecierpliwością czekał odpowiedzi.

— Moжебym go wstrzymała, gdybym zechciała... Ale ogromnie lubię szaloną jazdę w prerji, gdzie nie potrzebuję się obawiać, że ktoś mi stanie na przeszkodzie. Zresztą wolę być sama, niż narażać się na komplementy, które mi sprawiają przykrość.

Gerald był trochę rozczarowany i zdumiony zarazem, ale nie zdążył odpowiedzieć pięknej kreolce, gdy nagle rozległ się huk, przeraźliwy krzyk i tętent kopyt aż zadrżała ziemia.

— Dzikie ogiery! — krzyknął Maurice z trwożą w głosie.

— Czy mogą one zrobić co złego? Wszak są to te same mustangi...

— Tak, ale o tej porze roku okrucieństwem swem dorównują najstraszniejszym tygrysom.

— Cóż więc mamy robić? — zapytała z lekkim kreolka, przysuwając się instynktownie do swego obrońcy.

— Są dwa sposoby: pierwszy zostawić nasze konie i wleźć na drzewo, drugi — uciekać, co sił starczy, choć coprawda konie mamy pomęczone.

— Więc puścimy się w drogę natychmiast?

— Wolałbym, aby wierzchowce nasze odpoczęły trochę. Dzikie ogiery mogą nas nie zauwa-

żyć. Ten krzyk dowodzi, że toczy się wśród nich zażarta walka, a w podobnych wypadkach wściskości nie widzą nic wokół siebie.

— W takim razie możemy śmiało jechać zaraz, mister Gerald?

— Nie, w otwartym stepie te dzikie zwierzęta łatwiej nas zauważą i prędzej dogonią. Lepiej będzie, jeżeli one ominą nas, bo wówczas będziemy mogli dopaść do znanego mi miejsca w odległości przynajmniej dwóch mil i ukryć się tam. Czy pani jest pewną, że utrzyma swego mustanga, gdy zajdzie tego potrzeba?

— Jestem pewną — odrzekła z mocą młoda kreolka.

XVI. Stado mustangów.

Polegając na dzielności Geralda, Luiza uspokoiła się zupełnie. Jednocześnie doznawała przyjemnego uczucia na myśl, że Maurice zdradza większy niepokój o nią, niż o siebie.

— Czas! — rzekł nagle Gerald i zalecił swej towarzyszce nie zostawać zbyt w tyle, najwyżej o długość konia.

— Nad prerją unosił się dziki wrzask, stokroć straszniejszy, niż w domu obłąkanych. Ziemia trzęsła się od łomotu rozwścieczonych zwierząt, caballada zbliżała się do miejsca, gdzie stali ukryci nasi jeźdźcy, w szalonym pędzie wyłoniła się z zarosli i, jak lawina, runęła na leśną polanę.

— Za mną! — krzyknął Gerald. Pędzą na nas! Na Boga, miss Pointdekster, proszę nie zapominać, że chodzi o życie pani!

Luiza zrozumiała już, że uratować ich może jedynie ucieczka.

Dziki zwierzęta, ujrawszy ludzi, przestały walczyć pomiędzy sobą i, jakby na czyjś rozkaz, puściły się za Mauricem i jego towarzyszką. Zaczął się szalony bieg. Łowca mustangów rzucał wyleknionemi oczami poza siebie, a choć był pewny swego rumaka, to jednak widział, że mustang miss Pointdekster nie może nadążyć i biegnie, jakby z trudnością.

— Jeżeli po drodze napotkamy wąwóz, zginęliśmy — zawołał.

— Czy odległość pomiędzy nami a stadem zmniejsza się? — zapytała kreolka.

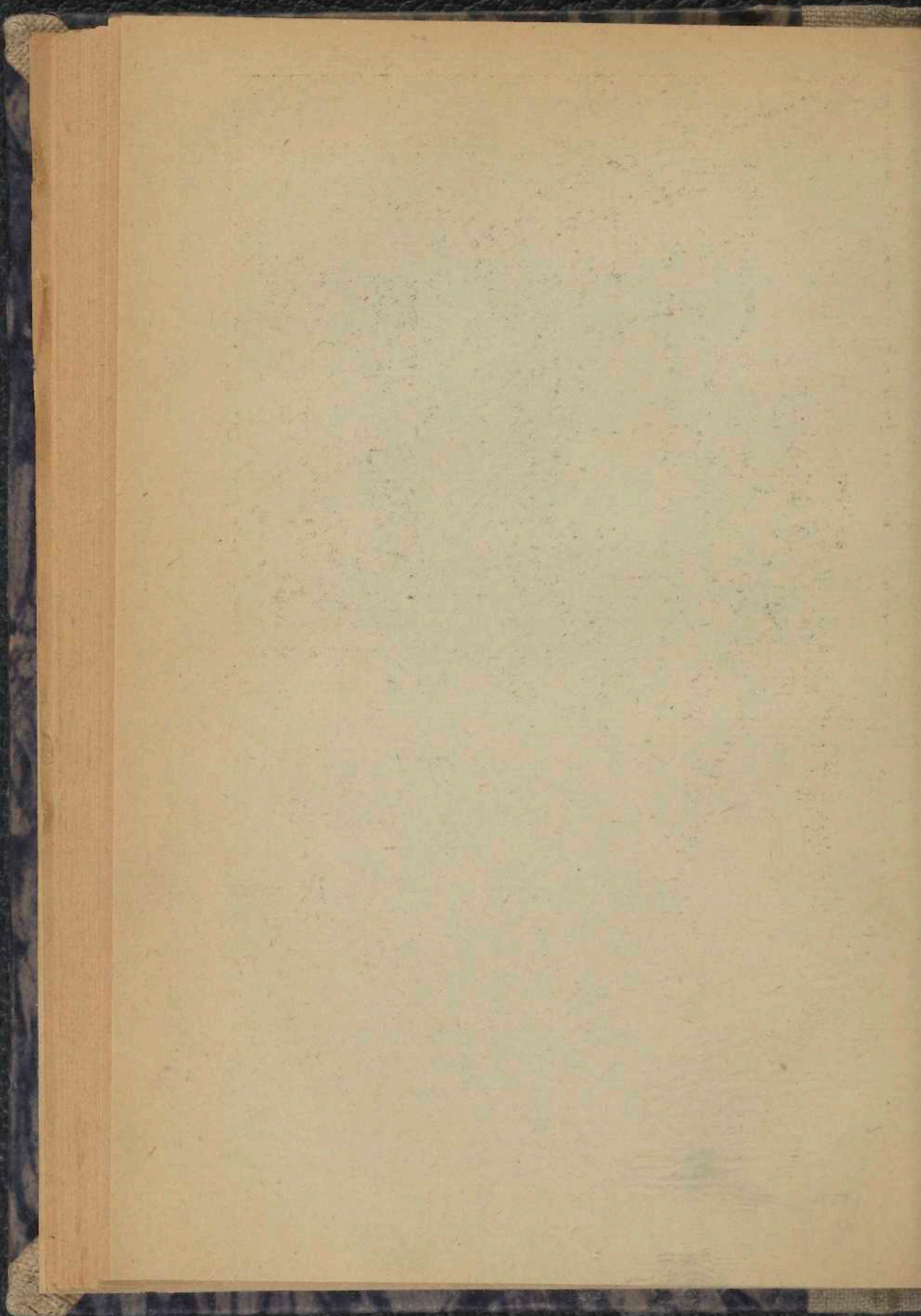
— Na razie nie, ale mamy przed sobą przepaść. Czy mustang pani przeskoczy ją.

— Bez wątpienia!

— Więc proszę mieć się na baczności, bo w przeciwnym razie śmierć nieunikniona. Radziłbym jednak pani przesiąść na mego gniadosza, za którego ręczę. On utrzyma nas oboje. Przytem to stado zaniecha dalszej pogoni, jeżeli zostawimy mu na pastwę naszego mustanga.

— Zostawić mego faworyta? Przenigdy! Zbyt jest mi drogi. Lepiej skrećmy kark oboje! Dalej, mój przyjacielu, naprzód! — zawołała kreolka i skierowawszy się wprost na wąwóz, przesadziła go błyskawicznie.





Gerald był zdumiony i patrzył na swą towarzyszkę z zachwytem. Po upływie kilku chwil zawrócił nagle i zawołał:

— Miss Pointdekster, musi pani jechać dalej sama!

— Co to znaczy? — zapytała Luiza, wstrzymując swego konia.

— Dzikie konie okrążają wawóz i mogą nas dogonić. Trzeba je stanowczo zatrzymać. Proszę nie pytać, w jaki sposób. Niema czasu na rozmowę. Widzi pani tam wodę! To staw. Proszę jechać w tym kierunku. Zobaczy pani tam ogrodzenie i bramę. Niech pani wjedzie do środka i zamknie za sobą wrota.

— A pan co zrobi ze sobą? Ja się na to nie zgadzam.

— Proszę być o mnie spokojną. Mnie grozi mniejsze niebezpieczeństwo, bo tylko mustang pani zwraca uwagę. Ale, na miłość Boską, proszę się pośpieszyć i nie zapomnieć co powiedziałem!

Luiza nie wahała się dłużej i pomknęła naprzód we wskazanym kierunku.

Maurice zawrócił na poprzednie miejsce, przeskakując ponownie wawóz. Po drodze wyciągnął rewolwer, sprawdził szybko zamek i przygotował się do strzału, myśląc:

— Trzeba im nie dać przeskoczyć wawozu. Ten oto rudy ogier jest zapewne ich przewodnikiem.

Rozległ się wystrzał i ogromny rudy koń wpadł w przepaść. Widząc śmierć towarzysza, cała caballada stanęła jak wryta i zaniechała dalszej po-

goni. Gerald nie tracił czasu, przynaglił swego rumaka ostrogami i pomknął śladem miss Pointdester. Zastał ją przy stawie. Luiza spełniła wszystkie jego rozkazy, tylko nie zamknęła bramy, siedząc spokojnie w siodle i oczekując na swego zbawcę, ażeby mu podziękować. Niebezpieczeństwo minęło.

XVII. Pułapka na mustangi.

— Cóż to takiego? — zapytała kreolka, wskazując na parkan, okalający jezioro.

— Jest to pułapka na mustangi, które przyciąga woda. Gdy przychodzą tu pić, zamyka się za nimi wrota i żaden już nie ucieknie. Czasem zapędza się je do jeziora umyślnie, ale do takiego polowania potrzeba sześciu ludzi.

— Biedne zwierzęta! Więc pan, jako łowca mustangów, również w ten sposób poluje na nie?

— Nie, miss Pointdester, moim sposobem jest wyłącznie łąso.

— Czy umie pan niem władać doskonale? Chciałabym również posiadać tę sztukę, choć słyszałam, że nie przystoi to kobietom.

— Ach, proszę pani, przestarzały pogląd! Znam pewną lady, która wyśmienicie włada łąso.

— Czy młoda?

— W wieku pani.

— Jakiego wzrostu!

— Trochę niższa.

— Ale zapewne piękna. Bo mówił mi ktoś, że meksykanki są daleko piękniejsze, niż kreolki.

— Zapewne ten ktoś nie widział nigdy kreolki.

— A wie pan, słyszałam, że meksykanki uczą się władać łąso od dzieciństwa. Czy jabył mo-
gła jeszcze władać tą bronią?

— Zapewne. W zupełności wystarczy rok a najwyżej dwa lata praktyki. Ja sam zacząłem zapoznawać się z tym sportem dopiero przed trzema laty, a teraz...

— Jest pan najzdolniejszym łowcą w całym Teksasie — podchwyciła Luiza.

— O, nie! Zapewne słyszała to pani od Zeb Stampa, który się stanowczo myli... Ale może wrócilibyśmy już do naszego towarzystwa? Ojciec pani jest napewno niospokojny. Ojciec i brat cioteczny.

— Ach, prawda! Zapomniałam zupełnie. Więc jedźmy.

Powiedziała to takim tonem, jakby nie chciało się jej opuszczać „pułapki na mustangi“.

Znaleźli się w kwitnącej i wonnej jak rajski ogród, prerji.

— Ach, jak tu pięknie! — zawołała kreolka.
— Jaka przedziwna natura! Jest tutaj zdaje się wszystko, o czem może zamarzyć człowiek.

— Brak tylko domu, — wtrącił Maurice.

— Tak, ale jakikolwiek budynek zepsułby cały ten pejzaż. Dach z gontów i okopcone kominy rozwiałyby cudowne złudzenie. Pragnęłabym tylko mieszkać w cieniu tych drzew i...

Chciała powiedzieć: „kochać“, lecz zawahała się i powiedziała: „umrzeć“.

Gerald zauważył to i rzekł:

— Sądzę, że takie życie pod otwartym niebem i zdala od ludzi uprzykrzyłoby się pani.

— A jakże to pan pędzi samotne życie w tym stepie? Czy nie tęskni pan do ludzi?

— Tak, ale nie mam innego powołania. Kocham step, wolność, polowanie i tutaj już zostanę.

— Doprawdy, zazdrozczę panu, chociaż jestem przekonana, że mogłabym zawsze żyć wśród tej natury.

— Sama jedna? Bez przyjaciół? Bez dachu nad głową nawet?

— Nie mówiłam tego. Ale radabym wiedzieć, jak pan tu żyje, czy ma pan swój dom?

— Dom? Oh, miss Pointdekster, to zbyt szumnie brzmi, — zaśmiał się Maurice. — Chata wiejska — to bardziej odpowiednia nazwa dla mego mieszkania:

— Czy daleko stąd?

— Niedaleko, w odległości mili na zachód, tam, gdzie widać drzewa. One chronią mnie od upałów i niepogody.

— Mówi pan, że prawdziwa wiejska chata? Chciałabym tylko spojrzeć na nią. A w pobliżu nikt nie zamieszkuje?

— Pusto w promieniu dziesięciu mil.

— Tylko drzewa wokół? Prawda? I ogromnie malowniczo?

— To zależy. Jak dla kogo.

— I zaledwie mila drogi?

— Tak, tam i z powrotem — dwie.

— Bagatelka! Wystarczy kilka minut jazdy.

— A czy nie będą niepokoić się o panią ojciec, brat i najbliżsi?

— Ach, nie zwróciłam na to uwagi! Przepraszam, mister Gerald, bo może pan mieszka nie sam i będzie panu nieprzyjemnie...

— Tak, mieszkam nie sam...

Luiza wyobraziła sobie piękną twarzyczkę smagłej meksykanki mniej więcej w jej wieku, o rumianych policzkach, perłowych ząbkach i wspinających czarnych włosach. Na twarzy kreolki odmalował się smutek.

— Ten ktoś nie lubi gości, nieprawdaż? — zapytała.

— Przeciwnie, — odparł Maurice. — Jest on zawsze gościnny. Mój przyrodni brat przepada za towarzystwem.

— Pański brat?

— Tak, Felim O'Neill, Irlandczyk. Jeżeli pani sobie życzy, mój współlokator będzie niezmiernie rad.

— Chętnie skorzystam z pańskiej gościnności, a ojciec i reszta towarzystwa mogą poczekać.

Po upływie kilku minut piękna kreolka zwiędziła zagrodę łowcy mustangów i z przyjemnością przejrzała szereg książek, które świadczyły o inteligencji ich posiadacza. W powrotnej drodze, jadąc kwitnącym stepem, doznawała dziwnych uczuć, a zwłaszcza zasmucała ją myśl, że w ciągu całego

dnia, gdy osamotnieni oboje znajdowali się na leśnej polance, nad jeziorem i w odludnej chacie, Maurice Gerald okazywał jej tylko swą grzeczność, jak gentleman, i nic więcej.

XVIII. W szponach zazdrości.

Dwudziestu jeźdźców, którzy z takim zapamiętem puścili się za zbiegiem, zaniechało pogoni w połowie drogi i wkrótce rozpadło się na kilka grup. Pozostał tylko jeden w granatowym półwojskowym stroju i ten trafił na ślad właściwy. Był to Kasjusz Calchun. Popędzał swego konia batem i ostrogami, spoglądając złym wzrokiem na zatknięty za pasem rewolwer. W głowie mączyła mu jakaś czarna myśl, która, gdyby stała się czynem, byłaby zbrodnią. Lecz wkrótce ślad znikł zupełnie i Kasjusz doprowadzony do ostateczności, musiał również zaniechać dalszej pogoni.

Od chwili, gdy zbłąkani przesiedleńcy spotkali zgoła przypadkowo Mauricea Geralda, w duszy Kasjusza budziła się i olbrzymiała potworna zazdrość, zrodzona tam, w stepie. Poskromienie mustanga, podarek wspaniałomyślny i uznanie, jakim obdarzała łowcę mustangów piękna Luiza, przekonały kapitana, że w osobie Geralda ma poważnego współzawodnika. Obawiał się, aby jego kuzynka, posiadająca niezależny charakter i umysł wolny od przesądów, nie popełniła mezaljansu

przez oddanie ręki człowiekowi • tak niskich aspiracjach, jakim był łowca mustangów.

I oto z sercem, pełnem niewysłowionej goryczy, i sam jeden pośród ciszy prerji, osaczony przez czarne myśli, jak przez gady śliskie i potworne, pędził Kasjusz z powrotem, bicząc niechętnie wyczerpanego z sił konia. Minał zarosła i wysoką, jak dzwonnica, topolę, i nagle — wstrząsnął nim dreszcz gwałtowny oburzenia i wściekłości. Oczy zalała mu krew. Ujrzał przed sobą dwóch jeźdźców, w których łatwo poznał kuzynkę i znienawidzonego łowcę mustangów. Pochłaniała ich widocznie jakaś ciekawa rozmowa, bo jechali pochyleni ku sobie i nie słyszeli coraz bliższego tętentu. Tymczasem Calchun znajdował się już w odległości dwustu kroków i chciwie podchwytował srebrzysty głosik Luizy, nie mogąc jeszcze zrozumieć słów. Chciał wpaść błyskawicznie pomiędzy tych dwoje i przerwać ich czułą pogawędkę, ale przyszła mu myśl bardziej praktyczna: aby jechać za nimi trop w trop i wysledzić ich kroki oraz podsłuchać treść rozmowy. Miętkość gruntu i bujne kępy trawy tłumili znakomicie odgłos kopyt końskich, więc Kasjusz, trawiony gorączką zazdrości, przypadł do siodła i zaczął się, będąc gotowym rzucić się w każdej chwili na przeciwnika, wyzwać go, a nawet zadać mu z tyłu śmiertelny cios kindziałem, lub poprostu palnąć mu w łeb z rewolweru.

Na szczęście jednak podsłuchana rozmowa nie zdradzała nic takiego, coby mogło pobudzić

kapitana do szalonego czynu. Przytem konie Mauricea i Luizy poczuły zbliżenie się towarzysza i zarżały radośnie.

— Ach, kuzyn Kasjusz! — zawołała panienska, zatrzymując swego mustanga. — Gdzież jest ojciec i Henryk?

— Czyżbyś nie wiedziała, Lu?

— Sądziłam, żeś wyjechał razem z nimi na nasze spotkanie. Lecz cóż to? koń twój cały spieniony, jakbyś odbył na nim drogę taką samą, jak my?

— Ciągle jechałem za wami.

— Doprawdy? A ja nie wiedziałam! Dziękuję ci, Kasjuszu. Lecz i ten gentleman dążył za mną i tylko dzięki niemu uniknęłam wielkiego niebezpieczeństwa. Wyobraź sobie ścigał nas tabun dzikich ogierów!

— Wiem o tem.

— Widziałeś, jak one pędziły za nami?

— Nie, widziałem tylko ich ślady.

— I dokąd dojechałeś?

— Do wąwozu.

— A potem?

— Wróciłem.

Odpowiedź kapitana uspokoiła Luizę.

XIX. Z a c z e p k a.

Nigdy jeszcze tawerny Olddufferyego nie zaszczyliło tak wykwiłtne i liczne towarzystwo, jak owego wieczoru po pikniku w prerji i polo-

waniu na dzikie konie. Z wyjątkiem pań, wszyscy uczestnicy wycieczki poczytywali za swój obowiązek pójść do tawerny, chociaż na pół godziny, i uraczyć się whisky. Oficerowie załogi, właściciele okolicznych plantacji oraz sportsmani z różnych stron co chwila podchodzili do bufetu, zamawiając do swych stolików ulubiony trunek.

Towarzystwo dzieliło się na grupy i w jednej z tych grup znajdowali się trzej znajomi oficerowie: Hencoc, Crosman i Slomen oraz major, komendant twierdzy.

W pewnej chwili kapitan Slomen zapytał, zwracając się do obecnych:

— Czyście panowie zauważyli, jak po przybyciu Luizy z Mauricem Geraldem Kasjusz był zmieniony i okazywał przy lada sposobności rozdrażnienie?

— Rzeczywiście, był ogromnie ponury.

— Trawi go zazdrość, i to zazdrość niezwykła.

— Czyżby z powodu łowcy mustangów, Geralda? No, to śmieszne, — rzekł major.

— Dlaczego śmieszne, panie majorze?

— Miss Pointdekster jest przede wszystkim panią z towarzystwa, dobrze urodzoną, podczas gdy Maurice Gerald...

— Może być również gentlemanem, Przy najmniej tak słyszałem.

— Zresztą, — dodał Slomen, — miss Pointdekster jest ekscentryczką i może sobie pozwolić na wiele rzeczy zdumiewających.

— Widzę, — rzekł komendant, zwracając się do Slomena, — że i pan, kapitanie, należy do współzawodników Mauricea. Rozumiałbym pana w zupełności, gdyby chodziło o Hencoca lub Crosmana, ale być zazdrosnym w powodu jakiegoś tam łowcy mustangów — to doprawdy śmieszne.

— To Irlandczyk, panie majorze, więc podejrzewam...

Ale nie dokończył, bo drzwi się otworzyły i do tawerny wszedł Gerald. Zajął miejsce przy wolnym stoliku i kazał sobie podać whisky oraz wodę. Wielu z pośród oficerów, którzy znali go z okazji nabywania mustangów, zamieniło z nim uprzejme ukłony. Młodzież zamierzała podejść do niego, aby spędzić wspólnie kilka miłych chwil na pogawędce, gdy nagle w progu ukazał się nowy gość, w którym odrazu poznano Kasjusza Calchuna. Zachowanie się jego oraz wygląd wskazywały dowodnie, że był trochę podniecony i nietrzeźwy. W oczach miał nienaturalne blaski, twarz bladą, włosy potargane i wysunięte niedbale z pod czapki. Stanąwszy pośrodku sali, zaproponował całemu towarzystwu wspólne spełnienie toastu. a gdy gospodarz tawerny napełnił gościom kielichy, — zawołał:

— Niech żyje Ameryka dla Amerykanów! Precz z uzurpatorami praw naszych! Precz z Irlandczykami!

Jednocześnie, patrząc natarczywie na stojącego naprzeciw z kielichem w ręku Geralda, trącił się z nim ruchem pogardliwym i tak gwałtownym, że

kielich zadrżał w ręku Mauricea i whisky oblała mu pierś. Nikt nie wątpił, że Calchun zrobił to umyślnie, i wszyscy z zapartym tchem oczekiwali słusznego odwetu ze strony znieważonego.

Tymczasem Gerald ze zdumiewającym spokojem postawił na stole swój kielich i zaczął jedwabną chusteczką wycierać poplamiony gors koszuli. Zaległo milczenie, ale nikt nie ośmieliłby się podejrzewać łowcę mustangów o tchórzostwo. Wreszcie Maurice rzekł z dumą i dobitnie:

— Jestem Irlandczykiem.

— Pan Irlandczyk? — urągliwie zmierzył go oczami Calchun. — Czy być może? Sądząc z pańskiego stroju, raczej wziąłbym pana za meksykańczyka.

— Niepotrzebnie wtrąca się pan do tego, jak jestem ubrany, mister Calchun, a ponieważ nie upiększył pan mego stroju wylanym trunkiem, przeto niech i mnie będzie wolno zrobić coś podobnego.

Powiedziawszy to, łowca mustangów chwycił swój kielich ze stołu i, zanim się kto spostrzegł, resztą wina oblał twarz Calchunowi. Wszczęło się chwilowe zamieszanie, ci i owi stanęli po stronie Geralda, poczem w tawernie zapanowała cisza. Wszyscy byli przekonani, że zajście to będzie miało poważne następstwa i że przeciwnicy powinni rozstrzygnąć swe losy w pojedynku.

XX. Niemiła sytuacja.

Calchun wytarł twarz i wyciągnął rewolwer. Łowca mustangów również był przygotowany. Kilka osób szybko opuściło tawernę, inni śmielsi pozostali. Było tak cicho, jak przed nadejściem burzy. Przeciwnicy nie spieszyli się zbytnio, skierowywali do siebie lufy rewolwerów z jaknajwiększą dokładnością celu, aby nie chybić.

— Stój! — krzyknął nagle major, rozdzielając przeciwników obnażoną szablą. — Ani mi się ważyć strzelać!

— Cóż to znaczy? — zapytał Calchun, czerwony z oburzenia. — Taka zniewaga ze strony tego nikczemnego człowieka zasługuje...

— Pan obraziłeś go pierwszy, kapitanie Calchun.

— Wszystko mi jedno, nie daruję. Proszę odejść, panie majorze, proszę pana bardzo. Nie masz pan prawa wtrącać się do nas.

— Czyście panowie słyszeli? Ja nie mam prawa interwencji! Jak się to komu podoba, co? Czy wiadomo panu, że znajdujesz się w obrębie twierdzy i podlegasz prawom wojennym? Jestem tutaj komendantem i rozkazuję natychmiast złożyć broń! W przeciwnym razie aresztuję pana!

— Czyż możliwe, — zapytał Calchun, — aby w Teksasie odbywały się pojedynki wyłącznie za zezwoleniem komendanta, panie majorze?

— Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem honorowego pojedynku, — odparł major, — ale z za-

strzeżeniem, że zachowane będą wszystkie warunki, a przede wszystkim pojedynek wasz nie narazi nikogo z obecnych na szwank.

Słowa te były wypowiedziane z taką powagą i stanowczością, że przeciwnicy musieli ulec.

Po chwili major zwrócił się do Geralda:

— Pan, oczywiście, upiera się przy pojedyнку?

— Nie będę się upierał, jeżeli mister Calchun cofnie swoje słowa, — skromnie odrzekł Gerald.

— Za nic! — zachnął się Calchun. — Ja mam przeprosić tę zamaskowaną małpę?!

— Dość tego! — zawołał wyprowadzony wreszcie z równowagi Irlandczyk. — Chciałem darować mu życie, a skoro odmówił, nie wyjdzie stąd żywy.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Calchun. — On darował mi życie! Odejdźcie panowie, proszę zostawić nas samych!

Po wyjściu z sali osób zbytecznych i po omówieniu warunków, w jakich miał się odbyć pojedynek, major kazał podać sobie rewolwery i sprawdził, że działają jednakowo. Tymczasem Kasjusz Calchun wykrzykiwał co chwila, wygrażając pięściami:

— A ty psie nikczemny! Będiesz mi wyl u nóg, jak pies! Ja cię nauczę!

Ażeby wystrzał nastąpił jednocześnie, postanowiono wyprowadzić Calchuna i Geralda do dwóch przeciwległych pokojów. Następnie przeciwnicy mieli przestąpić próg jednocześnie i strzelać na dane hasło.

Po upływie kilku sekund major, oficerowie i dwaj przeciwnicy opuścili salę i tawernę zaległa pustka.

XXI. Pojedynek.

Hasłem do pojedynku miało służyć uderzenie dzwonu tawerny. Było już ciemno i dokoła restauracji zgromadził się tłum ludzi: oficerów i przechodniów. Wśród tłumu panowało naprężone milczenie, ogólną uwagę zwracali na siebie dwaj mężczyźni, kurczowo ściskający w dłoniach rewolwery. Zrzucili z siebie marynarki, aby zachować jaknajwiększą swobodę ruchów i stali naprzeciw siebie, gotowi na dany znak przestąpić próg i bić się aż do śmierci.

I oto zadźwięczał poważnie głos dzwonu. W tej chwili przeciwnicy przestąpili próg i wewnątrz tawerny rozległy się strzały oraz dźwięk stłuczonego szkła.

Gdy po pierwszym strzale dym się nieco przerzedził przeciwnicy stwierdzili, że są obydwaj ranni, ale żaden nie zmienił pozycji. Nastąpił drugi strzał, wreszcie trzeci, po którym wszystko ucichło. Ale trwało to krótko bo znowu rozległy się strzały, po których ludzie stojący za oknami usłyszeli łomot dwóch padających ciał oraz stuk przewróconych krzeseł. Po jedenastym wystrzale zadźwięczały rozbite naczynia, słychać było jakieś głuche rżenie, ale walka trwała nadal. Tłum, cisnący się do drzwi i okien oczekiwał w naprę-

żeniu dwunastego wystrzału. Wtem zagrzemiał głos Geralda:

— Mam jeszcze jedną kulę! Proszę cofnąć słowo, bo zabiję!

Śmielsi z pośród tłumu uchylili drzwi i spojrzeli do środka. Dwaj przeciwnicy szamotali się na podłodze, mając całe ubranie zbroczone krwią. Jeden z nich podniósł się na łokciu i skierował lufę rewolweru do skroni drugiego.

— A, djabli!.. Rzuć pan rewolwer — cofam swoje słowa, — wykrztusił pokonany ledwie dosłyszalnym głosem.

XXII. Tajemniczy koszyk.

W Teksasie pojedynki nie są rzadkością, a jakkolwiek przechodzą szybko w zapomnienie, to jednak o pojedynku Mauricea Geralda i Kasjusza Calchuna mówiono długo i wiele, komentując jego wyniki na korzyść dzielnego łowcy mustangów.

Kasjusz Calchun odniósł ciężkie rany i nie pokazywał się nigdzie, będąc na długo przykutym do łóżka. Nie mniej również był rannym Maurice Gerald i wskutek znacznego upływu krwi musiał przebywać w łóżku w jednym z najbiedniejszych pokoików hotelowych u Olddufferyego. Na szczęście, chorego doglądał troskliwie jego wierny służący, Felim.

Gdy Mauriceowi było lepiej, Felim wszczął z nim rozmowę, a przedewszystkiem dał wyraz oburzeniu na Olddufferyego, który nietylko, że dał jego panu zły pokój i karmił go najpodlejszemi potrawami, ale odgrażał się, że mister Gerald musi ponieść koszty wstawienia nowych luster i kupna naczyń.

Słyszając to Maurice chętnie zgodził się na poniesienie strat w polowie, ale stwierdził, że w tym celu musiałby sprzedać wszystko, nawet srebrny kubek, ostrogi i broń palną.

— Mister Gerald, a cóż my zrobimy bez broń? — przeraził się Felim.

— Zostanie nam lasso i ono na razie wystarczy. Będziemy polowali na konie, żywiąc się ich mięsem.

— Ha, trudno! Skoro nie będzie nic innego, to i konina dobra. W każdym razie lepsza, niż to ścierwo, którem nas żywi Oldduffery.

Dalszą rozmowę przerwało stukanie do drzwi i wejście służącej, która dźwigała dość okazałych rozmiarów koszyk.

— Cóż to jest, Gertrudo? — zapytał Maurice.

— Jakiś nieznajomy gentleman przyniósł ten koszyk i kazał mi go oddać panu.

Gerald kazał Felimowi otworzyć koszyk i ku swemu zdumieniu ujrzał różne wina oraz potrawy i łakocie, poukładane starannie. Ani listu, ani rachunku nie było.

Maurice zachodził w głowę, kto mógł zdobyć się na tak przyjemny i niespodziewany podarek,

i mimowoli stanął mu przed oczami czarujący obraz Luizy Pointdekster. A chociaż wydawało się to niedość prawdopodobnem, to jedynie na samo wspomnienie pięknej kreolki serce zabiło mu gwałtownie.

Tymczasem Felim, obserwujący ukradkiem Mauricea, rzekł, jakby odgadując jego myśli:

— Gertruda mówi, że koszyk przyniósł gentleman, ale niech pan jej nie wierzy.

— Więc któżby?...

-- Znać tu rączki kobiety. Niech pan tylko spojrzy na tę kokardę przy koszyku: taką kokardę mogła zawiązać tylko prawdziwa lady.

— Głupstwa pleciesz, Felimie. Żadna kobieta nie zajmuje się mną. Ot, lepiej zabierzmy się do spożywania tych darów!

Felima nie zadowolila taka odpowiedź, Maurice zaś snuł domysły, komu ma zawdzięczać tyle troskliwości.

Po upływie trzech dni nieznany „gentleman“ nadesłał za pośrednictwem służącej drugi koszyk, a po pewnym czasie trzeci, w którym już znaleziono mały liścik w języku hiszpańskim:

„Drogi Panie!

Bawiąc w ciągu tygodnia u wuja Silvio, dowiedziałam się o Pańskim wypadku. Ponieważ, jak mi mówiono, jest Pan w hotelu źle odżywianym, przeto proszę przyjąć tę bagatelkę, jako skromny wyraz wdzięczności za tę wielką przysługę, jaką mi Pan kiedyś wyświadczył. Piszę,

siedząc w siodle na koniu. Za chwilę wyjeżdżam do Rio Grande.

Żegnaj zbawco mego życia i honoru.

Isadora Cavarubio de los Lianos."

Gerald był rozczarowany, liścik wysunął mu się z rąk na podłogę.

— Ach, to od Isadory. Zawsze mi wdzięczna i uczynna! Gdyby nie Luiza Pointdekster, byłbym może pokochał Isadore.

XXIII. Zaprzysiężenie zemsty.

Kasjusz Calchun odniósł tak ciężkie rany, że stan zdrowia jego budził poważne obawy. A chociaż był bogaty i w niczem nie odczuwał niedostatku, to jednak znajdował się w położeniu bardziej przykrem, niż Maurice Gerald, ponieważ, będąc samolubem, nie miał przy sobie troskliwych przyjaciół, jak tamten. Coprawda mieszkał razem z wujem i cioteczną siostrą, lecz w ostatnich czasach stosunki pomiędzy nim a rodziną znacznie się zaostrzyły. Pointdekster zadłużył się u kuzyna do tego stopnia, że faktycznie właścicielem nietylko domu, ale i plantacji stał się Kasjusz. Chcąc więc załagodzić sprawę polubownie, Kasjusz powziął zamiar ożenienia się z córką plantatora, piękną Luizą w tym przeświadczeniu, że zarówno względy materialne, jak i duchowe zwyciężą. Jakież jednak było jego rozczarowanie, gdy od niedawna przekonał się, że panienska nie

żywi do niego żadnych głębszych uczuć, nawet łatwo zrozumiałej wdzięczności. Przyzwyczajony do imponowania i pochlebstw, ambitny Kasjusz nie mógł się pogodzić z myślą, że młoda kreolka odmówi mu swej rączki stanowczo, i to go oburzało do najwyższego stopnia. A jakby na domiar złego musiał odbywać pojedynki z łowcą mustangów i został sromotnie pokonany. Dzięki właśnie temu pojedynkowi utracił wiele ze swej świetności i opinii, a przytem wstyd z powodu awantury w tawernie nie pozwalał mu przebywać, jak dawniej, w towarzystwie kobiet z kolonji, a zwłaszcza tej, którą kochał, a która obdarzała względami jego przeciwnika.

Kasjusz rychło zrozumiał, że na drodze do wyznaczonego celu stanął mu łowca mustangów, Maurice Gerald, i postanowił za wszelką cenę usunąć go raz na zawsze. Opracował zbrodniczy plan i wkrótce za wygórowane pieniądze znalazł człowieka, który z największą chęcią zgodził się na dokonanie zbrodni. Był to Miguel Diaz z zawodu łowca mustangów i handlarz. Chcąc najprzód zjednać sobie Diaza i przekonać się, czy można na nim polegać, Kasjusz zakupił u niego kilka koni i kilka sztuk rogacizny, a następnie uraczył go winem i zaczął rozpytywać się, jaki jest jego stosunek do Mauricea. Okazało się, że Diaz pała również nienawiścią do Geralda i gotów jest w każdej chwili zabić go. Jakkolwiek meksykanin był powściągliwy w rozmowie, to jednak z oderwanych jego słów można było wywniosko-

wać, że kiedyś kochał czarnooką dziewczeczkę z Rio Grande i zjawienie się tam Mauricea miłość tą zerwało raz na zawsze.

Nikt nie wiedział, o czym tak często może rozmawiać kapitan Kasjusz Calchun z Miguel Diazem; ale domowników zdumiewała tak nagła i dziwna przyjaźń jaka łączyła tych dwóch osobników, z których jeden przecie miał tytuł kapitana, drugi zaś był zwykłym łowcą mustangów i handlarzem bydła.

XXIV. Nieznajoma amazonka.

Jak nakazywał zwyczaj, w willi Pointdesterów budzono się o świcie. Zaledwie zajaśniało słońce i różnobarwne ptactwo zaczęło śpiewać swój hymn poranny, gdy na tarasie domu ukazała się miss Pointdekster, świeża jak kwiat, precudna jak jutrzienka. Lecz na cudownej twarzączce dziewczeczki wyryta była troska serdeczna, jakiś cień smutku okolił jej usta. Wydało się jej teraz, że jest bardziej smutna, niż zawsze i, patrząc w dal, w step, snuła swe myśli. Po pewnej chwili rzekła do siebie:

— Może jest on ranny niebezpiecznie, może grozi mu śmierć? Nie mam nawet odwagi zapytać o jego zdrowie, a on leży tam biedny w opuszczeniu i nikt go nie dogląda... Gdybym choć miała kogoś, ktoby mógł spełniać moje zlecenie, przez kogo mogłabym posłać choremu cokolwiek... Ach, ten Zeb Stamp! dlaczego się on nie pokazuje?

I jakby w nadziei ujżenia starego myśliwego, Luiza znowu zaczęła patrzeć w step, w kierunku twierdzy Inge, lecz napróżno: droga była pusta. Natomiast z przeciwnej strony ukazało się dwóch jeźdźców, z których jeden był kobietą. Zsunięty z twarzy woal odsłonił jej dwoje czarnych ocząt i rumiane smagłe liczko. Amazonka siedziała w siodle swobodnie i trochę niedbale, co świadczyło, że umie jeździć konno znakomicie. W pewnej odległości za nią jechał na mule służący z koszykiem.

— Kim jest ta nieznajoma? — pomyślała Luiza. — Widzę ją już po raz trzeci, jak jedzie po coś do fortu. Napewno jest to meksykanka i, zdaje się, zamożna. Tylko siedzi na koniu nie tak, jak to u nas przyjęte. Lecz cóż ona zamierza zrobić? A! domyślam się, rzuca lasso.

Istotnie. w tej chwili wypadła z zarośli wyłęczniona antylopa i nieznajoma amazonka pomknęła za nią. Wyrzuciwszy w górę lasso, zwinnie zarzuciła pętlę na szyję zwierzęcia i antylopa upadła. Wówczas służący nieznajomej skoczył szybko naprzód, zadał śmiertelny cios trzepoczącemu się na ziemi zwierzęciu i rzucił je na siodło. Kobieta zwinęła lasso, poprawiła na sobie woal i ruszyła dalej. Służący pomknął za nią.

W chwili, gdy nieznajoma amazonka wyrzuciła lasso, twarzyczkę pięknej kreolki omroczył cień smutku. Stała jej żywo w pamięci uczyniona przez Mauricea wzmianka.

— Tak, to ona! Mówił mi, że jest w moim wieku i tego samego wzrostu co ja. Mieszka w Rio

Grande i często przyjeżdża tutaj do kuzynów na wakacje. Szkoda, że nie zapytałam go o jej imię, chociaż jestem pewna, że to ona.

XXV. Pierwsza rozterka.

Zaledwie meksykanka zniknęła za drzewami, gdy z lasu wyłonił się jeździec, w którym Luiza natychmiast poznała starego myśliwego Stampa. Radość jej nie miała granic: oto dowie się wszystkiego o Geraldzie i o tej nieznanym, którą Stamp spotkał po drodze.

— Mister Stamp, mister Stamp! — zawołała klaszcząc w dłonie, gdy myśliwy znalazł się w obrębie domu. — Zejdź pan prędzej z konia i proszę tu do mnie, na taras! Jakież stąd piękny widok.

— Nie znam piękniejszego widoku, nad widok pani, — odrzekł z uśmiechem myśliwy i po chwili, oddawszy swego konia Plutonowi, był już na tarasie. Luiza chwyciła go serdecznie za rękę i, patrząc mu prosto w oczy, zapytała z pośpiechem:

— I cóż? Wie pan o wszystkim? Jak się on miewa? Czy ciężko ranny?

— Pani mówi o mister Calchunie?

— Ach, nie, nie, o tym wiem wszystko. Chodzi mi o mister Geralda. Wszak on dwa razy ocalił mi życie.

— Kula ugodziła go powyżej kolana, ale to nic strasznego, zwyczajne draśnięcie skóry. Jest mu już lepiej. Jeszcze ze dwa dni w łóżku i wszystko przejdzie.

— Gdzie leży mister Gerald?

— W hotelu, w którym pojedynkował się.

— Może źle go doglądają? Może źle jest odżywiany? Mam tu dla niego trochę wina i inne niezbędne dla chorego rzeczy, więc gdyby pan zechciał...

— Bardzo chętnie.

— Ale nie powie mu pan, że to ode mnie, i że wogóle wypytywałam pana o niego, proszę bardzo!

— Może pani polegać na mnie, miss Luizo. A co do odżywiania, to zapewniam panią, że nic mu nie brak. Dostarcza mu ktoś stale moc wszelkiego rodzaju łakoci.

— A!... Któż to taki?

— Jakby tu pani powiedzieć. Zresztą Maurice Gerald sam nie wie. Kilkakrotnie do hotelu przychodził jakiś służący, z wyglądu meksykanin, i miał zawsze dla Mauricea dużą paczkę. Właśnie przed chwilą, wyjeżdżając z lasu, natknąłem się na tego człowieka. Wiózł ze sobą taki sam koszyk, jak te, które przedtem otrzymał Gerald. Towarzyszył jakiejś młodziutkiej kobiecie, widocznie swej pani.

Luiza nie wypytywała już więcej, wszystko stało się dla niej wyraźne, aż nazbyt wyraźne. Mauricem opiekuje się czarnooka meksykanka, a że jest on jej narzeczoną, nie ulega wątpliwości.

— Widzę, mister Stamp, — rzekła, ukrywając smutek, — że Maurice Gerald znalazł troskliwe serce, więc troskliwość z mej strony będzie już

zbyteczna. O jedno tylko proszę pana, nie mówić choremu, że wypytywałam o niego.

— Zaręczam pani, miss Luizo, że nie powiem mu ani słówka.

— Wierzę panu. Ale zaczyna się upał, więc zejdźmy z tarasu. Poczęstuję pana jego ulubioną wódką, proszę, mister Stamp.

Zbiegła szybko na dół i po chwili pożegnała myśliwego, zostawiając go tête à tête z butelką whisky. Pragnęła jaknajprędzej znaleźć się w swoim pokoju w samotności i wypłakać wszystkie łzy, które ścisnęły gardło i biegły do oczu. Pierwszy raz w życiu sercem Luizy targnęła zazdrość i zrozumiała, że kocha Mauricea Geralda. Lecz jakże srogo zawiedziona była jej miłość, gdy przekonała się, że Maurice ma narzeczoną i to zwinną, czarnooką amazonkę, która naprawdę godną była jego serca.

Nie mogąc znaleźć sobie nigdzie miejsca, Luiza kazała osiodłać swego pstrokatego mustanga i pomknęła w step, w kierunku twierdzy. W tym czasie wracała właśnie z fortu meksykanka. Pannienka ta jechała w cieniu drzew, więc twarz miała odsłoniętą, a woal zarzucony na ramiona. Gdy minęły się i obejrzały za sobą, twarzyczka Luizy posmutniała jeszcze bardziej, a serce jej ścisnął żal niewysłowiony.

— Jest ona piękna, — snuła swe myśli kreolka, — aż nazbyt piękna, aby stała się dla Mauricea tylko przyjaciółką. Naturalnie, kocha on ją bardzo i dlatego jestem mu obojętna, Nic mi teraz

innego nie wypada, jak tylko unikać z nim spotkania. I zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć! Ale czy to mi przyjdzie tak łatwo? Po zatargu z Kasjuszem Maurice przestanie bywać u nas i spotkać się z nim będę mogła jedynie, dzięki jakiemuś nadzwyczajnemu wypadkowi,

XXVI. Podszepty zazdrości.

Pierwszy raz w życiu Luiza doświadczała gorczy zawodu. Czuła, że jest ogromnie nieszczęśliwą i miała zarazem nadzieję, że czas przytępi wszystkie ostrza, godzące w jej serce, że siła jej woli i zdrowy rozsądek zwycięży wszystko. Lecz czas upływał, a widok człowieka, który zakłócił jej spokój, prześladował ją ciągle. Niekiedy miała wrażenie, że nienawidzi go, że mogłoby go zabić z zimną krwią, lub patrzeć, jak go zabija ktoś inny i nie przeszkodzić. Lecz było to uczucie szybko przemijające, chwilowe i znowu Luiza mówiła sobie, że pokochałaby Geralda, gdyby nawet był jej wrogiem, lub wrogiem wszystkich ludzi na świecie, uosobionym szatanem. Wogóle kobiety zdolne są kochać człowieka, którego nienawidzą i dla którego żywią pogardę. Luiza nie mogła ani nienawidzić Geralda, ani pogardzać nim, chciała być tylko obojętną. Jednak nie udawało jej się to. Całymi godzinami przesiadywała na tarasie i patrzyła na drogę, którą mógł jechać Gerald. Chociaż dała sobie słowo, że będzie unikać spotkań z Mauricem,

to jednak codzień wyruszała konno w step, do wsi, z zamiarem spotkania go.

Tymczasem meksykanka przestała jeździć do twierdzy. Luiza wywnioskowała stąd, że Mauriceowi jest lepiej. Pewnego razu, jak zwykle patrzyła w step i nagle ku swemu zdumieniu ujrzała Geralda. Jechał powoli, siedząc na koniu z zachowaniem największej ostrożności. Jedną rękę miał przewiazaną i był bardzo blady. Ujrawszy go, kreolka krzyknęła ze wzruszenia i opadła na krzesło. Jednak nie wygląd Geralda przestraszył ją. Sercem targnęła znowu zazdrość, gdyż pomyślała, że Gerald jedzie z wizytą do Isadory. Tymczasem łowca mustangów zatrzymał się naprzeciwko hacjendy i długo, długo nie odrywał oczu od domu Pointdeksterów. Słaba jakaś nadzieja zabłysła w duszy dziewczeczki: a może on teraz myśli o niej? Lecz było to tylko chwilowe przypuszczenie, gdyż Maurice ruszył znowu w dół rzeki i zniknął za krzewami. Wrócił dopiero po upływie godziny, jednak dość było tego czasu na złożenie wizyty i miłe spotkanie. Mijając dom Pointdeksterów, Gerald znowu zatrzymał konia i długo patrzył w tę stronę. Ach, jakaż ironja! Dlaczegoż on taki okrutny? Czy nie lepiej byłoby, gdyby minął ten dom obojętnie i pojechał dalej jedynie ze słodkim widokiem Isadory w duszy.

XXVII. K o c h a m.

Nazajutrz Luiza znowu zaczęła pilnie obserwować z tarasu swego domu i znowu ujrzała w stepie znajomą postać jeźdźca. Maurice przystanął w pobliżu i skierował oczy na dom Pointdeksterów. Luiza ukryła się za balustradą, jeździec pomknął dalej i zniknął w zaroślach. Miss Pointdekster była już pewna, że Gerald jedzie do Isadory, lecz tym razem postanowiła sprawdzić naocznie swoje domysły. I oto po upływie kilkunastu minut, jadąc śladem Geralda, znalazła się w lesie, na wzgórzu, skąd widać było doskonale zagrodę Don Silvia Martineza, wuja Isadory, i drogę którą mógł jechać Maurice. Lecz droga była pusta i wokół zalegała cisza uroczysta. Gdzież więc jest Gerald, czyżby już spotkał się z piękną meksykanką w domu jej wuja lub w umówionem miejscu. Nagle uszu Luizy doleciał tętent konia. Po chwili z lasu wyjechał Maurice Gerald. Był sam i wygląd jego nie pozwalał podejrzewać go o jakiegokolwiek ukryte zamiary. Luiza nie zdążyła już ukryć się, gdyż mustang jej poznał starego towarzysza i zarżał radośnie.

— Witam panią, miss Pointdekster! — rzekł Gerald z uśmiechem. — Tak sama? Zresztą wiem coś o tem, że lubi pani wycieczki w samotności.

— Wzoruję się na panu. A może nie jest pan sam?

— Owszem, lubię takie wycieczki również. Ponieważ mieszkam obecnie w hotelu, w którym

hałas dokucza mi okropnie, przeto pozwalałam sobie na spacery do tego akacjowego gaju. Prawda, jaki jest słodki ten cień i ta cisza akacji?

— Sądzę, że pan powinien lepiej wiedzieć, jako stały bywalec tutejszy.

— Byłem tutaj zaledwie dwa razy. Ale dziwi mnie to, skąd pani wie, że byłem tutaj wogóle?

— Często siedzę na tarasie, na dachu domu, a stamtąd widać wszystko.

— Ach, tak?

— Widziałam również młodziutką lady, która polowała w prerji na antylope, zarzucając na nią lasso. Odrazu domyśliłam się, że jest to ta sama osóbka, o której mi pan kiedyś wspominał.

— Isadora?

— Tak, Isadora.

— Istotnie, bawiła tutaj niedawno.

— I była bardzo łaskawa dla pana, mister Gerald?

— Tak, okazała mi wiele dobroci, lecz nie miałem sposobności podziękować jej za to. Mimo całą dla mnie przyjaźń, nie zechciała nawet mnie odwiedzić w hotelu.

— Zapewne wolała spotkanie w cieniu akacji?

— Nie widziałem jej od kilku miesięcy i znowu długo jej nie zobaczę. Wyjechała w tych dniach do ojca, który przebywa w Rio Grande. A że bawiła tutaj u swego wuja, wiadomo mi stąd, ponieważ otrzymywałem od niej paczki z różnemi łakociami, a kiedyś przysłała mi liścik. Wie pani,

Isadora jest mi wdzięczna za pewną przysługę, jaką jej kiedyś wyświadczyłem.

— Jaką przysługę, mister Gerald?

— Kiedyś została w prerji okrażona przez tłum pijanych Indian i dzięki zgoła przypadkowej obecności mojej zdołała się uratować z tak przykrych sytuacji.

— I pan to nazywa przykrą sytuacją. Jaka skromność przemawia przez pana. Gdyby ktokolwiek mnie wyświadczył taką przysługę, byłabym...

— Proszę, niech pani dokończy.

— No, pokochałabym takiego człowieka.

— W takim razie pragnę, ażeby pani znalazła się w ręku Indian i żebym mógł wyratować panią.

— Pan żartuje, mister Gerald. Nie jestem już dzieckiem. Proszę mówić szczerze!

— Mówię najzupełniej szczerze.

Luiza Pointdekster przegięła się w siodle i podała usta Geraldowi.

— Niech pan robi ze mną co chce, ja kocham pana! Kocham pana! — powtórzyła szeptem, ale z mocą.

XXVIII. Zakazana wycieczka.

Dzicy Indianie często napadali osiedla plantatorów, zmuszając ich do ciągłego pogotowia. I teraz po długiej przerwie plemiona czerwono-skórych zaczęły wałęsać się bandami. Wiadomość o tem otrzymała między innymi i rodzina Pointdek-

stera, lecz nikt nie przywiązywał do tego wielkiej wagi, ponieważ dom był zbudowany mocno i wyglądał, jak twierdza. Niemniej jednak krążące coraz uporczywiej wieści zaczęły oddziaływać na Pointdekstera zatrważająco i odbierały mu pewność siebie.

Pewnego razu cała rodzina, nie wyłączając kapitana Calchuna, który był już wyzdrowiał i mógł udzielać się towarzystwu, siedziała przy stole. W tem przybył z twierdzy posłaniec i przyniósł od komendanta list, adresowany do plantatora. W liście tym major zawiadamiał, że Indianie według wszelkiego prawdopodobieństwa szykują się do walki, gdyż pewien zbieg z pośród tubylców, wódz Seminolów nazwiskiem Dziki Kot doniósł, że widział, jak plemię Komanczów odtańczyło swój wojenny taniec, co świadczy o gotowości ich do walki. Przytem wiele band dzikich rozproszyło się po Teksasie, łupiąc i mordując bezlitośnie.

— Czyż można polegać na doniesieniach jakiegoś tam zbiega? — rzekła Luiza. — Tymbardziej, że Dziki Kot jest wrogo usposobiony zarówno względem białych, jak i czerwonoskórych.

— Słuszna uwaga, — odparł plantator, — podobnież zapatruje się na tę sprawę major. Jest on przekonany, że dwulicowy ten Indianin nie będzie długo zastanawiał się nad tym, czy ma pójść ręką w rękę z Komanczami, gdy znajdzie odpowiednią dla siebie chwilę. Tymbardziej więc musimy być ostrożni. Zresztą spodziewam się, że w pobliżu niema ani Komanczów, ani Seminolów.

Rozmowę przerwało zjawienie się starego Pompejusza, który zameldował panience, że pstrokaty mustang już osiodłany i czeka przed gan-kiem.

— Chcesz wyjechać na spacer, Luizo? — zapytał plantator tonem nieco zdziwionym. — Sama jedna? Nie rób tego, proszę.

— Nie rozumiem dlaczego? Wszak nie pierwszy raz wyjeżdżałam sama.

— I trochę za często, dodajmy.

Twarz młodej kreolki oblał rumieniec, nie wiedziała, czy słowa ojca przyjąć, jako napomnienie, czy wymówkę.

— Wbrew twojej woli, ojcze, nie pojedę. Ale nie mogę przecie całymi dniami ślęczyć w domu, kiedy nikogo tu niema i wszyscy jesteście zajęci swojemi sprawami. Niestety, nie wiedziałam, że będę skazana na takie życie w Teksasie.

— Bynajmniej nie wzbraniam ci spacerów konnych, ale nie pozwolę, abys jeździła sama, gdyż mam do tego pewne powody.

— Jakie, ojcze? — zapytała Luiza, truchlejąc.

— Czyż ostrzeżenia majora nie są wystarczającym powodem? — wymijająco odrzekł Pointdexter. — Pamiętaj, że nie jesteśmy w Louissianie wśród ludzi kulturalnych, lecz w stepach Teksasu, gdzie na każdym kroku czatują dzicy.

— O, nigdy nie wyjeżdżam dalej, jak na jakieś pięć mil!

— Pięć mil! — zawołał przerażony Calchun. I sądzisz, że w odległości pięciu mil nic cię złego

nie spotka? Woodley ma rację, nie pozwalając ci wyjeżdżać samej.

— Mylisz się, mister Calchun, skoro pomyślałeś, że w twoim towarzystwie byłabym bezpieczna. Gdyby naprzykład napadli nas Komancze, mój mustang poniósłby mnie, jak strzała, podczas gdy twoja szkapa narobiłaby ci kłopotu.

Calchun zamilkł, Pointdekster zaś zwrócił córce poraz wtóry uwagę, że nie wolno jej wyjeżdżać poza obręb domu bez towarzystwa Henryka lub Kasjusza.

Luiza musiała uleść i, rozkazawszy Plutonowi odprowadzić z powrotem mustanga do stajni, wyszła z pokoju. Ponieważ w przeddzień, w czasie przejażdżki z Geraldem, natknęła się na komendanta twierdzy, więc teraz dręczyła ją myśl, czy major nie doniósł ojcu o spotkaniu jej z Mauricem.

XXIX. „Stepowy wilk“.

Po wyjściu Luizy Kasjusz zbiegł na dół, dosiadł swego wierzchowca i puścił się galopem w górę rzeki w kierunku twierdzy Inge. W połowie drogi skręcił w akacjowe zarośla i zatrzymał się przed zapadłym domkiem, w którym mieszkał łowca mustangów i handlarz, Miguel Diaz, [przezwisekiem „Stepowy Wilk“.

Wilka nie zawsze można było zastać w jego legowisku, ale tym razem Kasjusz trafił szczęśliwie,

bo Diaz nie wyjeżdżał nigdzie i siedział w domu pijany.

Po serdecznem przywitaniu Kasjusz zaczął:

— Właśnie przybyłem do pana...

— Wiem, wiem, — przerwał Diaz, — chce pan pomówić ze mną co do tego irlandzkiego diabła. Przyrzekłem zrobić wszystko przy pierwszej sposobności i słowa nie zmienię. Ale niech panu się nie zdaje, że zabić człowieka to tak łatwo. Można pójść za to na szubienicę, a ja tymczasem nie chcę ryzykować. Trzeba poczekać, aż nadejdzie okazja.

— Właśnie jest okazja. Komancze zaczęli grasować w okolicy i szykują się do napadu.

— Skąd pan wie?

— Posiadam wiadomość z wiarogodnego źródła, od komendanta twierdzy.

— W takim razie Gerald zginie z ręki Komanczów.

— Słowo?

— Słowo! Ale to będzie kosztowało nie pięćset, lecz tysiąc pesetów.

— Dobrze dostanie pan tysiąc.

— Komancze oskalpują Geralda, więc niech pan idzie do domu i będzie spokojny. Z wroga pańskiego zdejmie się tylko czuprynę, rozumie pan? Ale tysiąc — jakbym miał w kieszeni?

— Naturalnie, służę w każdej chwili.

— Mam szczęście! — zawołał handlarz, śmiejąc się. — Tysiąc pesetów za głowę wroga, którego bym machnął za darmo! Więc Komancze szykują

się do marszu! Już trzy lata nie miałem na sobie stroju Indjanina, teraz muszę go poszukać i przymierzyć! Dobra nasza! Pożegnaj się ze światem rycerski Geraldzie!

XXX. W tajemnicy.

Spełniając wolę ojca, Luiza Pointdekster zaniedbała konnych wycieczek, ale pochłoniął ją inny sport — strzelanie z łuku. Plantator cieszył się w duchu, widząc taką uległość córki, której wystarczył teraz ogród, mający z jednej strony wysokie murowany parkan, z drugiej zaś wijącą się szarą rzeką. Myślał przytem, że spotkanie Luizy z Geraldem mogło być zgoła przypadkowym, bo wszak dobrze wychowana panienska nie wyminęłaby w drodze człowieka, któremu zawdzięcza dwukrotne uratowanie życia. Zresztą gdyby Luiza żywiła względem Geralda jakieś głębsze uczucie, to nie uległaby z taką łatwością życzeniom ojca.

Tymczasem piękna kreolka spędzała całe dnie w ogrodzie, nad brzegiem rzeki, w upiększonych posągami alejach i oddawała się z zapalem sztuce strzelania. Najczęściej jednak przebywała nad rzeką w cieniu stuletnich drzew, skąd też lubiła strzelać do biednych pliszek, które jakby na swą zgubę przylatywały w to miejsce.

Pięćdziesięcioletni ojciec widocznie zapomniał, że był kiedyś młodym i że kipiała mu w żyłach krew, bo w przeciwnym razie odgadłby tajemnicę

pozornego spokoju córki i przekonałby się, że jego córka nie jest znowu taką bezwzględną tępicielką niewinnych ptasząt. Podczas, gdy ptaki z największem zaufaniem krążyły nad jej głową, Luiza przyczepiała do ostrza strzały jakąś kartkę i wyrzucała ją z łuku w zarośla na drugi brzeg rzeki. I rzecz dziwna. Strzała krążyła tam i na powrót, przynosząc na swym ostrzu jakieś zapisane strzępy papieru. Zjawisko to mogłoby się wydawać tajemniczem i nadprzyrodzonym, gdyby nie wchodziła tu w grę zmowa dwojga młodych ludzi: Luizy Pointdekster i Mauricea Geralda.

XXXI. W noc księżycową.

Była przecudna noc podzwrotnikowa. Na szafirowem tle nieba lśnił księżyc, w przezroczystem powietrzu dalekie łańcuchy gór sprawiały wrażenie, jakby majaczyły tuż, blisko. Wiatr złożył do snu swe loty i drzewa stały nieruchome. Jedynie wśród upajających poszeptów ciszy słychać było delikatne bzykanie owadów.

W twierdzy Inge wydzwoniono już dawno północ, gdy po przeciwnej stronie rzeki w kierunku domu Pointdekstera ukazał się jeździec. Znalazłszy się w pobliżu zarośli, jeździec zeskoczył z siodła, ukrył konia w krzewach i stanął na brzegu, nasłuchując uważnie. Gdy stwierdził, że wokół jest cicho i wszystko śpi snem kamiennym, podszedł do miejsca, skąd widać było kołyszące się

na falach czołno, wziął łąasso, zatoczył niem nad głową krąg i rzucił. łąasso owinęło dziób czołna i przyciągnęło je do brzegu. Wtedy młodzieniec bez namysłu skoczył do łódki, chwycił leżące na dnie wiosła, przeprowił się na drugi brzeg rzeki, ukrył łódkę w poprzedniem miejscu i stanął pod drzewem.

Ktoś obecny, widząc skradającego się pod drzewem człowieka, sądziłby, że domowi Pointdekstera grozi jakieś niebezpieczeństwo. Nikt jednak nie wiedział, że tym człowiekiem, który czatował pod drzewem, zapatrzony w kierunku domu, był we własnej osobie Maurice Gerald.

XXXII. Smutna wiadomość.

Luiza nie dała Geraldowi czekać na siebie zbyt długo. O umówionej godzinie, zaledwie doleciał ją plusk wiosel i lekkie skrzypnięcie furtki, wybiegła z domu i skierowała się akacyjową aleją w stronę drzewa, pod którym oczekiwał Maurice.

O, jakie słodkie i radosne było ich spotkanie! Ale po chwili zamroczył je smutek. Maurice oznajmił, że nazajutrz, zaledwie błyśnie świt, musi jechać do Alamo, chcąc się dowiedzieć, co porabia Felim.

— Ale nie długo będziesz bawił w Alamo? — zapytała ze łzami w oczach Luiza.

— Najwyżej dwa dni, potem już raz na zawsze pożegnam życie w prerji. Czy cię to dziwi, Lu?

— Bardzo.

— Dowiesz się reszty później. Tymczasem musimy się rozstać.

— Rozstać się... Ach, Maurice, na długo?

— Na przeciąg czasu, niezbędny na przebycie oceanu Atlantyckiego tam i z powrotem.

— Ale to wieczność! I w jakim celu ta podróż?

— Jadę do swoich, do Irlandji. Ale gdy wrócę, dowiodę twemu dumnemu ojcu, że biedny dotychczas łowca mustangów nie jest tym, za kogo go mają. Wierz mi!

— Ach, Maurice, Maurice... — szepnęła z głęboką wiarą Luiza i reszta jej słów utonęła w jego długim, długim pocałunku.

Było uroczyście cicho dokoła, bo nawet zamilkły świerszcze w trawie i nocne ptactwo posnęło na drzewach. Ale zakochani tak byli zajęci rozmową, że nie zauważyli, jak boczną ścieżką przemknął się cień człowieka, najprzód przystanął za posągiem, potem przyczaił się za drzewem w odległości kilku kroków od nich, mogąc z tej zasadzki słyszeć każde słowo, widzieć każdy ruch. Nikt nie wątpi, że był to Kasjusz Calchun.

XXXIII. Rycerskość Kasjusza.

Kasjusz Calchun chciał pod pierwszym wrażeniem rzucić się na szczęśliwszego od siebie młodzieńca i zadać mu śmiertelny cios kindzałem, lecz

widok sześćostrzałowego rewolweru, błyszczącego u pasa Geralda, powstrzymał go. Zawrócił więc szybko do domu i wpadł zdyszany do pokoju, w którym spał Henryk Pointdekster.

— Wstawaj prędeż, Henryku i chodź ze mną!

— Cóż to znaczy? Co się stało? Może Indianie?

— Gorzej! Chodź prędeż, póki czas, póki nazwisko Pointdekstera nie stało się pośmiewiskiem w Teksasie!

Henryk był ubrany w ciągu kilkunastu sekund i podążał za Kasjuszem do ogrodu.

— Co to wszystko ma znaczyć, Kasjuszu? — zapytał, przyśpieszając, na znak tamtego, kroku.

— Spójrz tutaj, pod drzewami, gdzie przywiązana łódź twoja. Czy widzisz?

— Widzę coś białego, jakby suknię kobiety.

— To kobieta. Poznajesz ją?

— Skądże!

— A tam, przy niej ciemna postać.

— To mężczyzna.

— Jak ci się zdaje, kto to jest?

— Doprawdy, nie wiem.

— Maurice, łowca mustangów.

— A ona?

— Twoja siostra, Luiza!

Henryk rzucił się naprzód, jak szalony, i w jednej chwili stanął przed Geraldem, grożąc mu rewolwerem.

— Precz stąd, podstępny niegodziwcze! — zawołał. — Odejdź, Luizo, abym go zabił, jak psa!

Zanim wypowiedział te słowa, kreolka rzuciła mu się na szyję, i krępując jego ruchy, krzyknęła w stronę Geralda.

— Uciekaj prędzej! Brat się myli, ale ja mu wszystko wyjaśnię.

Gerald nie poruszył się z miejsca i rzekł z godnością.

— Mister Pointdekster, niesłusznie nazwał mnie pan niegodziwcem. Proszę mi dać pewien czas, a ja dowiodę panu, że pańska siostra lepiej mnie zrozumiała, aniżeli jej ojciec, brat i kuzyn. Jeżeli w ciągu sześciu miesięcy nie uda mi się dowieść, że jestem godzien zaufania i miłości ze strony miss Luizy, może mi pan spokojnie palnąć w łeb, jak pierwszemu lepszemu psu. Tymczasem żegnam!

Słowa te tak podziały na Henryka, że opuścił rewolwer i przestał się wyrywać z objęć siostry. Zresztą Luiza sama uwolniła go od siebie, bo po chwili czołno odbiło od brzegu i rozległ się miarowy plusk wody.

— Henryku, — rzekła Luiza głosem drżącym ale poważnym, — tyś niesprawiedliwie osądził Geralda. Gdybyś wiedział, jaki on uczciwy! Wyznał mi, co zamierza przedsięwziąć, aby uniknąć nieporozumienia i obdarzyć mnie szczęściem. Ty nie wiesz, że on należy do znakomitej rodziny. Zresztą, gdyby nawet był niskiego pochodzenia, to serce moje należałoby do niego tak samo.

— Wiem, że go kochasz, — odrzekł Henryk tonem nieco łagodniejszym, — widziałem to.

- Więc tym bardziej nie powinieneś mu ubliżyć.
- A czyż ja mu ubliżyłem?
- Ach, Henryku, i to bardzo!
- W takim razie muszę go przeprosić. Natychmiast idę do hotelu i pomówię z nim. Ale wiesz, — dodał z lekkim uśmiechem, — on mi się odrazu podobał.

Luiza szczęśliwa chwyciła brata za rękę z wyrazem bezsłownej wdzięczności, i po chwili oboje skierowali się do domu. Gdy kroki ich ucichły już w ogrodzie, z krzaków wypełznął, jak wąż, Kasjusz Calchun z mocnem postanowieniem udania się w ślad za Geraldem.

XXXIV. Nowe niepowodzenie.

W chwili, gdy Henryk, ubrany w szeroko-skrzydły kapelusz i płaszcz, był gotów do drogi, zbliżył się do niego Kasjusz Calchun i rzucił mu z wymówką:

- Głupi, puściłeś go tak wspaniałomyślnie!
- Dobrze, że się powstrzymałem w porę, — odparł spokojnie Henryk, — bo byłbym go niesłusznie zabił. I tak, dzięki tobie, znieważyłem przyzwoitego człowieka.
- Przyzwoitego? Ha! ha! ha! Zwarjowałeś do reszty! I dokądże tak jedziesz?
- Do Mauricea przeprosić go.
- Żartujesz chyba!
- Mówię zupełnie poważnie.

— W takim razie naprawdę jesteś warjatem!

— Zwracam ci, Kasjusz, uwagę, że zaczynasz mi ubliżać. Ale czas zrobi swoje i ty cofniesz swe słowa.

Gdy Henryk odjechał i zniknął za drzewami, Kasjusz szybko osiodłał swego konia i pomknął za kuzynem. Ale w połowie drogi skręcił w zarośla i po chwili stanął przed domkiem Miguela Diaza, wierząc, że tylko ten zaprzysiężony handlarz dopilnuje Geralda w drodze do Alamo i zamorduje go. Potem będzie można rozpuścić wiadomość, że zabójstwa dokonali Indjanie.

Zaledwie Kasjusz przestąpił próg mieszkania, doleciało go niezwykle chrapanie, a następnie jakieś niezrozumiałe słowa, wypowiedane jakby w gorączce. To Diaz, jak zwykle był pijany i mówił coś sam do siebie o „meksykańskim psie“ i o Komanczach, klnąc i złorzecząc wszystkim bez wyjątku. Gdy Kasjusz próbował go obudzić, otworzył tylko mętne oczy, spojrzął na gościa wzrokiem idjotycznym i zapadł znowu w stan nieprzytomny.

— Niepowodzenie na każdym kroku! — warknął wściekły Kasjusz. — I czekaj tu teraz, aż się ten dureń wyśpi... A tymczasem będzie zapóźno.

Wyszedł szybko z chaty, dosiadł konia i bez namysłu puścił się w dalszą drogę.

XXXV. Podstępny strzał.

W chwili, gdy Calchun opuścił chatę „Stepowego Wilka“, Gerald wyjechał z twierdzy Inge w stronę Alamo. Pochłonięty jakąś myślą, nie śpieszył się zbytnio i puścił wodze koniowi, który widocznie doskonale znał drogę do domu.

Po upływie pewnego czasu, gdy piętrzące się zabudowania twierdzy zniknęły mu z oczu, w ślad za Geraldem, bo tą samą drogą wyruszył Henryk. Nieustanny świst szpicruty i pośpiech, z jakim koń pędził, wskazywały, że młody Pointdekster chciał za wszelką cenę kogoś dogonić.

I jakby tej nocy miały się odbywać jakieś zwiady tajemnicze, jakby chodziło o wyśledzenie czyichś kroków i ujęcie kogoś -- z fortu Inge wysunął się trzeci jeździec, kierując konia wprost do Alamo. Jeździec ten zdradzał jakiś niezwykły niepokój, ściskając w dłoni rewolwer, ale przystawał co chwila, rozglądał się i nasłuchiwał, jakby w obawie, aby go kto nie zauważył.

W odległości dziesięciu mil od Inge rozciąga się las głęboki, pełen naturalnych zasadzek i zwierza. Gerald pierwszy znalazł się w jego mroku, pod cienistym sklepieniem gałęzi. Jednocześnie Henryk, ujrawszy w pobliżu siebie sylwetkę łowcy mustangów, przyśpieszył biegu i z okrzykiem zadowolenia zniknął w gąszczach. W tej chwili dotarł do lasu trzeci jeździec, ale nie poszedł za przykładem tamtych, bo szybko zeskoczył na zie-

mię, ukrył konia w zaroślach i chyłkiem zagłębił się w lesie.

Pusto było dokoła, przerywały tylko ciszę przeciągłe, jakby podziemne, wycia dzikiego zwierza i pohukiwania nocnych ptaków. Gdzieś gdzieś pełzał gad obrzydliwy i sykał, wyciągając zabójcze żądło. Czas uchodził, gąszcze objęła nieprzenikniona ciemność.

Nagle rozległ się huk strzału i zlekka zaszumiały gałęzie. Potem wszystko ucichło, jakby mieszkańcy leśni zatamowali w przestachu oddech i przyczaili się, czując zbliżenie się wroga. Upłynęła jedna chwila i druga, a las stał niemy, zastygły, z ukrytą w mrocznych swych głębiach tajemnicą.

XXXVI. Zwiastun zbrodni.

Już poraz wtóry zadźwięczał gong, wzywający rodzinę Pointdekstera na śniadanie, a Henryk nie zjawiał się jakoś. Zrazu nie zwrócono na to uwagi, ale gdy nieobecność zwykle punktualnego młodzieńca przeciągała się dłużej, Pointdekster był zagniewany i zdziwiony jednocześnie.

— Co to ma znaczyć? — pytał co chwila, spoglądając to na drzwi, to na okno i nasłuchując uważnie.

Luiza miała w oczach niepokój, Calchun unikał jej wzroku, był podrażniony, często wychodził z pokoju, ale patrzący na nich plantator nie przy-

wiązywał do tego żadnej wagi, mruczając tylko pod nosem:

— Rzecz dziwna, że Henryk nie przyszedł na śniadanie. Chyba nie śpi do tej pory, bo nigdy tak późno nie zwykł wstawać. Czyżby wyszedł gdzie i oddalił się tak bardzo, że nie dosłyszał gongu? Plutonie, — zwrócił się do służącego negra, — zastukaj do pokoju Henryka i powiedz mu, że oczekujemy na niego.

— W pokoju go niema, mister Woodley, — odrzekł służący.

— Skąd wiesz?

— Wiem, bo przeszukałem cały dom. Mister Henryk musiał zapewne wyjechać.

— To zdumiewające! — zawołał plantator. — A czy koń jego jest?

— Zglądałem do stajni, ale są tam tylko konie kapitana i panienki. Mister Henryk napewno wyjechał, bo gdzie jego koń, to i on tam.

— Nie, to nie do wiary! Idź-no natychmiast i poszukaj mi Henryka lepiej!

Gdy Pluton wyszedł, Pointdekster rzekł, jakby do siebie:

— Jeżeli naprawdę wyjechał, to musiało to nastąpić bardzo rano albo w nocy. Gdzież jednak mógł spędzić noc? Czyżby w twierdzy z tamtejszą młodzieżą? Chyba nie za stolikiem w tawernie.

— O nie, on do tego niezdolny, — bąknął Calchun, aby coś powiedzieć.

Luiza sądziła, że Kasjusz nic nie wie o wyjeździe brata, a zwłaszcza o przyczynie wyjazdu,

i dlatego wolała milczeć. Ale w miarę, jak czas upływał, a Henryka nie było widać, zaczęła się niepokoić ogromnie, pełna sprzecznych przypuszczeń i złych podejrzeń.

Nagle do pokoju wpadł Pluton zdyszany i wystraszony śmiertelnie.

— Co się stało? — skoczył do niego Pointdekster. — Mów!

— Młodego pana niema, — wykrztusił wreszcie służący, — ale... koń jego... jest przed bramą.

— Co to ma znaczyć! Gadaj po ludzku!

— Mister Woodley, ja się boję, że koń zgubił swego jeźdźca.

— Głupstwa pleciesz! — zachnął się plantator. — Henryk zbyt dobrze jeździ konno, aby pozwolić się wyrzucić z siodła.

— Tego nie mówię, mister Woodley, ale... niech pan sam pójdzie zobaczyć!

Gdy plantator, Luiza i Calchun znaleźli się przy bramie, ogarnęła ich nagle zgroza. Koń był cały spieniony, uderzał niespokojnie kopytami i parskał tak nerwowo, jakgdyby umknął przed czemś strasznym! Na szerści i na siodle miał krople i plamy zaskrzepłej krwi, co nie pozwalało już wątpić, że krew ta, której znaki roztropne zwierzę przyniosło do domu — jest krwią Henryka Pointdekstera.

XXXVII. Cenna wskazówka.

Woodley Pointdekster skoczył na konia i jak szalony popędził do twierdzy. Calchun uznał za stosowne towarzyszyć mu. Błyskawicznie rozeszła się po okolicy wiadomość, że dzicy czerwonoskórzy wyruszyli po krwawą zdobycz skalpów, a młody Pointdekster pierwszy padł ich ofiarą.

Przedstawiciele miejscowej kolonji oraz oficerowie z komendantem twierdzy na czele urządzili na prędcie naradę i po krótkiej debacie postanowili wysłać silny oddział żołnierzy, któryby miał na celu nietylko wyszukanie trupa nieszczęśliwego młodzieńca, ale i urządzenie dzikim krwawego odwetu. Lecz dokąd miał ten oddział wyruszyć, a zwłaszcza jaką pójść drogą — narazie nie można było ustalić, ponieważ zapytywany plantator nie wiedział, czy syn wogóle zamierzał gdzie wyjechać, Calchun zaś dawał wymijające odpowiedzi, utrudniając w ten sposób zorientowanie się w sytuacji. Mówił, że pożegnał Henryka już po spożyciu kolacji, późnym wieczorem. i był przekonany, że ten udaje się do swego pokoju na nocny spoczynek.

Podczas badania, gdy żadna ze stron najbardziej wtajemniczonych w życie Henryka nie mogła dać należytego wyjaśnienia, przez tłum ciekawych oraz biorących udział w naradach zaczął przeciskać się właściciel tawerny, Oldduffery, oznajmiając, że w sprawie tajemniczego zniknięcia Henryka może udzielić pewnych informacji. Dopuszczony do głosu, zeznał, że zamieszkały u niego chwilowo po

pojedyńku Maurice Gerald wyjechał, jak zwykle to robił, późną nocą, a następnie wróciwszy do swego numeru zażądał szybko rachunku, uregulował należność co do ostatniego grosza i wyjechał z hotelu w niewiadomym kierunku. Ponieważ przedtem łowca mustangów nie był nigdy takim punktualnym dłużnikiem, przeto tym razem nasuwa się podejrzenie, skąd miał ten gość tyle pieniędzy na uiszczenie tak znacznej kwoty. Ale rzecz bardziej zdumiewająca, bo po upływie jakichś dwudziestu minut od chwili wyjazdu Geralda w hotelu zjawił się Henryk Pointdekster i dowiedziawszy się, że Gerald wyjechał, puścił się za nim w pogoń.

Wyjaśnienie właściciela tawerny było na tyle cenne, że odkryło przewodnią nić sprawy. Teraz chodziło tylko o to, dokąd mógł wyjechać łowca mustangów, a jeżeli do domu, to gdzie ten dom się znajduje. Wprawdzie nikt z obecnych nie znał stałego miejsca pobytu Geralda, ale wiele osób zeznało, że zagroda jego znajduje się gdzieś u źródeł rzeki Nueses w pobliżu rzeki Alamo.

W ten sposób zdecydowano ostatecznie wyekspedjować oddział wojska w kierunku Nueses do Alamo, gdzie prawdopodobnie zamiast jednego trupa Henryka, znajdzie się drugi, Mauricea Geralda, również zamordowanego przez dzikich czerwonoskórych.

XXXVIII. Kałuża krwi.

Przerażony wiadomością o rozpoczętych przez dzikich Indjan morderstwach, komendant bezwłocznie stanął na czele dość silnego oddziału wojska i wyruszył w drogę forsownym marszem. Zaledwie jednak oddział znalazł się na skraju lasu, przez który wiodła droga do Alamo, gdy jeden z wywiadowców, wysłanych umyślnie naprzód, nagle przystanął. Na ziemi były wyraźne ślady dwóch koni i szły one za sobą w jednym kierunku, potem zawracały w przeciwną stronę.

— I cóż, masz co ciekawego? — zapytał komendant wywiadowcę.

— Owszem, udało mi na razie ustalić, że w tem miejscu zabito człowieka.

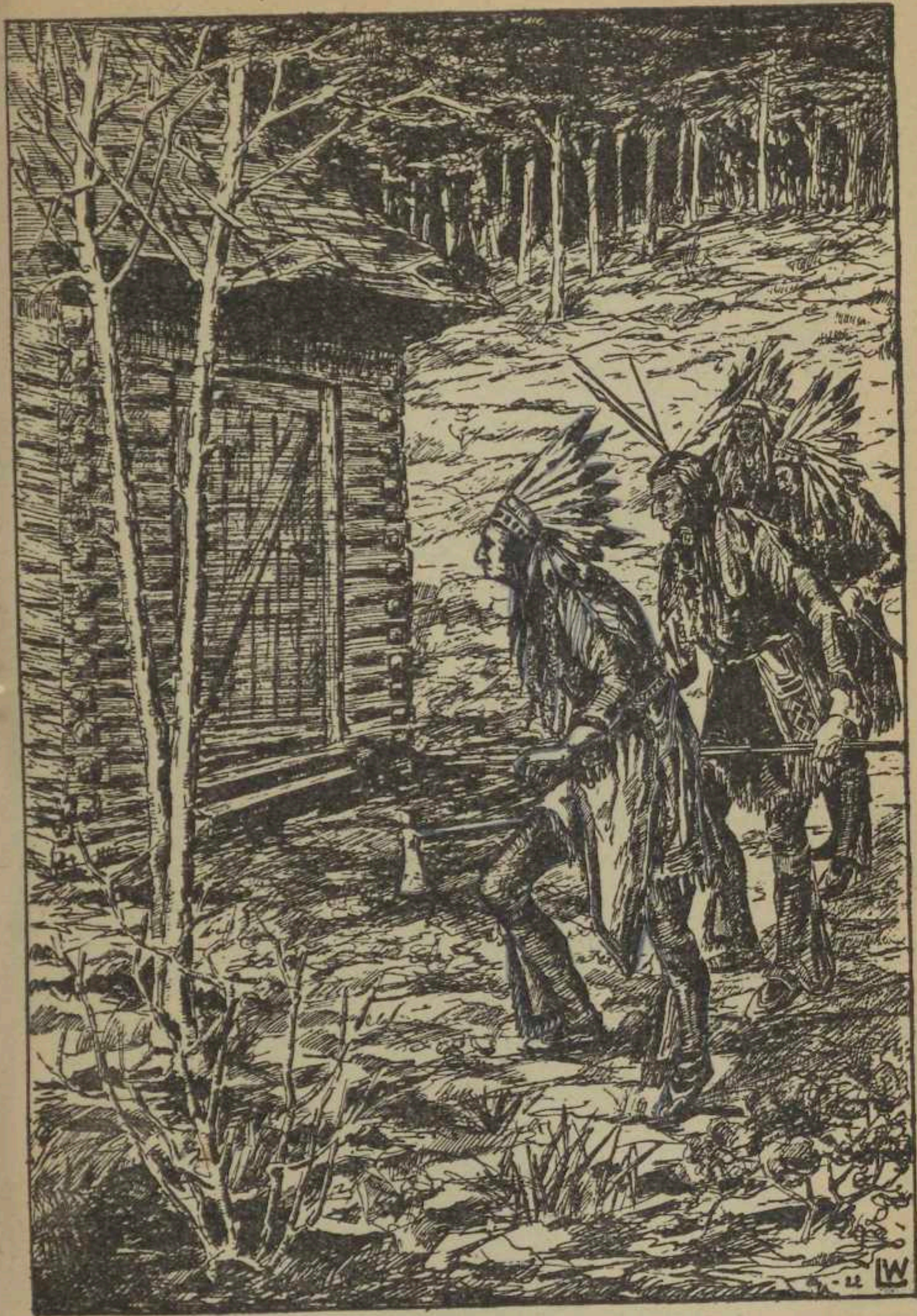
— Co mówisz! Znalazłeś trupa?

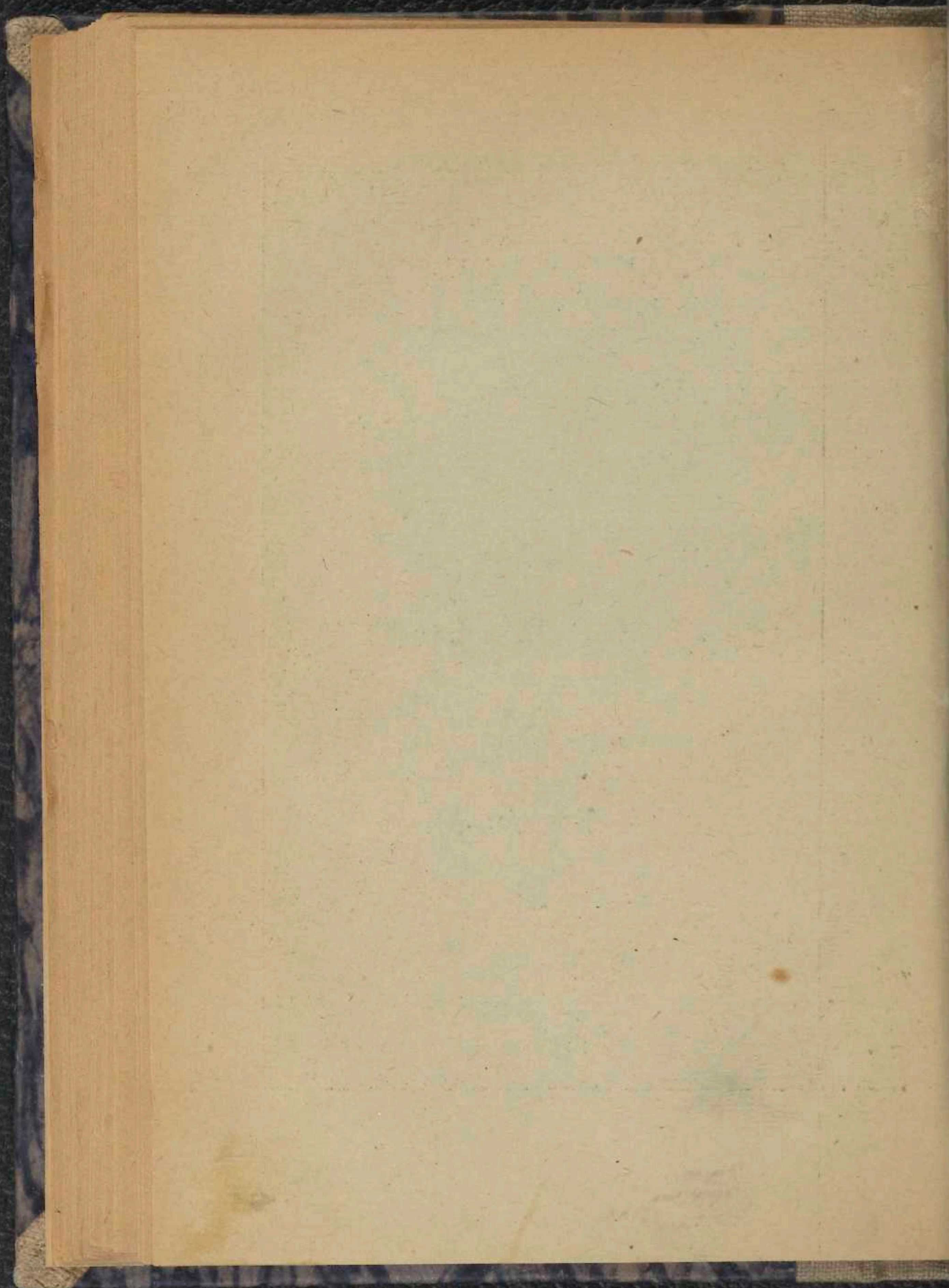
— Nie, ale kałużę krwi. Proszę, panie komendancie, iść za mną, reszta zaś, a zwłaszcza Woodley i Calchun niech zostaną.

— Proszę panów, — rzekł komendant, zwracając się do towarzystwa, — wywiadowca zabiera ze sobą tylko mnie, panowie zaś musicie zatrzymać się tutaj.

Słowa komendanta były przyjęte, jak rozkaz, i nikt nie ruszył się z miejsca. Tymczasem wywiadowca pokazał komendantowi zakrzepłą kałużę krwi, która była tak obfita, że ten, kto ją przelał, nie mógł żyć dłużej ani chwili.

— Jak sądzisz, kto twoim zdaniem został tutaj zabity?





— Syn tego starego pana. Dlatego prosiłem, aby Woodley nie szedł z nami.

— Naturalnie, zbrodnię popełnili Komancze.

— W żadnym razie nie oni. Gdyby tu byli Indianie, ujrzelibyśmy na ziemi ślady nie dwóch, lecz czterdziestu przynajmniej koni niepodkutych. Tymczasem mamy na ziemi wyraźnie ślady podków, a wielkość ich wskazuje, że jedne należą do mustanga, drugie do amerykańskiego konia. Ale chodźmy dalej, — rzekł wywiadowca i znalazłszy się w miejscu, gdzie ślady kopyt zawracały w przeciwną stronę, — podniósł z ziemi niedopałek cygara.

— Otóż tutaj jeźdźcy zatrzymali się na pewien czas i rozmawiali ze sobą spokojnie. Ale nie mogli palić cygara na chwilę przed dokonaniem morderstwa. Napewno do kłótni doszło pomiędzy nimi później i zabójstwo zostało dokonane nie wcześniej, aż w powrotnej drodze. Tylko dziwne, gdzież się mógł podziąć trup zabitego? Bo wszak Indianie go stąd nie zabrali ze sobą, gdyż napewno ich tu nie było.

— Ale utrzymujesz, że został zabity syn plantatora?

— Bynajmniej. Jestem pewny, że padł ofiarą ten z tych dwu jeźdźców, którego koń przyniósł na sobie plamy krwi.

— Więc koń młodego Pointdekstera przyszedł okrwawiony!

— W takim razie...

— Któż więc jest mordercą, jeśli Henryk zabity?

— Doprawdy, tracę głowę. Ale w każdym razie nie mogę podejrzewać o to łowcy mustangów. Taki szlachetny człowiek...

— Ja też tak sędzę.

— A nawet, gdyby Henryk Pointdekster padł z ręki Geralda, to tylko w uczciwym pojedynku. Dziwi mnie wyłącznie ta rzecz, że trupa nigdzie nie widać. No, ale czas w drogę. Jednak staremu gentlemanowi...

— Najlepiej nic nie mówić, — dokończył komendant i odszedł w stronę oczekującego towarzystwa, wywiadowca zaś udał się śladami kopyt na dalsze poszukiwania.

XXXIX. Kula ze znakami.

Wkrótce rozległ się gwizdek wywiadowcy i wszyscy podążyli ku niemu. Ale nieoczekiwany wypadek zatrzymał na chwilę całe towarzystwo. Oto ni stąd ni zowąd na leśnej ścieżynie, wydeptanej widocznie przez zwierzęta leśne, chodzące do źródła po wodę, ukazał się piękny centkowany jaguar. Wyleknione zwierzę nie zdążyło uciec, bo nieomal jednocześnie rozległy się dwa strzały i jaguar padł zabity. Powstał spór, czyja kula była celniejsza: Kasjusza Calchuna, czy pewnego młodego właściciela plantacji.

— Ja państwu dowiodę, — rzekł Calchun, — że zwierzę to padło z mojej ręki, bo proszę wyciągnąć zeń kulę, a zobaczycie na niej moje ini-

cjały i sierp księżyca, którym są oznaczone wszystkie me kule.

Istotnie po wyjęciu kuli z zabitego zwierzęcia okazało się, że Calchun miał słusność. Kula była z jego znakami. Nie zatrzymując się dłużej, towarzystwo ruszyło w głąb lasu.

I rzecz dziwna, zamiast śladów dwóch koni, jak dotychczas, obecnie było widać jedynie ślady mustanga. Według oświadczenia wywiadowcy, ślady konia amerykańskiego pobiegły dalej w prerję, aż do kolonji nad Leoną. Obecnie zaś, aby odkryć miejsce pobytu zabójcy należało kierować się śladami mustanga i badać dokładnie drogę, którą biegł. Lecz oto ślady te zaczęły zdradzać dość zagadkowy kierunek. Widocznem było, że mustang pędził zygzakiem to w tę to w ową stronę i często zawracał na poprzednie miejsce, jakgdyby nikt nim nie kierował lub siedzący na nim jeździec był nieprzytomny. Wywiadowca, nie mogąc ze swych spostrzeżeń wyciągnąć żadnych wniosków, zachodził w głowę, co się stało z trupem Henryka; zagadka była teraz bardziej zagmatwana, niż przedtem, coraz nowe odkrycia i szczegóły pogłębiały jedynie tajemnicę.

Tymczasem oczom obecnych ukazał się widok niezwykły, niepojęty i zarazem przejmujący zgrozą. W stepie, w promieniach zachodzącego słońca zamajaczyła ogromna postać jeźdźca bez głowy. Jeździec siedział w siodle prosto, i cały układ postaci miał wspaniałą i zgrabną. Obecni wydali okrzyk zdziwienia i przestachu. Gdyby ktoś in-

nym razem powiedział, że miał przed oczami tak potworne zjawisko, niktby nie uwierzył, sądząc, że coś podobnego może się przydarzyć tylko we śnie. Ale tu wszyscy widzieli wyraźnie jeźdźca bez głowy na pięknym mustangu i fakt ten nie podlegał żadnej wątpliwości. Patrzano długo bez słowa, w najwyższym osłupieniu.

Nagle na złocistym tle nieba dziwaczna sylweta jeźdźca bez głowy jakby uczyniła ruch gwałtowny, mustang zawrócił na miejscu i pomknął z kopyta w dal. Pędził prosto ku słońcu i malał coraz bardziej, aż wreszcie znikł, pochłonięty, zda się, przez rozpaloną do czerwoności kulę zwisającego tuż nad stepem słońca.

XL. Czarne jastrzębie.

Chmura czarnych jastrzębi krążyła nad lasem w miejscu, gdzie w odległości kilkuset kroków od kałuży krwi leżał nieruchomo, jakby rzucony na pastwę drapieżników, jakiś młodzieniec. Młodzieniec ten był blady śmiertelnie, a twarz jego znamionowały szlachetne i delikatne rysy. Patrzył nieprzytomnie jakby szklanemi, zastygłemi oczami przez pół przymknięte powieki i był podobny raczej do trupa, niż do człowieka, który za chwilę mógł się obudzić i zawezwać ludzkiej pomocy. I rzeczywiście słońce, które rzucało mu prosto w oczy nieznośny żar promieni, zmusiło go do ocknięcia się. Uniósł się całym ciężarem ciała i wsparł na łokciu, patrząc mętnym wzrokiem dokoła siebie i myśląc,

czy śni, czy też przeżywa to wszystko na jawie. Uczuł straszliwy ból nogi i zaczął sobie uprzytomniać, w jaki sposób znalazł się w lesie, a przede wszystkim przypomniało mu się, że spadł z konia i uderzył silnie o drzewo. Koń gdzieś zniknął, zapewne wystraszony pognał do domu. Ale, mimo wysiłku i najszczerzej chęci nie mógłby teraz dotrzeć do konia, gdyż ból całego ciała i spuchnięte kolano nie pozwalały mu ruszyć się z miejsca. Myśl, że, nie mając znikąd pomocy, będzie musiał konać powoli w ostępach leśnych z głodu i pragnienia lub żywcem stanie się łupem dzikich zwierząt i jastrzębi, budziła w nim rozpacz. Próbował krzyczeć, ale nikt się nie odzywał, bo zresztą nie było nadziei, aby do tej głuszy leśnej zajrzał jaki litościwy człowiek. Tak upłynęło dwie godziny na rozpaczliwym wyczekiwaniu pomocy skądkolwiek. Młodzieniec przypomniał sobie, że gdzieś w pobliżu płynie strumień czystej wody, i myśl o wodzie, o ugaszeniu pragnienia, zwyciężyła w nim nagle uczucie bólu. Wsparł się na rękach i zaczął powoli z największą ostrożnością pełznąć wąziutką ścieżką, wydeptaną przez leśną zwierzynę, chodzącą wtedy na poisko. Ból nogi dokuczał mu straszliwie, więc zatrzymywał się co chwilę, aby odpocząć i zebrać resztki sił.

Tymczasem czarne jastrzębie, przeczuwając, że pełzający w zaroślach człowiek opadnie z sił i zlegnie wyczerpany śmiertelnie, unosiły się nad nim chmurą złowieszczą, a, gdy odpoczywał, zniżały swój lot gwałtownie i przelatywały bezszele-

stnym rozmachem skrzydeł z drzewa na drzewo coraz bliżej, coraz bliżej.

Nagle młodzieńcowi przyszła zbawienna myśl do głowy. Postanowił zmienić tak uciążliwy i powolny sposób przesuwania się na bardziej wygodny. Myśliwskim nożem, który zawsze nosił przy sobie, ściał gałąź młodego dębczaka i, wspierając się na niej, jak na szczudle, poszedł dalej. Po upływie dziesięciu minut leżał na brzegu wijącego się wśród zarośli strumienia i wchłaniał w siebie z rozkoszą orzeźwiający dobroczynny napój.

XLI. Straszliwe widziadło.

W domu łowcy mustangów nie zaszła żadna zmiana. Felim siedział, jak dawniej, pośrodku izby, oczekując z utęsknieniem na mającego wrócić Geralda i skracając sobie czas gorzałką, pies, Tara, leżał wyciągnięty na końskiej skórze i co chwila podnosił uszy, nasłuchując. Tylko broń, książki i inne drobiazgi były uprzątnięte i powiązane w tłomoki, a w izbie odczuwało się pewną przykrą pustkę.

Godziny mijaly monotennie i cisza, zalegająca całe osiedle, zaczynała coraz bardziej dokuczać. Tak długo trwająca nieobecność Geralda nie na żarty zaniepokoiła podchmielonego już Felima. Zawoławszy na psa, wyszedł szybko z mieszkania i skierował się na wzgórze, skąd widać było step cały, jak na dłoni. Czekał nie długo, bo w dali

ukazał się jeździec, pędzący prosto do Alamo. Felim natychmiast poznał swego pana, chociaż zdziwiło go tylko jedno, że mimo tak nieznośnego upału, Maurice jechał w płaszczu szczelnie nim owinięty. Ale w miarę, jak jeździec stawał się coraz lepiej widzialnym, Felima uderzył jeszcze inny, przejmujący zgrozą szczegół. Oto wydało mu się, że pan jego miał odciętą głowę.

— Matko Najświętsza! A to co takiego? — zawołał w najwyższym osłupieniu i zaczął patrzeć wyteżonym wzrokiem, aby się przekonać, czy nie śni. Ale nie! jeździec miał głowę odciętą i trzymał ją w ręce, przyciskając kurczowo do siebie.

Postać Felima była wyrazem skamieniałej zgrozy. Pies Tara miał ślepią dzikie, rozgorzałe nienawiścią i zaczął wyć ponuro i ujadać naprzemian.

W tej chwili koń, na którym siedział jeździec bez głowy, zawrócił nagle i jak szalony popędził z powrotem w step, ukazując rozszerzonym oczom Felima straszną umazaną we krwi głowę jeźdźca. Oniemniały z przerażenia Felim odwrócił się od tego potwornego widziadła i co tchu rzucił się do panicznej ucieczki. Wpadłszy do domu zatarasował za sobą drzwi, jakgdyby to okropne straszidło pędziło za nim. Wzywając wszystkich świętych i miotając się, jak oszalały po izbie, Felim długo nie mógł się uspokoić i pozbyć mroźącego mu w żyłach krew lęku, dopiero, gdy uprzytomnił sobie, że ten straszny jeździec pomknął w przeciwną stronę i zniknął w stepie, usiadł bezpiecznie na poprzednim swem miejscu i dla zabicia przykrego

wrażenia zaczął nanowo pić gorzałkę pełnymi kubkami. Wreszcie od nadmiaru trunku runął na podłogę, jak kłoda, i po chwili zasnął snem twardym, kamiennym.

XLII. Czterech Indjan.

Była już późna godzina wieczoru, gdy przed osiedlem Mauricea Geralda stanęło czterech jeźdźców. Twarze i piersi mieli wytatuowane, na głowach różnobarwne pióra, stroje dzikich Komanczów. Ukryli konie w pobliskich zaroślach i ukradkiem podeszli do chaty, nasłuchując. Ale wokół osiedla panowała głęboka cisza i z wnętrza mieszkania nie dochodził najlżejszy szmer. Jeden z Komanczów stanął pode drzwiami z zamiarem uchylenia ich i sprawdzenia, czy jest kto w domu, ale jakież było jego zdumienie, gdy stwierdził, że drzwi są szczelnie zaryglowane.

— Niech to djabli porwą! — zaklął w narzeczu kastylskim. Niema go w domu! Czy być może, aby dotychczas nie wrócił lub wyjechał zupełnie?

— Wysadzić drzwi i przedostać się do środka! — zawołał drugi Indjanin w najczystszyim języku hiszpańskim. — Nie możemy przecie wracać z niczem!

— Naturalnie! — rzekł trzeci, władający również doskonale językiem Cervantesa! — Zajrzyjmy no do jego śpiżarni, bo już naprawdę kiszki marsza grają.

— Słyszałem, że łowca mustangów posiada doskonałą spiżarnię, — zauważył czwarty Indjanin.

Uwaga ta podziałała magicznie, bo wszyscy czterej ruszyli do drzwi i, podparłszy się ramionami, zaczęli je wyłamywać. Na niczem jednak spełzły ich wysiłki; bo drzwi były nietylko zamknięte, ale zabarykadowane jakimś ciężarem. Wtedy Indjanie wyrznęli we drzwiach olbrzymi otwór, odsunęli z łatwością przeszkodę i weszli do izby. W świetle księżyca ujrzeli leżącego na podłodze człowieka.

— Śpi? — spytał półgłosem jeden z rozbójników.

— Gdzie tam! Pijany, jak bel! — rzekł wódz, pochylając się nad leżącym. — Widywałem go przedtem i wiem, że jest to służący Geralda. Pana niema w domu, więc spił się ile dusza zapagnęła. Ale i nam przecie cośkolwiek zostawił. Patrzcie-no, chłopcy, nie omyliłem się! Oto niedopita butelka.

Przyjaciele bezzwłocznie zabrali się do picia resztek whisky i rozsiadłszy się na czem kto mógł zaczęli oczekiwać na gospodarza domu. Jakiż jednak był cel ich wizyty w osiedlu łowcy mustangów o tak spóźnionej porze? Z rozmowy tych tajemniczych Indjan można było łatwo wywnioskować, że przybyli tu, aby Geralda zamordować. Ale czas już odsłonić prawdę. Wodzem Komanczów był we własnej osobie handlarz, Miguel Diaz, reszta zaś — jego towarzysze z których każdy miał obiecanę po sto dolarów za pomyślne dokonanie wyprawy. Przebrali się w stroje dzikich Komanczów umyślnie, aby zmylić za sobą ślady, w razie pogoni, i nie dać się poznać.

— Idź-no, Baracho na wzgórze i dawaj baczność na wszystkie strony, — rzekł Stepowy Wilk do jednego ze swych towarzyszy. — Gdybyś zauważył zbliżającego się łowcę mustangów, daj nam znać. Urządzimy na niego zasadzkę w dole pod cyprysem, bo jest to najodpowiedniejsze miejsce.

Baracho wyszedł z izby krokiem ociężałym, z niechęcią, pozostali zaś wyciągnęli karty i rozpoczęli grę w „monte“. Zadźwięczały srebrne monety i rozległy się wesołe głosy graczy. Nagle grę przerwał krzyk przeraźliwy. To obudził się Felim i, ujrawszy w mieszkaniu nieproszonych gości, zaczął krzyczeć ze zgrozy. Rozbójnicy skoczyli do Felima z obnażonymi sztyletami, lecz w tej chwili w progu ukazał się Baracho, dając umówiony znak ręką.

Zostawiwszy osłupiałego ze zgrozy Irlandczyka, rozbójnicy pobiegli za towarzyszem.

Tętent kopyt końskich słyhać było coraz wyraźniej i po chwili w cieniu cyprysu ukazał się jeździec.

— Rzuć broń! Poddaj się. — zawołał Miguel Diaz i chwycił rozhukanego konia za uzdę, podczas gdy pozostali trzej rozbójnicy rzucili się na jeźdźca.

Ale, o dziwo! jeździec nie okazał żadnego oporu. Tylko koń jego stanął dęba i, wyrwawszy się z rąk napastników, popędził, jak szalony. Wypadł z cienia cyprysu i znalazł się w świetle księżyca.

Nagle z ust Miguela Diaza i jego towarzyszy wydarł się okrzyk przerażenia. Błyskawicznie

wszyscy czterej znaleźli się w zaroślach, gdzie były ukryte ich konie, i jak opętani rzucili się do ucieczki. Pędzili nie oglądając się, byle dalej od miejsca niepojętej zgrozy, byle dalej od jeźdźca, jeźdźca bez głowy.

XLIII. Tajemnica kobiety.

Wiadomość o pojawieniu się w pobliżu band czerwonoskórych była nieścislą, gdyż plemię Komanczów grasowało faktycznie w odległości pięćdziesięciu mil na wschód. Ponieważ zdarzały się tam na porządku dziennym wypadki masowych morderstw i rabunków, przeto komendant twierdzy Inge musiał zaniechać dalszych poszukiwań Henryka i z oddziałem kilkudziesięciu żołnierzy wyruszyć na pomoc nieszczęsnej ludności, napadniętej przez dzikich łupieżców. Pozostał tylko do rozporządzenia Pointdekstera przewodnik i dwunastu ludzi z załogi oraz kilku młodych plantatorów, którzy zgłosili się na ochotnika, zaintrygowani tajemniczym morderstwem.

Podjejrzenia, padające na Mauricea Geralda, jakoby on był sprawcą zbrodni, stwarzały konieczność wyszukania nasamprzód łowcy mustangów i wzięcia go na badanie. Wszyscy wiedzieli, że Maurice przebywa gdzieś w okolicy Alamo, ale nikt nie widział ani jego osiedla, ani nie umiał wskazać dokładnej drogi. Luiza milczała, nie chcąc wyjawić tajemnicy i dobić tym do reszty zrozpa-

czonego ojca. Zeb Stamp zaś, który mógłby udzielić niezbędnych wskazówek, przepadł jak kamień w wodę, a rozesłani gońce nie mogli go odszukać.

Gdy wrócił ostatni goniec, nie znalazłszy starego myśliwego, zebrani w domu Pointdekstera wyruszyli jedynie z przewodnikiem, na ponowne poszukiwania. Ale zanim upłynęło kilka chwil po ich odjeździe, gdy na dziedzińcu przed domem plantatora zjawił się ni stąd ni zowąd poszukiwany tak długo i daremnie stary Zeb Stamp. Polował w pobliskich lasach na dzikie ptactwo i jak zwykle przyniósł swą zdobycz na sprzedaż. Zdziwiło go bardzo, że bramę od podwórza zastał zamkniętą, lecz bardziej się przeraził, gdy otworzył mu furtkę służący Pluton, ukazując twarz przygnębioną i oczy, pełne żalości.

— Co się tu stało, Plutonie? — zapytał Stamp. — Dlaczego zamknęliście bramę za dnia? Czy może miss Luizę dotknęło jakie nieszczęście?

— Oh, tegoby jeszcze brakowało! Proszę, mister Stamp, panienska wszystko panu opowie.

— A czy mister Pointdekstera zastałem również?

— Pan nasz wyjechał z domu przed pół godziną.

— A to po co? Z kim?

— Z mister Calchunem i mnóstwem sąsiadów, którzy tu zjechali umyślnie.

— Czy mister Henryk pojechał z nimi?

— Niestety! Od wyjazdu jego upłynęło już z górą doba... Koń wrócił do domu sam jeden i cały we krwi, a mister Henryk zginął.

— Żartujesz sobie, Plutonie. Oto zanieś tę dzicz do kuchni i powiedz mi, gdzie jest miss Luiza.

— Jestem tutaj, mister Stamp, -- rozległ się znajomy głosik z werandy i po chwili stary myśliwy witał piękną kreolkę serdecznem uściśnieniem dłoni.

— Widzę, — rzekł Zeb Stamp, patrząc w zamglone łzami jej oczy, — że Pluton powiedział mi prawdę. Nie chciałbym powiększać cierpienia pani, ale jednocześnie pragnąc pomóc państwu w odszukaniu Henryka, proszę o szczegóły tej bolesnej sprawy.

Luiza opowiedziała wszystko od początku, przemilczając tylko spotkanie swe w ogrodzie i wynikłe potem nieporozumienie pomiędzy Henrykiem a Geraldem. Nadmieniła przytem, że podejrzany o dokonanie zabójstwa Henryka jest Maurice Gerald.

— To kłamstwo nikczemne! — krzyknął Stamp oburzony do głębi. — Gerald nie mógł popełnić czegoś tak potwornego. Sam byłem świadkiem, jakie miał zawsze uznanie dla brata pani. Nie lubił tylko, nie wiadomo za co, Kasjusza Calchun, ale Henryka nie mógł zabić. Chyba, gdyby wynikło pomiędzy nimi jakie nieporozumienie...

— O nie, nie! — zaprzeczyła Luiza, zdradzając bezwiednie swą tajemnicę. — Henryk szybko pogodził się z Mauricem...

— Więc zaszło coś pomiędzy nimi? — ze zdziwieniem spojrział Stamp na Luizę. — Nadmieniła pani o zgodzie, więc musieli mieć jakąś awanturę?

— Mister Stamp, — rzekła kreolka, rumieniąc się, — proszę mi dać słowo jak przyjaciel i jak człowiek honoru, że nikomu pan nic nie powie.

Zeb położył potężną swą rękę na sercu na znak, iż przyrzeka utrzymać tajemnicę, i po chwili dowiedział się wszystkiego, co mogłoby być powierzone jedynie spowiednikowi, lub osobie, godnej bezwzględnego zaufania. Stamp nie wyraził najmniejszego zdziwienia.

— Nie znajduję w tem nic złego, że serduszko swe oddała pani w posiadanie łowcy mustangów. Wybór pani był znakomity. Gerald nie należy do przeciętnych prostaków z Irlandji, gdyż ma dobrą rodzinę i przeszłość nieskazitelną. Tymbardziej więc, jeśli chodzi o zabójstwo Henryka, to nie mógł on brać w tej sprawie najmniejszego nawet udziału. Być może, że mister Henryk nie został wcale zabitym, bo zakrwawione siodło na jego koniu nie jest żadnym dowodem. A cóż mówi Gerald?

— Mauricea również nie mogą odnaleźć. A gdyby i on był zamordowany? O, Boże, Boże!

— Nie trzeba gnębić serduszka zawczasu. Jeżeli Maurice żyje, znaleźć go można w jego własnym domku w Alamo. Dlaczego nie udano się tam natychmiast? Ach, prawda, nikt nie zna drogi.

— Dziś wszyscy wyruszyli na poszukiwania nietylko Henryka, ale i domu Geralda.

— No, to ja zdążę ich uprzedzić.

— Proszę bardzo, mister Stamp! Niech pan

pomyśli tylko, że tutaj mówi się ciągle o zemście, o sądzie Lyncha! Na gorąco, nie rozpatrzywszy sprawy, tłum może rozszarpać niewinnego Geralda. Kuzyn Kasjusz trzyma ich stronę. Pan rozumie?.. O, na miłość Boską, niech pan uprzedzi Mauricea, że grozi mu takie niebezpieczeństwo! Może dać panu innego konia?

— Nie, dziękuję, — odrzekł Stamp, i pożegnawszy się z Luizą, wyruszył bezzwłocznie w drogę.

Luiza odeszła do swego pokoju, upadła na kolana i zalana łzami zaczęła się modlić.

XLIV. Przejęty list.

Miguel Diaz rozstał się w drodze ze swoimi towarzyszami i wróciwszy do domu zaczął spokojnie rozmyślać nad tem, czy istotnie tym upiorem z odrąbaną głową mógł być Maurice Gerald. Długo przewracał się na swym barłogu, snując najróżnorodniejsze przypuszczenia, aż zasnął z mocnem postanowieniem wyświetlenia tajemnicy nazajutrz.

Nad ranem obudził go niespodziewany gość:

— Ach, to ty don Jose! — zawołał Diaz, przecierając oczy. — Proszę, wejdź dalej. Zapewne Isadora bawi znowu u swego wuja?

— Tak jest, senior.

— Więc mów! Co wiesz o nim i o niej? Czy mają ze sobą schadzki?

— Nie, senior. Ale moja pani bawiła tutaj u swego wuja, dopóki Maurice Gerald leżał chory w hotelu. Trzy razy nosiłem do niego koszyki ze smakołykami i winem. A raz był w koszyku list, pisany jej ręką. Teraz znowu mam list do niego. Proszę, niech pan przeczyta.

Diaz chwycił list drżącymi rękami, rozdarł kopertę i zaczął czytać, czerwieniąc się z oburzenia:

„Do seniora don Mauricio Geralda.

Drogi panie, znów jestem u wuja Silvio, nie mogąc żyć bez wiadomości o panu. Brak tych wiadomości zabija mnie. Niech mi pan powie coś o zdrowiu swoim. Tak bym pragnęła spojrzeć w precudne oczy pana, aby się przekonać, że jest pan zdrów zupełnie. Proszę mi nie odmówić tej łaski jedynej, o którą błagam. Za pół godziny będę czekała na pana na wzgórzu za domem wuja, niech pan przyjdzie napewno!

Isadora Cavarubio de los Lianos.“

— Niech diabli porwą! — zawołał rozwścieczonym głosem Miguel Diaz. — Ona wyznacza mi schadzkę. Dobrze, zobaczymy, kogo piękna seniorita spotka o oznaczonej godzinie. Dziękuję ci, Jose, za list, który zatrzymam przy sobie, i idź, gdzie ci kazano.

Zaledwie Jose odszedł z otrzymanym w nagrodę dolarem, Miguel Diaz ubrał się szybko i, dosiadłszy konia, wyruszył w przeciwną stronę.

Tymczasem Isadora wspięła się ze swym rumakiem na wzgórze i, spoglądając niecierpliwie na

zegarek, zgadywała w duchu, czy przyjdzie, czy też leży jeszcze chory? Mimowoli przyszedł jej na myśl Miguel Diaz, któremu nie chciała oddać swej ręki, nienawidząc go za gruboskórność i tchórzostwo i — ta chwila decydująca, gdy tego wstrętnego handlarza odtrąciła raz na zawsze.

Nagle dobiegł jej uszu tętent głośny, coraz bliższy. Serce zamarło jej w piersi. W dole wśród zarośli ukazał się jeździec i zniknął na zakręcie pod górą. Isadora czekała ze wzrokiem utkwionym w tę stronę, z której miał nadjechać tamten, zbawca jej życia i honoru.

Jeszcze chwila, pełna radosnego niepokoju i — cóż to?! Zamiast Geralda przed Isadorą stanął Miguel Diaz. Ukłonił się ze sztuczną uprzejmością i rzekł:

— Witam panią. Nareszcie możemy się rozmówić w cztery oczy. Chociaż wolałaby pani widzieć przed sobą kogo innego, nieprawdaż?

— Czego pan chce ode mnie, don Miguel? — zawołała Isadora drżącym głosem. — Nie mam w tej chwili nic do pomówienia z panem. Proszę zostawić mnie samą!

— Lęka się pani, — odparł „Stepowy Wilk“ ze złym błyskiem w oczach, — ale nie napróżno. Pogodziłem się już z myślą o utracie pani raz na zawsze, ale zapewniam, że inny nie będzie szczęśliwszy ode mnie. Ty nigdy nie zostaniesz żoną Mauricea Geralda! Przysięgnij mi zaraz, że nie spotkasz się z nim więcej, albo — nie wyjdiesz stąd żywa. Wybieraj!

— Pan żartuje chyba, don Miguel?—odrzekła Isadora, patrząc na handlarza wzrokiem dumnym i pewnym siebie.

— Nie, mówię poważnie, donna Isadora.

Mimo niezwykłej swej odwagi, Isadora poczuła się nieswojo. Rzuciła niespokojnym wzrokiem dokoła, wyglądając spodziewanego przybycia Geralda. Diaz, jakby wyczuł to, bo wyciągnął z zanadru przejęty za pośrednictwem Josego list i pokazał jej, mówiąc:

— Maurice nie przyjedzie tutaj, daremne oczekiwanie pani. List, wzywający go na schadzke wpadł szczęśliwie w moje ręce i odsłonił mi całą tajemnicę. Wybieraj więc śmierć albo życie, bo niema czasu na namysły!

Miguel miał już w ręku błyszczący sztylet, gotowy do śmiertelnego ciosu, do spełnienia okrutnej groźby.

— Śmierć albo życie! — powtórzył z morderczym wyrazem twarzy.

— Precz wstrętny napastniku! — krzyknęła Isadora i uczyniwszy błyskawiczny ruch, wyrzuciła w górę swe lasso.

Zanim Diaz zdążył zorientować się w sytuacji, sznur skrępował mu ręce i szyję, wytrąciwszy mu broń z ręki i wyrzucając go z siodła na ziemię.

— Niegodziwcze! — rzekła Isadora, pochylając się nad Diazem. — Chciałeś mnie zabić, lub wymusić na mnie przysięgę, ale teraz role nasze zmieniły się. Leż i czekaj tutaj na ratunek tak, jak ja czekałam!

Lecz „Stepowy Wilk“ nie odpowiadał, blady śmiertelnie i wyciągnięty nieruchomo na ziemi. Isadora odcięła lasso ostrym nożem, który miała ze sobą, i uderzywszy konia ostrogami, zbiegła ze wzgórza.

XLV. Na granicy rozpaczy.

Słyszając przypadkowo rozmowę Plutona i Florindy, jakoby z tamtej strony rzeki ukazał się jeździec, podobny z ubioru do znakomitego łowcy mustangów, Mauricea Geralda, Luiza Pointdekster wybiegła na taras i kazała osiodłać sobie ulubionego rumaka. Zanim służący spełnił jej rozkaz, przegięła się przez balustradę i wzrokiem pochłaniającym jakby step cały, jąła wypatrywać w dali, czy istotnie ujrzy tego, który niepodzielnie posiadał jej serduszko. Ale jeździec widocznie zniknął już w zaroślach, lub też Pluton i Florinda mieli złudzenie optyczne, biorąc jakiś szczegół na tle stepu za jeźdźca.

Mimo to po upływie kilku minut była już w lesie na wzgórzu i zbliżała się do miejsca, które nasunęło jej kilka drogich wspomnień z tak niedalekiej przeszłości. Dobięły jej uszu nieznanajome ostre głosy mężczyzny i kobiety, potem słowa groźby, następnie zduszony krzyk i jakby łomot ciała ludzkiego, wreszcie tętent kopyt końskich. Luiza gwałtownie powstrzymała swego mustanga i, nie chcąc być świadkiem tragicznej sceny, długo nie mogła zdecydować się pojechać dalej. Wresz-

cie, gdy wszystko ucichło, ruszyła naprzód. I oto oczom jej ukazał się widok nietyle straszny, ile niezwykły i zdumiewający. Na ziemi leżał nieruchomo mężczyzna w stroju meksykańskich jeźdźców i ręce oraz szyję miał skrępowane sznurem. Myśląc nad tem, czyżby kobieta mogła tak postąpić z mężczyzną, Luiza zeszła z konia i zaczęła nieznanego wyswabadzać z duszących go więzów. Po chwili Miguel Diaz, gdyż był to on właśnie — westchnął ciężko raz i drugi, potem otworzył wyleknione oczy i, widząc nad sobą pochyloną twarz kobiety zapytał:

— Kim jesteś, seniorita? Gdzież jest tamta?

— Tu niema nikogo więcej.

— Nie spotkała pani kobiety na siwym koniu?

— Nie, lecz słyszałam jej głos.

— Niech pani powie raczej — głos djablicy.

Isadora Cavarubio to prawdziwa djablica.

— Ach, to ona tu była!

— Tak, ona, ta przekłeta djablica! Więc pani mogę tylko zawdzięczać, że nie udusiłem się w tych więzach? Ach, jakże serdecznie dziękuję, seniorita! Ale proszę jeszcze pomóc mi wejść na konia, bo tak się źle czuję po tym wypadku. A muszę uciekać zaraz, bo mogą mnie tu znaleźć moi wrogowie.

Miguel Diaz zagwizdał głośno, a gdy nadbiegł koń jego, Luiza z wielkim trudem pomogła nieznanemu wdrapać się na siodło.

— Jeszcze raz dziękuję pani serdecznie, — rzekł Diaz, ruszając z miejsca. — Chociaż nie znam

pani nazwiska, ale przyrzekam uroczyście, że gdy zajdzie tego potrzeba Miguel Diaz gotów jest zawsze odwzajemnić się pani za jej dobry uczynek.

Gdy „Stepowy Wilk“ zjechał ostrożnie ze wzgórza i zniknął na zakręcie, Luiza bezwiednie spojrzała na ziemię i wzrok jej padł na porzucony zwitek papieru. Sądząc, że jest to jakiś dokument Miguela Diaza, podniosła go szybko i — nagle struchlała. Był to list Isadory Cavarubio do Mauricea Geralda, wzywający go na schadzke.

— Więc ta „przeklęta djablica“, jak ją nazywał Miguel Diaz, widuje się z Mauricem... — rozmyślała ze łzami w oczach piękna kreolka, a w sercu jej rosła rozpacz, straszniejsza niż wszystko na świecie.

Przeptywając w powrotnej drodze przez rzekę, Luiza bliska była szaleństwa i, gdyby nie tlejący na dnie jej duszy płomynek wiary, rzuciłaby się w zdradzieckie nurty Leony.

XLVI. Napad wilków.

Ranny młodzieniec, który z taką chciwością pił wodę z odnalezionego w gąszczach leśnych strumienia, teraz zapragnął tylko odpoczynku. Był już wieczór i świeży podmuch wiatru, kołysząc gałązki akacji, przynosił z lasu upajające wonie. Pod ich tchnieniem chory zasnął. Ale nie na długo. Zbudził go okrutny ból w nodze i coraz bliższe wycie wilków. Noc schodziła już z firmamentu,

czając się jeno w dzikich ostępach leśnych. Zaczęło powoli świtać. I znowu zawisło nad głową stado czarnych jastrzębi, jak chmura złowieszcza, i znowu wycie wilków stawało się coraz głośniejsze, coraz bliższe. Młodzieniec próbował wstać i przy pomocy zerwanej gałęzi pójść dalej, lecz tak był rozbity i uczuwał za każdym poruszeniem taki ból nogi, że ratunek o własnych siłach wydał mu się nieprawdopodobnym. Więc tylko jękiem swym wzywał ludzkiej pomocy — nadaremnie. W lesie było pusto, tylko drapieżne jastrzębie zniżały co chwila swój lot, dotykając niemal skrzydłami twarzy młodzieńca.

Nagle z zarośli wyskoczyły wilki, zwabione zapachem krwi, sączące się z ran nieszczęsnego, który, wskutek uciążliwego czołgania się wśród kolczastych krzewów, podarł na sobie ubranie i pokrwawił całe ciało. Ślepie wilków błyszczały zło-wrogo, ruchy ich zdradzały groźbę śmierci.

Namacawszy za pasem składany nóż, jedyną broń, jaka mu pozostała, młodzieniec zaczął nim wymachiwać na wszystkie strony i zadawać śmiertelne ciosy wilkom, które już o tyle podeszły do niego, że chwytaly go zębami za ręce i nogi. Nie spodziewając się tak dzielnego oporu ze strony napadniętego, wilki odskoczyły w bok, inne padły w pobliżu brocząc krwią. Ale nie odstraszyło to zwierząt, bo zaczęło ich przybywać coraz więcej, osaczając młodzieńca ze wszystkich stron. Walka stawała się beznadziejną i nierówną. Zwierzęta, tracąc kilku zabitych, z tym większą zajadłością

rzucały się na nieszczęsną ofiarę. Młodzieniec czuł, że ręka mu opada bezsilnie, że jeszcze kilka ciosów i — wilki zdobędą upatrzony łup.

Wtem rozległ się tętent konia i ujadanie psa. Młodzieniec wydał okrzyk radosny. Wystraszone wilki odstąpiły na chwilę. Lecz, niestety, na zew osaczonego nikt nie odpowiedział, tylko słychać było, jak koń pomknął dalej. Wilki z nową zajądłością skoczyły do nóg młodzieńca, który stracił już wszelką nadzieję i omal nie zaniechał obrony. I oto była taka chwila, gdy straszna śmierć w krwiożerczych paszczkach dzikich zwierząt stała się już nieuniknioną.

Nagle ni stąd ni zowąd, jakby wyrósł z pod ziemi, wpadł zniecka na zgraję wilków pies olbrzymi. Jednego chwycił za gardło i zdusił swemi potężnymi szczękami, drugiego rozszarpał na kawałki, reszta zaś z żalosnym skomleniem rzuciła się w popłochu do ucieczki.

Młodzieniec był tak wyczerpany z sił i taka radość targnęła jego sercem, że powiedział tylko coś dziękczynnego do psa, jak do najlepszego przyjaciela, i — stracił przytomność.

Gdyby starczyło mu jeszcze tyle sił, aby rzucić okiem przed siebie, widziałby dziwny i przejmujący zgrozą widok. Oto z zarośli wyłonił się jeździec, który nie odpowiadał na krzyk walczącego z wilkami młodzieńca, i skierował konia do strumienia. Koń wszedł do wody, zaspokoił pragnienie, przeszedł wbród na drugą stronę i zniknął w gąszczach leśnych. Jeździec nie obejrzał się

nawet. Lecz wystarczyłby tylko czyjś uważny rzut oka, ażeby przekonać się, że jeździec nie miał głowy, a raczej trzymał ją w ręku, przyciśniętą kurczowo do piersi.

Zaiste, okropny widok!

Tymczasem pies, który widocznie dość już miał bezcelowego towarzyszenia dziwnemu jeźdźcowi bez głowy i błędzenia po wertepach, położył się obok śpiącego na ziemi młodzieńca i pozostał z nim. Chwilami rozumne to zwierzę podnosiło głowę do góry i, widząc tuż nad śpiącym natarczywie latające jastrzębie, warczało groźnie.

XLVII. Kartka, pisana krwią.

Te dwa wypadki: zjawienie się jeźdźca bez głowy, a następnie czterech Indjan, grających w karty w domu zaginionego Geralda, tak podziały na Felima, że zasnął spokojnie dopiero wtedy, gdy wyszukał ukrytą w śpizarni butelkę whisky i wypił ją do dna.

Gdy zaniepokojony losem Mauricea stary Zeb Stamp wszedł do izby, Felim leżał jak długi na podłodze i nie dawał znaku życia. Dopiero wiadro zimnej wody wylanej na głowę doprowadziło go do przytomności. W jednej chwili skoczył na równe nogi przerażony, lecz, ujrawszy przed sobą starego znajomego, Stampa, ucieszył się niezmiernie. Przynajmniej wiedział, że na wszelki wypadek było ich teraz dwóch.

Wypytywany szczegółowo, zaczął rozpowiadać szeroko, na ile pozwalał mu nieszczególny zresztą dar wymowy, o tem, co zaszło w ciągu ubiegłych godzin. Pierwszy raz od niego Zeb Stamp dowiedział się o jeźdźcu bez głowy, w którym Felim domyślał się mister Mauricea Geralda, poznając jego płaszcz i konia. Na zapewnienie służącego Irlandczyka, że nie jest to żaden wytwór fantazji, lecz prawda najoczywistsza, stary myśliwy zaczął się zastanawiać głęboko. Nie mógł wszakże dać wiary, że grający w hiszpańskie karty osobnicy byli faktycznie Indjanami. Bądź co bądź sprawa plątała się coraz bardziej, następczając szerokie pole do wszelkiego rodzaju domysłów. Najpierw Stamp dowiedział się o zaginięciu Henryka Pointdekstera, obecnie zaś dochodzi go wiadomość, że przepadł Maurice Gerald, który według własnego oświadczenia powinien był wrócić w przeddzień wypadku do Alamo. I rzecz szczególna, bo oto nagle zjawia się jeździec bez głowy w stroju Geralda i na jego mustangu.

Stamp kochał młodego łowcę mustangów, jak własnego syna, więc na wspomnienie, że mogła mu się stać jaka krzywda — zacisnął pięści i po-przysiągł zemstę.

W tej chwili nie zauważył, że przez uchylone drzwi wpadł do mieszkania pies, Tara, ujadając i wdzięcząc się do zdumionego Felima.

— Mister Stamp! Mister Stamp! — krzyknął nagle Irlandczyk.

— Cóż tam nowego? — warknął myśliwy, patrząc to na służącego, to na psa.

— Niech pan patrzy, Tara ma na szyi sznurek z jakąś kartką.

Po bliższem zbadaniu kartki okazało się, że był to króciutki list pisany nie czerwonym atramentem, lecz krwią.

Stamp uczuł niewysłowioną wdzięczność dla swego losu i nauczyciela który nauczył go czytać.

— Felimie, żyje, jest! — krzyknął głosem pełnym radości i szczęścia. Patrz, patrz! Ach prawda, ty nie umiesz czytać! Ale to wszystko jedno, bo Maurice żyje, żyje!

Felim stał nieruchomy z rozwartemi w uśmiechu ustami, a w duszy z wrażeniem, że stary myśliwy stracił zmysły.

— Cóż stoisz, jak głupi? Bierz szybko płaszcz lub prześcieradło i sznur! Idziemy natychmiast! Za pół godziny może być za późno!

XLVIII. W porę.

Zapewne czytelnik domyślił się już, że owym młodzieńcem, osaczonym w lesie przez wilki, był Maurice Gerald.

Po odejściu psa z uwieszoną u szyi kartką, Gerald z ogromnym wysiłkiem zbudował sobie ze swego płaszcza coś w rodzaju hamaka na dwóch przeciwległych gałęziach. Wiedział, że stepowe wilki nie łażą po drzewach. I rzeczywiście wilki

nie dały na siebie długo czekać. Najpierw chyłkiem i ostrożnie, a następnie śmielej i po kilku naraz, zaczęły wyskakiwać z zarośli i skupiać się pod drzewem, kłapiąc zębami i oblizując się. Wkrótce było ich już całe stado. Jedne wdrapywały się na drzewo, inne podskakiwały wprost do hamaka. Gerald doznawał przykrego uczucia. Wiedział, że grozi mu niechybna śmierć, jeżeli nie z głodu i wycieńczenia, to w krwiożerczych pyskach rozwścieczonych zwierząt. Na szczęśliwy powrót psa nie można było liczyć, bowiem Tara mógł zablądzić, albo sprowadzić człowieka bardziej niebezpiecznego, niż dzikie zwierzęta.

Lecz oto zgoła nieoczekiwanie wilki zniknęły gdzieś, tylko słychać było w dalekich zaroślach ich wycie. Czy wrócił Tara? A z nim i służący Felim? Gerald rozejrzał się dokoła, ale przez gęstwinę gałęzi nic nie mógł dojrzeć. Wzrok jego padł na strumień ożywczej wody i poczuł silne pragnienie. Jęcząc z bólu zesunął się na ziemię i przyczołgał się do brzegu. Lecz nagle wstrząsnął nim dreszcz trwogi. Z za drzew skradał się, jak wąż, gotowy do skoku jaguar i przejmujące zgrozą ślepie miał utkwione w swą upatrzoną zdobycz. Ucieczka była fizycznym niepodobieństwem, hamak zaś również nie chronił przed niebezpieczeństwem, ponieważ jaguary skaczą po drzewach z taką samą zwinnością, jak po ziemi. Jeszcze jeden skok, jeszcze jedna chwila i — jaguar wszczepi swe straszne zębiska w żywe ciało człowieka. Nie wiedząc, co począć, Gerald bezwiednie rzucił się

do wody. Ale i to nie mogło go uratować, gdyż jaguary nie boją się wody i pływają nie gorzej, niż wydry. I rzeczywiście okrutny zwierz postąpił krok naprzód i szykował się do skoku w wodę. Maurice znalazł się w położeniu bez wyjścia. Nie miał przy sobie ani rewolwera, ani noża. Widząc, że jaguar jest już na brzegu i lada chwila znajdzie się w wodzie, zaczął krzyczeć z przerażenia.

Nagle, jakdyby chodziło komuś o doprowadzeniu zgrozy do najwyższego stopnia — rozległ się strzał i jaguar, raniony śmiertelnie, wpadł do wody, zabarwiając ją swą posoką. W tej chwili z lasu wyskoczył pies, a za nim dwóch mężczyzn, wydając na widok Mauricea radosne okrzyki.

Ale Gerald nie widział już nikogo. Był tak przejęty tem wszystkim, co przeżył, i tak wycieńczony do ostatka, że utracił przytomność, nie wiedząc nawet, komu zawdzięczać miał tak nieoczekiwany ratunek. Zaczął gorączkować.

Nie ominęła go również gorączka w domu, dokąd został przeniesiony przez Zeb Stampa i Felima na noszach skleconych naprędce z gałęzi i prześcieradła. Co chwila wymawiał imiona Luizy i Henryka, w nocy zaś zaczął rozprawiać o takich wypadkach i przeżyciach własnych, o których mógł wiedzieć tylko zaufany przyjaciel. Dlatego, nie chcąc, aby ktokolwiek dowiedział się o rzeczach, stanowiących głęboką tajemnicę Geralda, Stamp, rozkazał Felimowi iść spać, sam zaś przesiedział przy łóżku chorego noc całą. Stary myśliwy cieszył się w duchu, że jego młody druh żyje i wkrót-

ce może przyjść do zdrowia, ale zastanawiał go fakt znalezienia Mauricea w ostępach leśnych potłuczonego, bez konia, bez broni. Mimo wszystko fakt ten musiał mieć jakiś związek z nieporozumieniem, wynikłym pomiędzy Geraldem, a Henrykiem, o którym wspomniała Luiza, chociaż trudno było odgadnąć, na czym ten związek mógł polegać.

Nagle Stamp przypomniał sobie, że, zbierając rozrzucone przez Mauricea ubranie, odniósł wrażenie, jakoby rzeczy te nie były własnością łowcy mustangów. Stwierdziwszy więc, że Felim śpi snem kamiennym, podniósł leżący w kącie kapelusz i płaszcz i zaczął je uważnie oglądać. Jakież było jego zdumienie, gdy wewnątrz kapelusza znalazł nazwisko Henryka Pointdekstera, płaszcz również należał do młodego plantatora!

— Tam do licha! — szepnął ze złością myśliwy. — Teraz wszystko się poplątało. Kapelusze trafiają na cudze głowy, głowy nie na swoje miejsca!

XLIX. Daremne pogrożki.

Nad ranem pies zaczął szczekać i rzucać się do drzwi, Stamp natychmiast zgasił świecę i wyszedł przed dom. Ale wokół było pusto i głucho, tylko w dali majaczyły ciemne zarośla, odsłaniając w kilku miejscach nagi grzbiet wzgórza. Stamp chciał już wrócić do domu, gdy w pobliżu rozległ się tętent konia, a po chwili zza drzew wyłoniła

się sylwetka jeźdźca. O ile na jaśniejącym szafirze nieba kontur konia zarysował się doskonale, o tyle znów jeździec zdradzał nienormalne kształty. Czy to możliwe, aby jeźdźcowi brakowało głowy? Stamp, nie wierząc własnym oczom i sądząc, że jest to tylko halucynacja, poszedł w kierunku zarośli. I rzeczywiście, zaledwie znalazł się na zboczach wzgórza, gdy naprzeciw niego wyjechał jeździec bez głowy i zatrzymał się w odległości zaledwie kilku kroków. Stamp również przystanął. Chciał się przekonać, czy może to być człowiek żywy, czy też piekielna jaka zjawa. Zdjął szybko z ramienia strzelbę i zaczął mierzyć prosto w serce jeźdźca. Powstrzymała go jednak myśl, że może popełnić zbrodnię.

— Hej, dobrodzieju! — zawołał. — Dlaczego wyjechałeś na spacer bez głowy? Gdzieżeś ją zostawił?

Ale nikt nie odpowiedział. Tylko rumak, słysząc głos ludzki zarżał cichutko.

— Czy głuchy jesteś? — wołał Stamp, czując przejmujący go dreszcz zgrozy, — Chce mówić z tobą Zeb Stamp, stary myśliwy z nad brzegów Missisipi. Z nim nie ma żartów. Albo odpowiesz mi w tej chwili, albo połkniesz kulę, zrozumiałeś? Jeżeli jesteś wysłannikiem Belzebuba, to moja kula nie zrobi ci żadnej krzywdy, lecz biada ci, jeśliś istota śmiertelna! Milczysz! Ha! daję ci sześć sekund do namysłu. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — sześć..

Rozległ się strzał i kula, świsnąwszy w powietrzu, trafiła w coś twardego. Jeździec pozostał

w siodle sztywny, nieruchomy, koń zaś wystraszył się widocznie, bo zawrócił na miejscu i pocwałował w step.

Stampowi krew zamarła w żyłach, wargi latały mu, jak w febrze. Gdy wrócił do domu Geralda było już zupełnie widno. Widok Felima i Mauricea uspokoił go. Zmienił choremu opatrunek i zaczął badać służącego, czy nie ma co do zjedzenia. Okazało się, że spiżarnia była opróżniona, bo, nawet kropli whisky nie zostało.

— Jestem tak głodny, że wilka bym połknął z pazurami, — rzekł Stamp, biorąc strzelbę i nóż myśliwski. — Słuchaj, Felimie, wychodzę do pobliskich zarośli na polowanie, bo przecie z głodu nie możemy umierać, a ty pamiętaj, nie odchodź z domu ani na krok, i jeżeli kto przyjdzie nieznamy, w tej chwili daj mnie znać. Rozumiesz? Teraz znowu od twojej czujności zależy życie mister Geralda.

Felim przyrzekł, że wszystko wykona dokładnie, a gdy stary myśliwy odszedł, siadł na progu, ażeby w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa móc krzyknąć i zawezwać Stampa.

L. Podejrzana wizyta.

Nie długo stał Felim na warcie. Po upływie dziesięciu minut do uszu jego dobiegł odgłos kopyt końskich. Serce mu zaczęło łomotać głośno. Nie wiedział, kim mógł być nadjeżdżający gość

i bał się, aby znowu nie zobaczyć jeźdźca bez głowy. Ale nie! nieznajomy miał głowę i to ładnie osadzoną na szyi i twarz — jakże urodziwał

— Piękny młodzian, — pomyślał Irlandczyk, stając u progu. — Tylko dlaczego taki zmartwiony, jakby pochował rodzoną babkę? A jaki ma puszek nad górną wargą, jak młode pisklę... Boże! — zawołał nagle, — toż to kobieta!

Felim nie omylił się. Istotnie przed chatą zatrzymała swego rumaka. Isadora Cavarubio. Piękna meksykanka знаła doskonale drogę do osiedla łowcy mustangów, więc chociaż powitał ją człowiek obcy, nie stropiło ją to wcale. Zeskoczyła na ziemię i zbliżywszy się do Felima zapytała od razu łamaną angielszczyzną:

— Czy zastałam mister Geralda?

— Owszem, jest w domu. A czego pani sobie życzy?

— Chciałabym się z nim widzieć.

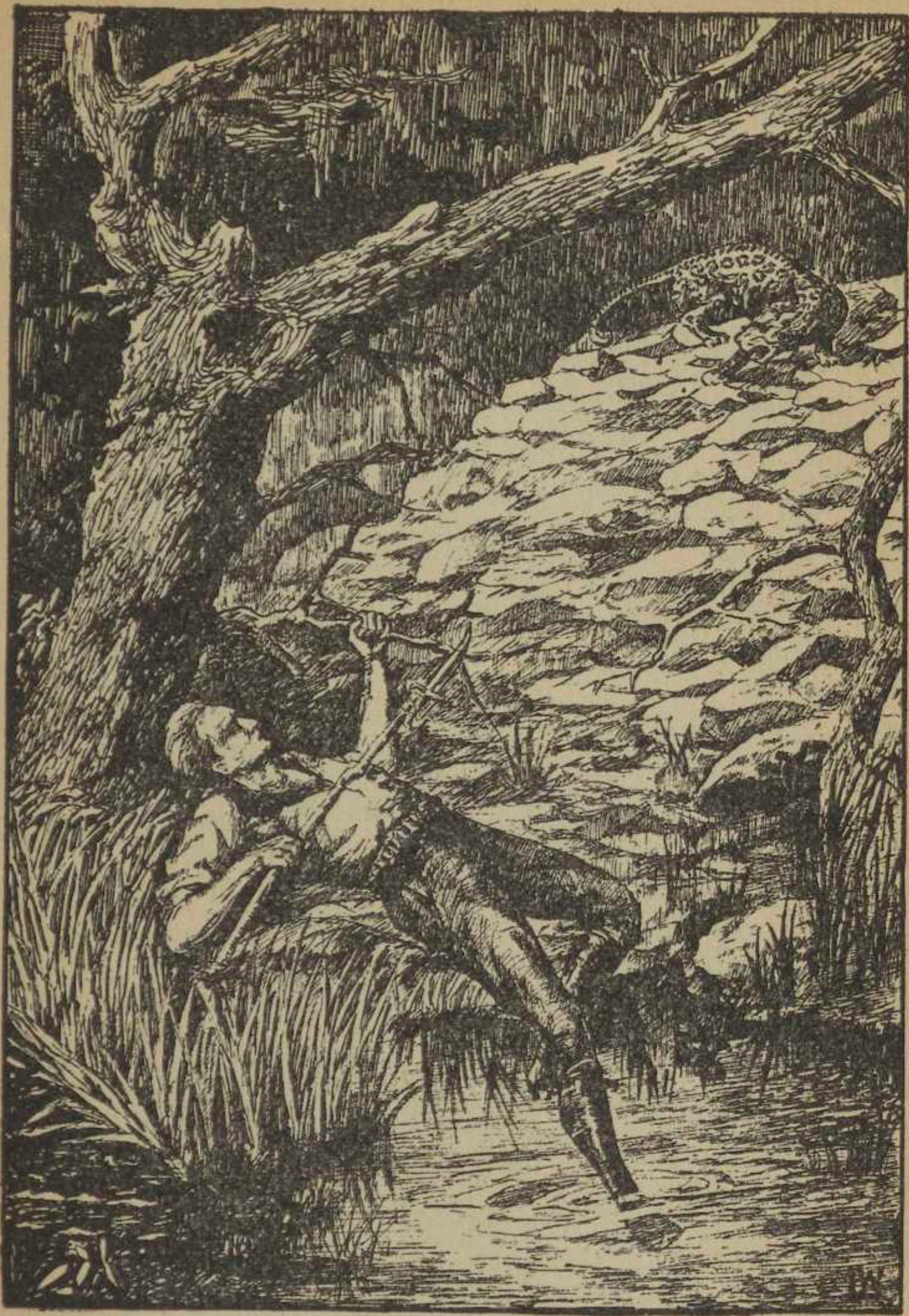
— O, to źle pani trafiła! Panu memu potrzebny jest raczej ksiądz i doktor, niż kobieta. A pani odwiedzać go teraz nie wypada. Może innym razem.

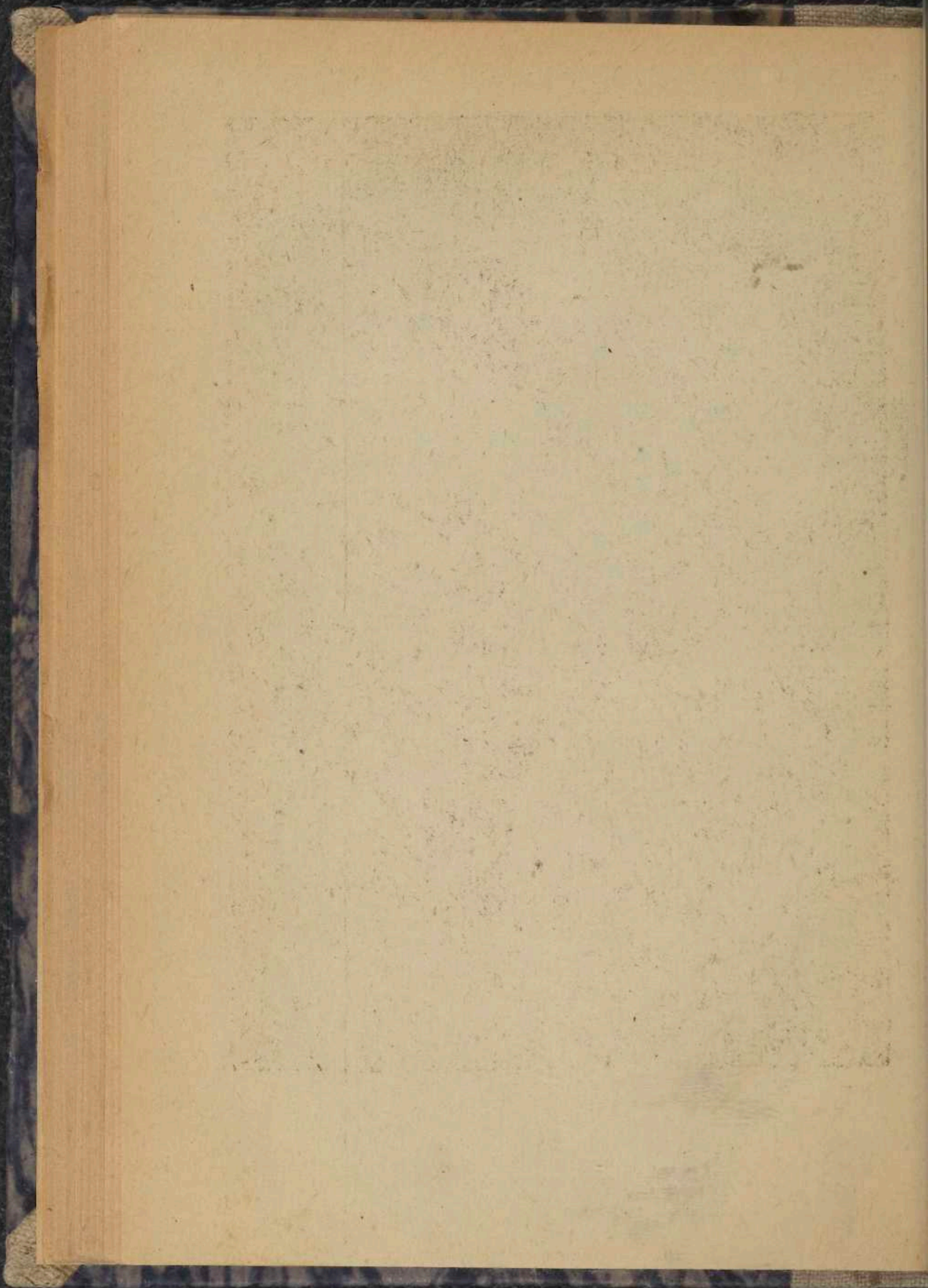
— Dlaczego to?

— Przedewszystkiem mister Gerald jest nieubrany. A po wtóre, jakby tu, za pozwoleniem, powiedzieć, ma na sobie tylko koszulę i kilka szmat, któremi go okręcił mister Stamp.

— Nie rozumiem pana, senior.

— Czyż nie dość wyraźnie powiedziałem, że pan leży w łóżku?





— O tej godzinie? A może chory?

— Przecie, że nie tak zdrów jak ja i pani.

— Chory! Co mu się stało?

— Całe ciało ma podrapane do żywego, jak-gdyby wsadził go kto do worka, napełnionego kotami. A oprócz tego, jakby tu powiedzieć, jest nieswój.

— Jakto nie swój? Nie rozumiem.

— Pani nic nie rozumie! Jest nieswój i ba-sta! Rzuca się na łóżku, jakby go kto przypiekał gorącym pogrzebaczem i gada niestworzone rzeczy. Może ma pani trochę whisky, misstris, toby mu zaraz pomogło?

— Ach, szkoda, nie zaopatrzyłam się w nic podobnego. A jednak, niech pan mi pozwoli wejść do środka.

— Poco to? Zapewniam panią, że dzisiaj mister Gerald nie odróżni pani od swojej babki.

— Mogłabym się przydać na co. Jestem względem niego zobowiązana. On ma dług u mnie.

— Ach, dług! No, to zupełnie co innego. Ale pani nie potrzebuje go widzieć. Jestem jego zaufanym człowiekiem i chociaż pisać nie potrafię, ale na pokwitowaniu krzyżyk tam jakiś napiszę. Niech pani będzie przekonana, że mister Gerald nie zażąda zwrotu poraz drugi. Już taki ma charakter. A co do pieniędzy, to akurat są nam bardzo, bardzo potrzebne, bo wkrótce wyjeżdżamy stąd.

— Ach, panie, nie o pieniądze mi chodzi. Jestem moralnym dłużnikiem Geralda.

— Moralnym? W takim razie niema się pociśpieszyć. Mister Gerald i tak panią nie zrozumie.

— Lecz niech mnie pan puści do mieszkania. Muszę go widzieć bezwarunkowo.

— Powiedziałem, że nie zobaczy go pani i— skończone! Jestem tu poto, abym nikogo nie wpuszczał do środka, rozumie pani?

— Należę do przyjaciół mister Geralda, chyba to wystarczy panu.

— A skąd ja wiem? Może pani jest jego najgorszym wrogiem.

— Nie puści mnie pan?

— Nie.

— Więc zobaczymy!

Powiedziawszy to, Isadora skierowała się do drzwi z widocznym zamiarem przedostania się do środka przemocą. Zdecydowany i surowy wyraz jej twarzy natchnął Felima myślą, że jego panu grozi jakieś niebezpieczeństwo. Rozkrzyżował we drzwiach ręce i krzyknął na alarm. Zbudzony krzykiem, Tara zaczął wyc. W całej okolicy ptactwo wydało ze siebie wrzaskliwe głosy. Powstał nieopisany hałas. Isadora patrzyła na Felima rozszerzonymi oczami, nie mogąc pojąć narazie, co to wszystko miało znaczyć.

LI. Siostrzany pocałunek.

Zeb Stamp bawił w pobliskich zaroślach i na krzyk Felima szybko zawrócił do domu. Widząc

Irlandczyka, zagradzającego wejście rozpostartymi ramionami, oraz wyjącego psa i — nieznaną amazonkę, z wyrazem bezradności na twarzy, pojął odrazu, o co rzecz chodzi, i, zamiast chwalić, obrzucił służącego stekiem mniej lub więcej przyzwoitych wyzwisk.

— Ty ośla głowo! Ty głupcze skończony! Taką miałem na oku wspaniałą indyczkę, dobrych trzydzieści funtów wagi, a ten barani ogon zaczął krzyczeć! I po coś mnie wzywał, po co?

Sam pan kazał, mister Stamp, w razie gdyby kto przyszedł.

— Durniu jakiś! Nie mówiłem ci nic o kobietach.

— Tak jest, mister Stamp, ale ja myślałem, że to mężczyzna.

— Czy ty masz dobrze w głowie? — rzekł myśliwy, wzruszając ramionami, i zwrócił się do Isadory.

— Proszę nam opowiedzieć, w jaki sposób znalazła się pani tutaj.

— Chciałabym się widzieć z don Mauricio. Czy mogę?

— Naturalnie, że może pani. Ale to bezcelowe. Maurice nic w tej chwili nie rozumie i, co gorsza, nawet nie pozna pani.

— Czy chory?

— Tak, i gorączkuje.

— Więc niech mi pan pozwoli doglądać chorego. Na miłość Boską, nie róbcie mi panowie wstrętów. Jestem jego najlepszym przyjacielem.

— Owszem, owszem, może pani pozostać, bo czuwanie nad chorym jest obowiązkiem kobiety. Ale niech go pani pilnuje, ażeby nie spadł z łóżka i nie pozrywał opatrunków.

— Wszystko spełnię, co mi pan poleci. Będę go doglądała troskliwie, jak rodzzonego brata.

— Pani jest bardzo łaskawa... Ale...

— Proszę, niech pan powie.

Stamp zawahał się, przypomniawszy sobie, że jest to zapewne ta sama panienska, która obdarzała Mauricea koszykami wina i łakoci podczas jego choroby w hotelu. Wreszcie rzekł:

— Chociaż daleko lepiej będzie, jeżeli pani pojedzie do domu i wróci dopiero wtedy, gdy Gerald przyjdzie do zdrowia. Obecnie jest on nieprzytomny i nie pozna pani zupełnie.

— Nie chodzi mi o to, sir. Chcę być jedynie pożyteczną i pomóc panom w czemkolwiek.

— Ha! niech więc już pani zostanie. Tylko o jedno proszę: niech pani nie zwraca uwagi na majaczenie chorego, gdyż mówi on ciągle o jakimś zabójstwie, a także wzywa często do siebie jakąś kobietę po imieniu...

— Jak ma na imię ta kobieta?

— Zapewne jego siostra.

— Co pan mówi, mister Stamp? Mister Gerald... — chciał sprostować przysłuchujący się rozmowie Felim.

— A ty mi nosa swego nie wtrącaj, kiedy nie piją do ciebie! — ofuknął go Stamp. — Chodź le-

piej ze mną do lasu, może upolujemy jakiego ptaka, bo dzięki tobie głód nam żołądki powykręca.

Felim posłusznie wziął strzelbę na ramię i obadwaj ruszyli do lasu.

Isadora weszła do chaty i, pochyliwszy się nad Geraldem, pocałowała go w rozpalone czoło i usta. Nagle rzuciła się w tył, jakby okropna zmija ukąsiła ją swem żądłem w samo serce. To Maurice w gorączce wymówił imię innej kobiety z takim uczuciem, jakgdyby w imieniu tem zamknięty był cały skarb jego życia.

LII. Zemsta Isadory.

Dzień, w którym Luiza Pointdekster zwolniła z więzów spętanego Miguela Diaza i przeczytała list Isadory do Geralda, był najfatalniejszym dniem w jej życiu. Coraz uporczywiej krążyły wieści, że Henryk, brat jej, został w ohydny sposób zamordowany i — co najstraszniejsze — że mordercą był Maurice Gerald. Ten Maurice Gerald, któremu wyznaczała schadzkę piękna Isadora! To było już ponad siły młodej kreolki, oburzenie, zazdrość i rozpacz doprowadzały ją do obłędu. W pewnej chwili postanowiła nawet pójść do klasztoru, ale cofnęła się na myśl, że, być może, Maurice Gerald został posądzony niewinnie, jak to utrzymuje stary Zeb Stamp. Myśl ta błysnęła, jak światło wśród nocy, jak płomyk nadziei, która ratuje ludzi nawet z odnětu rozpaczy. Bez dłuższego namysłu Luiza

rozkazała osiodłać swego mustanga i z postanowieniem sprawdzenia rzeczy na miejscu, w domu Geralda, wyruszyła w drogę. Jakkolwiek do osiedla łowcy mustangów było conajmniej dwadzieścia mil drogi, to jednak piękna kreolka przebyła ją na swym śmigłym mustangu w dwie godziny. Zaledwie przestąpiła próg chaty, gdy z piersi jej wyrwał się mimowolny krzyk bólu i zgrozy, Przy chorym Geraldzie stała druga kobieta -- piękna meksykanka, Isadora! Jak echo rozległ się krzyk tamtej.

Była chwila, że obie panienki stały naprzeciw siebie milcząc i błyskając złowrogo oczami. Luiza pierwsza zrozumiała, że dłużej nie może pozostawać w domu chorego, który już znalazł opiekunkę w osobie Isadory. Wybiegła więc z chaty i szybko dosiadłszy konia pomknęła z powrotem w step. Isadora wyszła za nią. Jej również wydało się, że jest zbyt czarna w tym domu, w którym imię „tamtej“ było z taką czcią wymawiane. Dosiadła swego rumaka i, nie wybierając drogi, zaczęła pędzić naoslep. W głowie jej huczało od natłoku myśli, nic nie widziała, nic nie czuła. Tylko w duszy jej wyrastała nieokreślona chęć zemsty. Pędząc tak brzegiem Leony nie spostrzegła, kiedy okrążył ją oddział dziwnie ubranych i uzbrojonych ludzi. Nie przelękła się. Przeciwnie błysnęła jej myśl, że ludzie ci zapewne poszukują zbrodniarza, a jadący na ich czele niemłody już jegomość jest ojcem zabitego w tajemniczy sposób i ojcem tej, która również powinna zginąć lub być upokorzona. Ach, jaka znakomita sposobność do zemsty.

— Czy nie spotkała pani kogokolwiek po drodze? — zapytał ów starszy pan grzecznie.

— Owszem, spotkałam w tamtej części lasu młodą lady, której osobiście nie znam. Robi wrażenie amerykanki. Jechała konno sama jedna.

— Sama jedna? I dokąd ona mogła pojechać? Czy niema w tej stronie jakiego osiedla?

— Owszem, kierując się prosto na wzgórze za lasem, znajdziecie panowie domek Mauricea Geralda, łowcy mustangów.

Wśród jeźdźców przeszedł szmer zadowolenia. Nareszcie udało im się natrafić na ślad mordercy.

Gdy kawalkada ruszyła dalej we wskazanym kierunku, do Isadory podjechał młody człowiek, ubrany trochę po wojskowemu, i zapytał w języku hiszpańskim:

— Czy nie mogłaby mnie pani powiedzieć jak wyglądał koń tej kobiety, która jechała w tamtą stronę?

— Zauważyłam tylko, że był to centkowany mustang.

— O, Boże! — krzyknął boleśnie jeździec i, pchnąwszy konia ostrogami, pocwałował galopem w kierunku Alamo.

LIII. Anioł prerji.

Nie uszło uwagi Luizy, że Maurice leżał ranny, a może umierający, więc momentalnie zawróciła mustanga, decydując się pomimo wszystko pozostać

przy łożu chorego. Ku swemu miłemu zdziwieniu nie zastała już Isadory, a widok bladego śmiertelnie Geralda rozproszył w niej uczucia gniewu i zazdrości. Rzuciła się do łóżka chorego i, targając go za ręce, zaczęła wołać głosem, pełnym łez:

— Maurice, Maurice, czy nie poznajesz swej Luizy?

Gerald ciągnął w gorączce:

— Przecudni są niebiescy aniołowie, ale żaden z nich nie jest tak cudny, jak ta, którą znałem na ziemi...

— Maurice, co ty mówisz? Patrz, to ja jestem przy tobie!

— O, nie mówcie mi, — majaczył chory — że w niebie jest życie usłane kwieciami, bo na cóż mi kwiaty, kiedy tam nie znajdę mego anioła, anioła prerji... A któż ma tak czarowne imię, jak ona... Luiza, Luiza...

Nawet w chwili pierwszego wyznania w cieniu akacji, Luiza nie była tak szczęśliwa, jak teraz. Pochyliła się nad chorym i wycisnęła na jego ustach długi, gorący pocałunek. W zapomnieniu nie zauważyła, że w progu ukazał się Felim, wracający z polowania.

— O, matko Mojżeszowa! — zakrzyknął Irlandczyk, rozszerzając ze zdumienia oczy. Czy to pani, miss Pointdekster, naprawdę? Ale, co to znaczy? Gdzie się podziała tamta kobieta?

— Widziałam ją, jak odjechała stąd.

— Tak prędko? To dobrze, to dobrze. Bo, widzi pani, ja nie lubię takich wojowniczych nie-

wiaśc. Przyjechała tu z nienacka i gwałtem wdarła się do mieszkania z jakimś moralnym długiem. Mówiła, że jest dobrym przyjacielem mister Geralda i z tego powodu koniecznie chciała doglądać chorego.

— To dziwne, — rzekła w zamyśleniu Luiza.

— Wszystko jest dziwne, proszę pani co się tu dzieje w ostatnich czasach. Dobrze, że pani przyszła. Mister Gerald będzie ogromnie kontent.

— Ale proszę mi powiedzieć, Felimie, co mu się właściwie stało?

— O, to długa historia! Jeżeli bym opowiedział, przestraszy się pani.

— Nie przestraszę się. Słucham.

— Przedewszystkiem w pobliżu naszego domu pod lasem był jeździec bez głowy.

— Jako bez głowy?

— Ano właśnie, że nie wiem. Jakaś diabła zagadka. Jednym słowem był jak kropla wody podobny do mister Geralda: taki sam miał płaszcz i konia takiego również. Widziałem go na własne oczy i Tara wył na niego.

— Napewno ktoś pana chciał umyślnie przestraszyć.

— To samo mówił mi i Zeb Stamp.

— Był tutaj?

— Tak, ale przedtem byli tu inni, bo mister Stamp przyszedł dopiero wczoraj rano.

— Któż tu mógł przyjść?

— Indianie! Całe plemię Indian. Rozłożyli się w całym mieszkaniu i zaczęli grać w karty...

Nagle Felim przerwał i na palcach podszedł do drzwi. — Tss... Słyszysz pani?... Znów oni jada tutaj... O, święty Patrycy! — zawołał blednącemi z przerażenia wargami. — Jesteśmy okrążeni ze wszystkich stron... O, Boże! nie zdążę już zawiadomić Stampal

Targając włosy z rozpaczny Felim wypadł z domu, jak strzała.

Luiza stanęła blada przy łóżku Geralda, nie wiedząc, co począć.

— O, Boże, to oni! — szeptała z ręką na łomoczącym sercu i ze strachem w oczach. — To oni! Ojciec!... Co ja im powiem? Jak im wyjaśnię, poco tu przybyłam?

Za drzwiami słychać było już bliski tętent koni i rozmowy jeźdźców.

— Niech co chce będzie! — pomyślała Luiza, zbierając w sobie całą odwagę. — Od chorego nie odstąpię ani na krok, bo muszę go bronić.

LIV. W męczącym oczekiwaniu.

— Stój! — rozkazująco krzyknął dowódca uzbrojonych ludzi na Felima.

— Nie uciekam, gentlemani, — zaczął się tłumaczyć wystraszony Irlandczyk, — chciałem tylko...

— Skrępować mu ręce! Prędzej! Jednak nie jest to ten, którego poszukujemy.

— Nie, nie, to jego służący.

— Słuchaj, kto tam jest wewnątrz? Mów! — wołał surowy dowódca, podczas gdy jeden z uzbrojonych ludzi uderzył Irlandczyka batem.

— Ba! Ale tam stoi mustang Luizy — zauważył nagle Woodley Pointdekster, wskazując na uwiązanego do drzewa konia. — W jaki sposób on się tu znalazł?

— Bardzo zwyczajnie, wuju, — odrzekł Kasjusz Calchun, — przybył tu ze swoją panią.

— Żartujesz chyba, Kasjuszu?

— Ano, proszę, niech wuj sprawdzi.

W tej chwili drzwi się odemknęły i w progu stanęła Luiza.

— Przebóg! Moja córka! — zawołał Woodley i szybko wszedł do chaty. Kasjusz podążył za nim.

— Co to ma znaczyć, Luizo? Czy ranny? To Henryk.

— Kreolka milczała. Wzrok plantatora padł na leżący na krześle płaszcz i kapelusz Henryka. Ale gdy zbliżył się do łóżka, zauważył, że chory nie był jego synem. Krzyknął ze zgrozy i rzucił się w tył przerażony. Kasjusz wyszedł z chaty blady, z zaciśniętymi pięściami.

— Wytłumacz mi się, Luizo, co to ma znaczyć? — zapytał Pointdekster, marszcząc brwi.

— Nie mogłam zostać w domu sama, nie wiedząc, co się dzieje z Henrykiem i myśl o nim zaprowadziła mnie tutaj.

— Dlaczego właśnie tutaj? Jakże-to znalazłaś drogę?

— Zaraz ci, ojcze, opowiem. Pamiętasz, gdy podczas polowania w stepie koń mój wystraszył się i poniósł? Otóż ocalałam wtedy dzięki poświęceniu Geralda i wracając z nim razem do towarzystwa przejeżdżałam tędy. Pokazywał mi swój dom.

Brwi Pointdekstera ściągnęły się jeszcze bardziej, na czole zawisła mu groźna chmura!

— Idź precz stąd! — zawołał. — Tu niema miejsca dla ciebie! Do domu odprowadzi cię młody Jeansy. Masz wyjechać w tej chwili.

Z temi słowami Woodley wyszedł z chaty, za nim podążyła posłusznie, ale ze łzami w oczach, Luiza. Wśród zgromadzonych przed chatą ludzi przeszedł szmer zgorszenia i zarazem zdumienia, że córka plantatora bawiła sama jedna w mieszkaniu zabójcy jej brata.

Dosiadając swego mustanga, Luiza zwróciła się jeszcze do Pointdekstera:

— Pozwól mi, ojcze, poczekać na ciebie. Wszak nie zostaniesz tu długo?

— Chcę, abys stąd odjechała. Sądzę, że to wystarczy.

Luiza pochyliła głowę i odjechała w towarzystwie młodego Jeansy. Wkrótce jednak pod jakimś błahym pozorem przystanęła na pobliskiej polance i zeskoczywszy na ziemię zaczęła nasłuchiwać.

Tam, przed domem nieszczęsnego Geralda, rozlegały się zbiorowe okrzyki, potem pojedyncze słowa, potem jakieś długie mowy, wreszcie zabrał

głos Kasjusz Calchun. Przekonywająco, dobitnie brzmiały jego zdania, a gdy skończył mówić, rozległy się w gromadzie oklaski.

Luiza nie wytrzymała. Nie zważając na obecność młodego Jeansy, pobiegła w kierunku osiedla.

LX. Sąd Lyncha.

Krzykiem, który przyciągnął Luizę, zebrana gromada wydała straszny swój wyrok. Słowo: „na stryczek“ dźwięczało w uszach kreolki, jak dzwon pogrzebowy. Zza drzew patrzyła na straszną scenę. Tłum okrężał dwóch ludzi leżących na ziemi ze spętanymi rękami: Geralda i Felima, obaj milczeli. Gerald miał wtłoczony pomiędzy zęby drążek, ażeby nie przeszkadzał gorączkowym swym krzykiem sędziowskiemu rozprawom, Felima zmuszono do milczenia pod groźbą razów. Woodley i Kasjusz stanęli z boku w charakterze świadków. Pośrodku zajął miejsce przewodniczący, a następnie sędzia i czterech asesorów. Maurice tak gwałtownie rzucał się na wszystkie strony, że zaledwie dwóch ludzi mogło go utrzymać za ręce, trzeci zaś przytłaczał mu kolana całym swym ciężarem. Felim był również podejrzany o współudział w zbrodni, a jakkolwiek badania wypadały na jego korzyść, nie wierzono mu pod żadnym względem, przyjmując jego słowa za ułożony zgóry fałsz.

Rozprawy toczyły się kilkadziesiąt minut i sędziowie doszli do przekonania, że Henryk Pointdekster został zamordowany przez Mauricea Geralda. Najbardziej obciążającym dowodem była ta okoliczność, że w domu oskarżonego znaleziono płaszcz i kapelusz młodego Pointdekstera. W gromadzie rozlegały się nieustępliwe głosy, żądające jaknajprędzszego wykonania kary śmierci. Na ziemi leżał gotowy już sznur, rozwinięty jak długi wąż. Postanowiono zawiesić stryczek na najbliższem drzewie figowem. Jedynie przewodniczący powstrzymywał wykonanie egzekucji, ponieważ wyrok nie był zatwierdzony jednogłośnie.

— Obywatele! — rzekł, — mojem zdaniem, z braku rzeczowych dowodów dokonania zbrodni, należałoby sprawę odłożyć do czasu, kiedy oskarżony odzyska zdrowie i będzie mógł osobiście udzielić nam pewnych wyjaśnień. Mamy go teraz w ręku, więc nie obawiajmy się, że zdoła nam uciec.

— Może pan rozumować w ten sposób, mister Manly, — zawołał porywczo Kasjusz Calchun, — skoro rzecz nie dotyczy pana bezpośrednio. Ale ciekawym bardzo, coby pan na to powiedział, gdyby tak zamordowano pańskiego syna lub brata. Jakich więc jeszcze dowodów pan żąda?

— Dowodów, że łowca mustangów jest rzeczywistym zabójcą Henryka Pointdekstera. Czy pan może to dowieść?

— Owszem, jeżeli chodzi o moje zdanie, to chętnie służę.

I Calchun zaczął opowiadać, jak w noc krytyczną wyszedł do ogrodu dla zaczerpnięcia świeżego powietrza i jak stał się mimowolnym świadkiem kłótni Geralda z Henrykiem, którzy, nie wiadomo w jaki sposób, spotkali się po przeciwnej stronie rzeki, za ogrodem. O widzeniu się Mauricea z Luizą przemilczał. Kończąc swoją grubo zmyśloną przemowę, rzekł głosem pełnym boleści, używając ruchów tragicznych.

— I oto mój biedny brat nie wrócił więcej do domu. Łóżko jego stało do samego rana nie-
tknięte, puste. Napewno śpi nieszczęsny gdzieś w prerji lub w lesie z krwią zastygłą na ustach i ze śmiertelną tajemnicą w sercu, które przestało bić na wieki. Ale jest człowiek, który wie wszystko, a który jednym zamachem pozbawił życia tak szlachetnego młodzieńca. Oto on!

Mowa Calchuna wywarła wstrząsające wrażenie. Niemal wszyscy już kategorycznie domagali się, aby wyrok został natychmiast wykonany. Tylko przewodniczący stał ze zmarszczką myśli na czole, tracąc w duchu nadzieję na odwleczenie sprawy. Okrzyki: „na stryczek“ stawały się coraz groźniejsze, ktoś chwycił z ziemi sznur i zarzucił go na szyję nieprzytomnego Geralda.

LVI. Nieoczekiwana przeszkoda.

Jeszcze chwila i Maurice byłby wisiał na gałęzi drzewa figowego, gdyby nie przeszkodził temu,

zgoła niespodziewanie, służący Felim. Korzystając z tego, że ogólna uwaga skupiła się na Geraldzie, Irlandczyk wysunął się ze sznurów, którymi był skrepowany, i zaczął pełzać na brzuchu do rosnącego opodal kolczastego kaktusa. Zerwał gałąź, usianą igłami i uderzył nią z całej siły klacz Zeb Stampa, która najspokojniej w świecie pasła się w zaroślach. Igły wpiły się w skórę konia, sprawiając go o szaleństwo. Biedne zwierzę zarżało przeraźliwie i zaczęło rzucać się z bólu. Rzenie jego przestraszyło przywiązane do drzew, konie teksańczyków, — a było ich około stu — i powstał ogłuszający hałas, łomot, pisk. Przerazona gromada ludzi, sądzących Geralda, rzuciła się do swoich koni, sądząc, że alarm powstał wskutek napadu Indjan. Po przekonaniu się, że alarm był fałszywy, znaleziono winowajczynię w klaczy Zeb Stampa i, dla zapobieżenia czemuś podobnemu na przyszłość, zarzucono jej lasso na szyję.

Byłaby ta sama kara spotkała Felima, gdyby w porę nie zdążył ukryć się w gąszczach, chcąc bodaj z narażeniem własnego życia dać znać starymu myśliwemu.

Tymczasem gromada znowu zwróciła do Geralda, miotając ze złością przekleństwa i żądając, z tym większą zaciekłością, wykonania wyroku. Gerald miał już zarzucony na szyję stryczek i, zda się, nastąpiła ostatnia chwila jego życia.

Nagle z za drzew wypadła czarująca swą pięknością kobieta i, precisnąwszy się przez ustępujący jej ze czcią tłum, stanęła przy podsądnym,

zerwała z niego więzy, odrzuciła precz stryczek, odepchnęła silnym gwałtownym ruchem oprawców. Trwało to krótko, jak błyskawica.

— Tchórze Teksaszczycy! — krzyknęła z oburzenia, zwracając się pałającymi oczami do gromady. — Wstydzcie się! Co wy chcecie zrobić? To ma być sąd sprawiedliwy? Kiedy podsądny nie może przemówić słowa na swe usprawiedliwienie! To taki jest wymiar sprawiedliwości w Teksasie?! — Jesteście nie sędziami, lecz mordercami!

— Co to znaczy? — zawołał zduszonym głosem Woodley, chwytając córkę za rękę. — Kazałem ci jechać do domu. To tak wypełniasz moją wolę? Precz mi stąd w tej chwili! Nie wolno ci wtrącać się w nie swoje sprawy!

— Ojczy, jest to również moja sprawa.

— Z jakiego powodu? Ha, zapomniałem! Wszak jesteś siostrą Henryka, a ten człowiek zabił twego brata.

— Za nic w świecie, nigdy, przenigdy nie uwierzę w to. Nie miałby żadnego powodu do zabójstwa. Zresztą sądźcie tego człowieka, jak nakazuje prawo, sprawiedliwość, bądźcie ludźmi, nie zaś dzikimi!

— Sąd się odbył i niema wątpliwości, że to on jest mordercą twego brata.

— A pani nie wypada, miss Pointdekster, stać w jego obronie! — powiedział ktoś z gromady.

— Nie wypada, nie wypada! — poparli inni.

— Musi się stać zadość sprawiedliwości, — rozległ się znowu czyjś głos. — Żądamy, mister Pointdekster, ażeby córka pańska odeszła stąd.

— Chodź, Lu! Tu nie dla ciebie miejsce. Powinnaś odejść. Nie chcesz? Kasjusz, proszę cię, zabierz ją stąd.

— Nie odejdę, ojczy, dopóki nie przyrzekiesz mi, dopóki oni wszyscy nie przyrzekną mi...

— Nic nie będziemy przyrzekali. To nie kobieca rzecz. Zabójstwo dokonane i morderca powinien być odpowiednio ukarany.

— Powiesić go! Powiesić! — złowrogo zakrzyknął ktoś z gromady.

Luizę wyprowadzono, a właściwie wyciągnięto przemocą.

Napróżno wrywała się z rąk znienawidzonego Kasjusza, który gorliwie spełniał prośbę Pointdekstera, napróżno płakała i protestowała, krzycząc:

— Zbrodniarzel! Zwierzęta!

LVII. Znowu przeszkoda.

Poraz trzeci miał Gerald sznurek na szyi, poraz trzeci groziła mu śmierć. Już zabierano się do wciągnięcia go na gałąź, gdy od strony zarośli rozległ się czyjś gruby tubalny głos:

— Stój!

I z lasu wybiegł z bronią w ręku wysoki o szerokich barach człowiek, wołając:

— Nie ruszać go! Bo kulę wpakuje do żołądka! Rzuć sznurek w tej chwili! Rzuć!

Zjawienie się Zeb Stampa, którego szanowano powszechnie, a którego niektórzy lękali się, wywarło piorunujące wrażenie. Oprawcy mimowoli opuścili ręce.

— Cóż to, chcecie go powiesić? — ryknął Stamp. — Zwarjowaliście? I pan, mister Pointdexter i Sam Manly zgadzacie się na podobne bezprawie?

— Nie zna pan wielu faktów, Zeb Stamp, — chciał się usprawiedliwić przewodniczący.

— Do diabła z waszemi faktami! Nawet słuchać nie chcę. Rozstrząsną je wtedy, gdy sprawa dojdzie do prawdziwego sądu, którego wyrok będzie prawomocny!

— Niesłusznie pan staje w jego obronie, — rzekł Calchun. — A zresztą jaki masz pan interes do podsądnego.

— Jaki interes? Jest on po pierwsze moim przyjacielem. A powtóre nie mogę patrzeć spokojnie na waszą warjacką awanturę nawet, gdyby miała się odbywać pod gołym niebem, w prerji!

— Co on mówi? Warjacka awantura! Pano-
wie, nie słuchajmy tego błazna i róbmy swoje. Krew zabitego woła o zemstę! Bierzcie sznurek!

— Tylko mi się waź! — krzyknął Stamp. — Zanim powiesicie Geralda, musicie pierwszej mnie zabić. Ale ja swego życia za byle co nie oddam!

Tłum ustąpił. Jedni z bojaźni, inni z powodu, że zaczęli powątpiewać, czy wyrok jest słusz-

ny. Stamp spostrzegł, że szala wygranej przechyla się na jego stronę.

— Przenieście go do kolonji, — zaczął przekonywać, — niech go tam sądzą. Ale jestem moralnie przekonany, że Gerald nie zabił młodego Pointdekstera, dla którego miał zawsze wiele szacunku i uznania.

— Pan nie wie, mister Stamp, że Gerald miał awanturę z młodym Henrykiem w nocy przeddzień zabójstwa, — zauważył przewodniczący.

— Kto tak powiedział? — zapytał Stamp.

— Ja, — wystąpił naprzód Calchun. — Ale nie jestem skłonny odpowiadać na pańskie pytania. Gentlemani, spodziewam się, że moje zeznanie wystarczyło wam w zupełności. Pocóż więc zatrzymujecie wykonanie wyroku z powodu tego starego durnia?

— Ja stary dureń? — ryknął Stamp, przysuwając się do Calchuna. — Cofnij pan w tej chwili to nierozważnie powiedziane słowo! Daję swoją głowę, że pan to zrobisz! Jeżeli nie, to godzina pańska wybije wkrótce. Pamiętaj pan o tem. A co do awantury Geralda z Henrykiem, to są to tylko plotki. Mówicie o faktach? Ja mam również fakty.

— Proszę, niech pan powie, jakie? — zapytał przewodniczący.

— Przedewszystkiem Gerald ma ciało w ranach. Przypuśćmy że to są ślady pazurów wilczych. Ale dlaczego ma stłuczone i spuchnięte kolana?

— Nic dziwnego. Musiał walczyć z Henrykiem, który ze swej strony nie mógł pozwolić za-

rznać się, jak cielak. Pańskie przypuszczenia o wilkach mogą być trafne, ale to co nam tu wygadywał ten Irlandczyk o jaguarze — brednie.

— Pan mówi o Felimie? Gdzie on jest?

— Uciekł i uratował skórę. Ale my go znajdziemy i powiesimy, aby nauczył się mówić prawdę.

— Mogę potwierdzić to wszystko, co mówił Felim o jaguarze. Sam zastrzeliłem tego zwierza i uratowałem Geralda.

— Irlandczyk opowiadał jeszcze o Indianach.

— I to również prawda. Oto na dowód hiszpańskie karty, porzucone przez nich.

— Indianie, grający w karty! Jak się to komu podoba?

— Owszem, wiele plemion Injan posiada białych niewolników i ci zapewne nauczyli ich grać w „monte“, ulubioną grę meksykańczyków.

Wiadomość, że bawili tu Indianie, wywarła niemiłe wrażenie na zebranych.

W tej chwili rozległ się tętent konia i na wzgórzu ukazała się znajoma postać Isadory.

LVIII. I n d j a n i e.

— Ratunku! Ratunku! Indianie! — wołała Isadora, pędząc szalonym kłusem i wykonywając rozpaczliwe ruchy.

Istotnie goniło ją czterech utatuowanych Indjan, z których jeden usiłował zarzucić jej lasso na szyję, podczas gdy inni zastępowali jej drogę.

Wtem rozległ się strzał i Indjanie, na widok stojącej w dali gromady uzbrojonych ludzi, zniknęli w lesie. To strzelił Zeb Stamp, żałując, że gdyby nie chodziło o ocalenie napastowanej kobiety, można byłoby urządzić pułapkę na Indjan w domu Geralda.

Bądźcobądź wiadomość o zjawieniu się czerwonoskórych, udzielona przez Felima, sprawdziła się. Wskutek tego większość wypowiedziała się przeciwko wykonywaniu wyroku i postanowiono sprawę odłożyć. Stamp natychmiast wyjął z ust Geralda drążek i porozcinał sznury, krępujące mu ręce.

Tymczasem zaczęto rozprawiać o tem, jakby tu urządzić wyprawę na Indjan. Jakkolwiek widziano ich tylko czterech, to jednak bezwątpienia był to tylko podjazd, za którym mogło podążać ze czterystu. Wszyscy zgodzili się na jedno, aby poczekać na Isadore, która powinna była zaraz nadjechać i udzielić szczegółowych wiadomości o liczbie dzikich. W oczekiwaniu więc na piękną meksykańkę wszyscy dosiedli koni, aby stać w pogotowiu w razie zjawienia się bandy czerwonoskórych. Upłynęło sporo czasu, a Isadory nie było widać. Młodzież zaczęła obawiać się o jej życie, a wielu robiło sobie wymówki, że nikt nie wyruszył na pomoc.

Powoli w gromadzie zaczęła budzić się rasa nienawiść do Indjan. A nuż piękna meksy-

kanka padła ofiarą rozbestwionego dzikusa! Zgodzono się wreszcie na jedno, że Henryka Pointdekstera zamordowali Komancze, a teraz w rękach ich znajduje się piękna Isadora.

Gniew i oburzenie uniosło gromadę i znaczna większość, nie mogąc dłużej znieść swej bezczynności, rzuciła się w pogoń za Indjanami. Zostało tylko przed chatą Geralda niewielu, a wśród nich troje najwierniejszych przyjaciół Mauricea: Zeb Stamp, Luiza i Felim. Stamp milczał, ukrywając w sobie zgoła odmienne zdanie o Indjanach, Luiza trzymała się zdala od Geralda, aby nie wzbudzać przedwcześnie podejrzeń, Felim zaś który dotychczas siedział na wierzchołku starego dębu, ukryty w gałęziach, zsunął się bezpiecznie na ziemię i rozpoczął nanowo zwykle swe obowiązki.

Po upływie godziny osiedle Mauricea zaległa pustka, być może na zawsze. Chorego przewieziono do kolonji.

LIX. W domu zabitego.

Smutno było w domu Pointdekstera. Woodley, Luiza i Kasjusz prawie nie rozmawiali. Teraz już kikt nie wątpił, że Henryk został zabity. Ale, oprócz ogólnego nieszczęścia, każdy nosił w głębi duszy jakiś tajemniczy smutek, z którym nie chciał się zwierzyć nikomu.

Dumny plantator jakgdyby zgarbił się pod ciężarem swego nieszczęścia, wzdychając często

i wydając ze siebie jakieś niezrozumiałe przekleństwa.

Calchun przepadał na całe dni z domu, zjawiając się tylko na spożycie obiadu i na noc.

Luiza spędzała całe dni w swoim pokoiku lub na tarasie ze wspomnieniami o przeszłości, na rozpamiętywaniu śmierci brata i na walce z trwogą o życie i honor kochanego człowieka. Dowiedziała się, że Gerald został wtrącony do wojskowego więzienia i że tłum, nieustępliwy w swoim okrucieństwie i podżegany fałszywymi wiadomościami, chce go zlinczować. Coprawda, wracając z wyprawy na Indjan, komendant twierdzy znalazł przypadkowo w lesie cztery ich ubrania, co dowodziło, że w zabójstwie brali udział jacyś przebrani złoczyńcy, ale zarzuty przeciwko Geraldowi bynajmniej nie osłabły.

Tymczasem pod drzwiami więzienia zbierały się tłumy ciekawych i Luiza nie miała odwagi pokazywać się w pobliżu. A nawet, gdyby znalazła w sobie tę odwagę i chciała zlekceważyć opinię ludzką, każdy jej krok uważnie śledził ojciec i zdołałby zawsze powstrzymać ją od podobnego czynu.

Czwartego dnia zjawił się Zeb Stamp, przynosząc wiadomość, że Miguel Diaz został aresztowany, a następnie poszli do więzienia jego trzech towarzysze. Wiadomość ta niezmiernie ucieszyła Luizę, ponieważ Diaz był w zмовie z Kasjuszem Calchunem i knował razem z nim intrygi przeciw Geraldowi.

— Niech mi pan jednak powie, mister Stamp,
— zapytała Luiza, — w jakim celu aresztowano
Diaza.

— Jest on mocno podejrzany o współudział
w zbrodni. Wie pani już o tem, że w lesie znale-
ziono porzucone ubrania Indjan, a w chacie Ge-
ralda hiszpańskie karty? Otóż obserwacja moja
i dochodzenia wykazały, że Indjanami tymi, którzy
również napastowali Isadorę, byli aresztowani hul-
taje z Diazem na czele.

— Więc zdaniem pańskim ci czterej meksy-
kanie są sprawcami naszego nieszczęścia?

— Czasem wydaje mi się, że tak, innym znów
razem skłonny jestem podejrzewać kogo innego.

— Ale nie jego, mister Zeb, nie jego!

— Oczywiście, nie łowcę mustangów. Co do
Geralda, to daję swoją głowę.

— A tymczasem cały ciężar zarzutów spadł
na niego. Czy jest nadzieja, że można będzie udo-
wodnić niewinność Geralda, mister Stamp?

— Nie wątpię. Prerja to olbrzymia księga,
którą trzeba umieć czytać. Co do mnie, to jakoś
daję sobie z nią radę. W ostatnich czasach nie
mogłem oddalać się od więzienia i prowadzić dal-
szego śledztwa. Ale dzięki Bogu, deszczu już da-
wno nie było i, jeżeli są w prerji ślady zabójstwa,
to deszcz ich nie zmył. Obecnie mister Gerald
czuje się znacznie lepiej — widziałem go dzisiaj
z rana — i nie dziś to jutro będzie mógł stanąć
przed sądem. Tymczasem pozwolę sobie wyjechać
w stop na poszukiwania dalszych dowodów nie-

winności Mauricea i nowych poszlak przeciwko istotnym mordercom. Za trzy dni wracam.

— Niech Bóg pana prowadzi, mister Stamp? Niech godzina pańska będzie szczęśliwą! Jeżeli naprawdę zdemaskuje pan zabójców mojego brata będę panu wdzięczna na wieki!

LX. Gniadosz.

Pożegnawszy Luizę, Zeb Stamp udał się do stajni, gdzie Pluton obdarzał sówicie obrokiem jego starą klacz.

— Pocóż ten pośpiech, mister Stamp? — zapytał murzyn. — Niechby sobie koń trochę odpoczął. Widzi pan przecie, jaki zmordowany.

— A to dlatego, że zrobił sto mil w dwie godziny.

— Oho! To tak pan potrafi jeździć, mister Stamp! W takim razie gniadosz mister Kasjusza zrobił conajmniej dwieście mil.

— Z czego wywnioskowałeś, że zrobił dwieście mil.

— Dlatego, że powrócił cały spieniony i za ledwie mógł ustać na nogach, nawet trząsł się z wycieńczenia.

— Kiedy to było? — zapytał Stamp.

— W nocy, kiedy mister Henryk nie wrócił do domu.

— Któż tak jeździł na tym gniadoszu?

— Nie wiem. Nikt nie widział kto go wyprowadził ze stajni i kto go postawił z powrotem.

— Któż go mógł wziąć bez twojej wiedzy? Ktoś ze sług?

— Ale, gdzie tam! Na gniadosza nikt się nie odważy siadać, oprócz Kasjusza.

— Więc nikt inny, tylko mister Kasjusz wyjeżdżał na nim.

— Myśmy sami tak sądzili przedtem.

— A któż wpłynął na was, że zmieniliście zdanie?

Sam mister Calchun. Po tym wypadku chciałem go zapytać, dlaczego gniady tak zapędzony, a mister Calchun zakrzyczał mnie, że to nie moja rzecz, uderzył mnie szpicrutą i zagroził mi na przyszłość. Nigdy jeszcze mister Calchun nie był taki zły.

— Gdzież jest on obecnie? Gniadosz w stajni, więc i on powinien być w domu,

— Nie, wyjechał. Teraz rzadko kiedy przebywa w domu. Tylko od tej pamiętnej nocy nie używa gniadosza, lecz bierze zawsze siwka. Zapewne żałuje go.

— Wiesz, Plutonie, niech i moja klacz trochę odpocznie i pokrzepi się owsem, a ty tymczasem przynieś mi co do zjedzenia.

— Pędzę na jednej nodze, mister Stamp. Naturalnie i pan musi chwilkę odpocząć.

Zaledwie Pluton wybiegł ze stajni, Stamp podszedł do konia Calchuna i, zmusiwszy go zarzuconym na szyję lasso do kolejnego podnoszenia

nóg, zaczął mu oglądać podkowy, rozkład gwoździ, ich kształt. Oglądając ostatnią podkowę, wydał radosny okrzyk: podkowa była pęknięta. Dla większej pewności Stamp oderwał ją od kopyta za pomocą swego noża i ukrył w kieszeni. W tej chwili wrócił Pluton, obarczony butelką whisky i zakąską, i Stamp, jakby nigdy nic się nie stało, zaczął zjadać.

— A kto wam kuje konie? — zapytał od niechcienia.

— Mamy swego kowala, Jacka. Dlaczego pan pyta?

— Tak sobie. Chciałem zmienić podkowy swojej klaczy, gdyż zdarły się trochę.

— Bardzo chętnie. Jack szybko to zrobi.

— A kiedy podkuwaliście konie?

— Tydzień temu. Ostatni był podkuty mustang miss Lu. Obecnie mister Calchun kazał podkuć gniadosza, który ma złamaną jedną podkowę. Więc mam zawołać Jacka, mister Stamp?

— Nie, rozmyśliłem się. Nie warto. Spieszę się. Zresztą będę jechał po miękkim gruncie, więc stare podkowy wytrzymają jeszcze.

Dowiedziawszy się wszystkiego, co mu było potrzebne, stary myśliwy wyruszył w drogę.

LXI. Ślady.

Z drogi, wiodącej od domu Pointdekstera, Stamp skręcił w prerję, nie odrywając wzroku od ziemi

i wpatrując się uważnie w każdy ślad kopyt końskich. Nagle przystanął, zeskoczył z konia i, wyciągnąwszy z kieszeni złamaną podkowę, zaczął układać ją w dostrzeżonem wgłębieniu.

— Mam cię! — Krzyknął radośnie. — Oto ślad prawdziwego zbrodniarza.

Odkrywszy ślad, odpowiadający złamanej podkowie, Stamp nie wsiadał już na konia, ale szedł powoli z oczami utkwionemi w ziemi, badając skrupulatnie ciągnące się w dal ślady, jak archeolog bada stare wytarte piśmidła. Nie widział, ani przestworów błękitnych nieba, ani pysznej zieleni bezmiernego stepu. Koń szedł za nim posłusznie. Wtem rozległ się strzał... Z brzegu lasu, w dali ukazał się obłoczek dymu.

— Co za dureń poluje w tym lesie! — warknął ze złością. Stary myśliwy. — Oprócz wilków nie ma tam nic, godnego kuli. Dziwi mnie tylko, jak te wilki nie powyzdychały z głodu... Ha! Cóż to takiego? Koń! Pędzi naoslep, jakby go kto czerwonym żelazem poganiał... Przebóg! To jeździec bez głowy!

Stamp nie omylił się. Tajemniczy jeździec sadył prosto na niego. Trochę zabobonny Stamp, sądząc, że ma przed sobą jakieś nadnaturalne zjawisko, przyczał się wraz z koniem w krzakach i czekał. Po chwili jeździec przemknął obok, ukazując tak znane Stampowi siodło, kapelusz i błękitną bluzę. Stary myśliwy nie mógł jeno odróżnić twarzy jeźdźca, który głowę przyciskał do siebie.

— Boże! Więc to prawda! — krzyknął Zeb Stamp. — Biedny chłopiec zabity.

Nie namyślając się długo, w którą stronę wypada pójść, Stamp wysunął głowę z zarośli i spojrział w kierunku, skąd dobiegł go huk strzału. Zdumiał. Z lasu wyłonił się Kasjusz Calchun i popędził za jeźdźcem bez głowy. Gdy obadwaj zniknęli z oczu, Zeb Stamp skoczył na konia i ruszył w dalszą drogę. Wkrótce znalazł się na twardej wapiennej równinie i — zgubił ślady. W dali ujrzał Kasjusza Calchuna, który, rzucając się to w prawo, to w lewo, również nie mógł znaleźć śladów jeźdźca bez głowy. Po bezskutecznych i długich poszukiwaniach Calchun zawrócił konia ze złością i pomknął w kierunku Leony. Stamp zawiódł się również w swoich poszukiwaniach. Widząc, że na wapiennym gruncie żadnych śladów dopatrzyć się niepodobna, wrócił do poprzedniego swego zadania. Puścił za sobą konia luzem i doszedł do miejsca, w którym ślady złamanej podkowy zbiegały się ze śladami dwóch innych koni: amerykana i mustanga. Ślady wskazywały, że konie szły jedną drogą, choć w różnym czasie: z przodu amerykan, za nim mustang, wreszcie drugi amerykan ze złamaną podkową. W pewnym miejscu ślady ostatniego konia szły w bok, wiodąc do drzewa, do którego widocznie był przywiązany koń, podczas gdy jeździec poszedł pieszo. Idąc śladami butów tego jeźdźca, Stamp zgoła nieoczekiwanie znalazł się w miejscu gdzie była kałuża krwi, obecnie wylizana już przez wilki i wyschnię-

ta. Następnie ślady nóg jeźdźca skręcały do drzewa i tu jeździec ów zapewne dosiadł konia i pojechał z powrotem w step.

Rozejrzawszy się w lesie dokoła, Stamp zrobił jeszcze jedno ciekawe odkrycie. Oto ujrzał na pobliskim krzewie zaczepiony przypadkowo skrawek papieru, którego przedtem widocznie nie zauważyli ludzie z oddziału komendanta twierdzy. Skrawek ten był zmięty i okopcony do połowy, zapewne użyto go za przybitkę do strzelby. Stamp rozprostował go i dojrzał na nim ku wielkiemu swemu zadowoleniu dwie duże litery: „K. C“.

Następnie, nie spuszczać z oka śladów na ziemi, dotarł do ścieżki, nad którą zwisała potężna gałąź jakiegoś starego drzewa. Ażeby nie uderzyć głową o gałąź jeździec musiałby pójść pieszo, i ostrożnie przeprowadzić konia. Ale śladów nóg ludzkich nie było, natomiast Stamp ujrzał pod drzewem ślad ciężko spadłego ciała. Stary myśliwy aż wydał okrzyk radości. Widocznie w tym miejscu jeździec zwałił się z konia. I rzeczywiście dalej widać było ślady czołgającego się po ziemi człowieka.

— Otóż w tym miejscu wywichnął sobie nogę, — rozmyślał Stamp. — Natknął się na drzewo i wskutek silnego zderzenia spadł z siodła, A ciało poraniły mu nie pazury dzikich zwierząt, lecz kolce i gałęzie, o które musiał się ocierać.

Doświadczone oko starego myśliwego znajdowało ślady i szczególne znaki tam, gdzie niktby ich nie znalazł. Zaledwie dostrzegalne uszkodze-

nie drzewnej kory, pochylenie trawy, złamana gałązka, poruszony z miejsca kamyczek — wszystko dowodnie świadczyło, że tu spadł z konia, potłukł się i pełznął z największym wysiłkiem, drąc na sobie odzież i kalecząc ciało, jakiś człowiek. Postępując krok w krok jego śladami, Stamp znalazł się na brzegu strumienia, gdzie został odnaleziony i uratowany łowca mustangów, Maurice Gerald.

LXII. Zamiana.

Nie mogąc dogonić jeźdźca bez głowy, Kasjusz Calchun postanowił zmienić swego wierzchowca na innego, któryby mógł dorównać zdziwiałemu mustangowi.

Z przekleństwem na ustach zawrócił do domu i, jadąc znaną sobie drogą, spostrzegł nagle na ziemi niezatarte jeszcze ślady własnego rumaka z odcisnięciem złamanej podkowy. Ogarnął go zabobonny lęk. Od czasu, gdy przejeżdżał tędy, upłynął tydzień, szalały burze, padały deszcze ulewne, a ślady zostały niezmyte i świeże, jak gdyby umyślnie ktoś je zachowywał na przyszłość... Czy srogie żywioły natury mszczą się za pogwałcenie praw Bożych?... Calchun szybko zszedł z konia i zaczął ścierać i zdeptywać zdradzieckie ślady, zapomniawszy zgoła, że zostawia po sobie nowe.

Gdy wydało mu się, że zatarł już wszystkie zdradliwe znaki na ziemi, wsiadł z powrotem na

konia i ruszył dalej. Wtem naprzeciw z gąszczów leśnych wyjechała Isadora Cavarubio. Calchun wiedział, że piękna meksykanka kocha łowcę mustangów, podczas gdy Isadora ze swej strony była poinformowana co do uczuć Calchuna względem Luizy Pointdekster. Gdy byli już blisko siebie, Calchun skłonił się grzecznie i rzekł:

— Przepraszam panią, ale zdaje mi się, że to pani była napastowana przez dzikich Indjan? Ach, jakżeśmy wszyscy zaniepokoiли się wówczas zniknięciem pani po wystrzale!

— Strzał panów istotnie wybawił mnie z dość przykrewj sytuacji i dzięki temu mogłam już spokojnie jechać dalej.

— Właśnie, widząc, jak pani jeździ konno nie miałem żadnych powodów do obawy o pani życie. Zarówno mnie, jak i moich kolegów zdumiewała poprostu wykazana przez panią umiejętność jazdy. Cudownego ma pani wierzchowca.

— Wstrętne zwierzę, dwa razy już zdradziło mnie swoim rzeniem. Gdy tylko wrócę do Rio Grande zaraz zamienię tego mustanga na odpowiedniejszego wierzchowca.

— Mnie się on bardzo podobał, — zauważył Calchun, przyglądając się z zachwytem pięknemu zwierzęciu.

— Pan żartuje chyba? Ten rumak nie odznacza się niczem szczególnem. Gdyby nie powrót do Rio Grande, chętniebym go panu ofiarowała.

— Możemy więc się zamienić, seniorita. Choć mój siwek ustępuje pani mustangowi pod każdym

względem, jednak do Rio Grande można na nim dojechać spokojnie.

Isadorę ubawiła propozycja Calchuna, ale również podobała jej się taka zamiana w stepie. Ze śmiechem przesiadła się na siwego wierzchowca, Calchun zaś dosiadł mustanga i oboje wyruszyli w drogę — każde w swoją stronę.

LXIII. Na straży.

Kiedy Kasjusz Calchun zdeptywał ślady złamanej podkowy, Zeb Stamp, kierujący się wówczas tymi śladami, zauważył go z daleka.

— Co on robi! — zakrzyknął. — Zacierają ślady swego konia. Daremnie! Zbyt są głębokie. Teraz nie wyprowadzisz mnie w pole, mister Calchun! Nie spuszczę cię z oka nawet gdybym miał pójść za tobą w piekło!

Następnie stary myśliwy stał się świadkiem spotkania Calchuna z Isadorą i zamiany na konie. Ukryty za drzewami, słyszał ich rozmowę i wyszedł z zasadzki dopiero wtedy, gdy tamci rozjechali się w przeciwnie strony.

— W jakim celu mógł Kasjusz zamienić swego rasowego wierzchowca na zwykłego mustanga? — zaczął rozmyślać Stamp i nagle wpadł na myśl:

— Aha!... Kasjusz pragnie za wszelką ceną dopędzić jeźdźca bez głowy i dlatego woli śmigłego mustanga, niż pięknego ale zmordowanego już

amerykana. Zapewne Calchun zawróci teraz do domu, a później znowu wyruszy w prerię. Dobrze, będziemy czekać.

Stamp puścił swoją klacz luzem na trawę, a sam wyszedł z lasu. W dali widać było dom Pointdekstera. Kasjusz Calchun wjechał do bramy i zniknął. Stamp siadł w trawie naprzeciw i postanowił czekać choćby do rana, zanim Calchun nie ukaże się znowu. Uczuwszy głód, wydobyl z torby podróźnej kawałek chleba, mięsa i butelkę whisky i zaczął się pokrzepiać. Z bramy wychodzili i wchodzili różni ludzie, ale bystre oczy Stampa nie zauważyły, aby Kasjusz wyszedł. Wreszcie słońce zaszło i fioletowe cienie zmierzchu zaległy nad równiną. Stary myśliwy wstał i przylgnął do pobliskiego drzewa, nie przestając obserwować. Mrok gęstniał coraz bardziej.

— Niegodziwiec może skorzystać z nocnych ciemności i zmylić za sobą ślady, — pomyślał Stamp. — A ja wszak muszę wiedzieć, w jakim kierunku ten jegomość powędruje.

Wróciwszy do lasu, myśliwy przywiązał swoją klacz do drzewa, a sam ostrożnie zaczął skradać się do domu. W odległości dwustu kroków od bramy zatrzymał się i przysiadł za niewielkim krzakiem zdecydowany na spędzenie tu nocy. Ostatnie promienie zachodzącego słońca zgasły i wokół zapanowała cisza, przerywana od czasu do czasu dochodzącą z zabudowań rozmową murzynów i rzadkim śmiechem. Zwykle o tej porze rozlegał się w mieszkaniach głos skrzypiec i śpiewy wesołe,

teraz było tam jakoś smutno, widocznie nieszczęście plantatora dotknęło i służbę boleśnie. O północy ucichło wszystko, jakby pogrążone w śnie kamiennym. Tylko chwilami ujadały psy, spuszczone z łańcuchów, i z oddali dochodziło wycie stepowych wilków. Stamp był zmęczony i znużony całodzienną jazdą w stepie, ale postanowił nie zmrużyć oka ani na chwilę. Gdy uczuł, że sen chce go pokonać i zamknąć mu ociężałe powieki, wstawał, chodził tam i napowrót, zapalał fajkę i znowu kładł się w trawie. Wreszcie na niebo wypłynął księżyc i rzucił potoki światła na cały dom. Stamp wyraźnie widział wrota, które były zamknięte. Wyszedł więc zza krzewu i wrócił na poprzednie swoje miejsce pod drzewem.

Wtem brama odemknęła się i wyjechał Kasjusz Calchun na małym siwym mustangu, kierując się prosto w tę stronę, gdzie stał ukryty myśliwy. Gdy minął drzewo, Zeb Stamp szybko dosiadł swego konia i pomknął za nim, trzymając się zdaleka. Wkrótce dostrzegł na zroszonej trawie ślady kopyt mustanga i stwierdził, że z tego powodu Calchun nie zniknie mu z oczu.

LXIV. Przeróżający widok.

Zeb Stamp posuwał się za Kasjuszem trop w trop, trzymając się zdaleka, ażeby tamten nie zauważył go. Nagle ujrzał na zroszonej trawie oprócz śladów siwego mustanga inne jakies ślady.

— Oho! — pomyślał stary myśliwy, — Kasjusz dopiął swego celu i schwycił jeźdźca bez głowy. Chociaż dziwi mnie, dlaczego ślady obydwu koni idą tak blisko siebie. To coś podejrzanego.

I Stamp popędził konia, nie odrywając oczu od ziemi: W tej chwili w lesie rozległ się strzał i po upływie kilku minut z gąszczów wyskoczył w szalonym pędzie Calchun.

— Dlaczego on tak prędko wrócił? — szepnął stary myśliwy. — Coś się musiało stać: Kasjusz tak pędzi, jakby mu na pięty następowali wszyscy djabli. Czy to czasem nie zmieniły się role i nie napastuje go tamten bez głowy. Więc ząb za ząb. Chciałbym jednak popatrzeć na tę gonitwę. Ha! ha! ha!

Zeb zlął z konia, wciągnął go w zarośla i sam ukryty za krzakiem zaczął patrzeć. Po chwili przemknął obok niego, jak szalony, Kasjusz Calchun. Twarz miał śmiertelnie bladą, wystraszoną.

— O, Boże! — zawołał myśliwy. — Nigdy jeszcze w swem życiu nie widziałem podobnej twarzy. Sądzę, że nieszczęsna miss Luiza nie zechce takiego mężulka. No, ale co go tak mogło wystraszyć, przecież nikt go nie goni? Trzeba zbadać rzecz całą.

I gdy Calchun zniknął z oczu zupełnie, Stamp dosiadł swego konia i ruszył w kierunku lasu. Zaledwie wjechał w zarośla, gdy koń jego zaczął parskać, strzyc uszami niespokojnie i stornić w bok. Myśliwy zeskoczył na ziemię i, zro-

biwszy parę kroków, stanął, jak wryty. W trawie leżała ludzka głowa z naciśniętym na nią kapeluszem. Okrwawiona, sina, zeszpecona ohydnie twarz patrzyła na Stampa szeroko rozwartemi oczami. Blade wargi rozchyłał straszliwy uśmiech.

— Boże miłosierny! zakrzyknął Stamp, wpatrując się w znajome sobie rysy twarzy zabitego.— Jakże ja będę mógł przynieść tę głowę ojcu i siostrze nieszczęśliwego Henryka? Ach, nie, lepiej zakopię ją tutaj w ziemi i nic nikomu nie powiem. Chociaż nie! Muszę ją wziąć. Głowa ta będzie jeszcze jednym świadectwem, obciążającym prawdziwego zbrodniarza!

Powiedziawszy te słowa, Zeb troskliwie określił głowę starym swym płaszczem, przywiązał do siodła i pojechał.

LXV. O b r o Ń c y.

Wbrew oczekiwaniom Gerald wrócił do zdrowia po upływie czterech dni od chwili wtrącenia go do celi, wobec czego postanowiono, że sąd odbędzie się nazajutrz.

W twierdzy Inge nie było stałego sądu, ale, jakby umyślnie, zjechał był sędzia [okręgowy, któremu przypadło w udziale rozstrzygnięcie kilku zaległych spraw, a między innemi — sprawy Geralda. Również w miasteczku nie było obrońców prawnych i dopiero w ważniejszych sprawach wzywano ich z większych miast.

Atoli niewiadomo w jaki sposób i dzięki czyjej inicjatywie w twierdzy Inge zjawiał się nadspodziewanie adwokat z Saint Antonio i natychmiast sprezentował się władzom, jako obrońca w sprawie Geralda. Nie był to jednak odosobniony wypadek w tym czasie, bo w przeddzień sprawy przybył dzięki już zwykłemu zbiegowi okoliczności drugi adwokat, słynny obrońca z Dublina. Adwokat ten, jadąc zza oceanu, miał na celu załatwienie zgola innych spraw, niż sądowe i zdziwił się niezmiernie, gdy zbierając informacje, dotyczące osoby Geralda, dowiedział się, że Gerald został wtrącony do więzienia, jako posądzony o zabójstwo.

— Czy być może, — zawołał, ażeby syn Minister - Geralda, spadkobierca zamku Bally - Baallah z jego wspaniałym parkiem i olbrzymimi obszarami ziemi był podejrzany o zabójstwo? Proszę zaprowadzić mnie do niego!

Jakkolwiek słyszący to pomyśleli, że irlandzki obrońca utracił zmysły, to jednak komendant twierdzy, któremu adwokat przedstawił jakieś dowody, chętnie zezwolił mu na wolny wstęp do uwięzionego.

Upłynęło kilka godzin i po okolicy zaczęły krążyć lotem błyskawicy najfantastyczniejsze pogłoski, intrygujące wszystkich, że Maurice Gerald opowiedział swoim obrońcom w tajemnicy jakąś godną podziwu, a przerażającą historję, jakiej świat cały dotychczas nie znał. Wtajemniczony był w tę historję stary myśliwy, Zeb Stamp, i jeszcze pewna osoba, ale Stamp był badany przez obrońców tylko

raz jeden, poczem zniknął z horyzontu zupełnie, jakby zapadł się w ziemię. Powszechnie mniemano, że myśliwy, jak zwykle wyjechał na polowanie, ale nikt nie przypuszczał nawet, że nie na jelenie lub niedźwiedzie Stamp poluje w pobliskich lasach i prerji, lecz na dziwne stworzenie — jeźdźca bez głowy.

LXVI. Sąd.

Ponieważ nazajutrz dzień był pogodny i duszny, władze zdecydowały, że sprawa Geralda będzie się rozstrzygała pod gołym niebem na świeżem powietrzu. Obrano w tym celu olbrzymi dziedziniec forteczny, który jednocześnie mógłby pomieścić kilkaset osób. Przewidywanie to było słuszne, gdyż od samego rana zaczęły nadciągać ze wsząd tłumy ludzi, ciekawych zarówno osoby oskarżonego, jak i przebiegu samej sprawy. Miejsce przeznaczone dla sędziów, podsądnego i świadków otoczone zostało kordonem żołnierzy.

Po załatwieniu wszystkich przygotowań sąd się rozpoczął.

— Gentlemani, — rzekł sędzia, odkładając na bok cygaro, — zebraliśmy się po to, aby rozstrzygnąć sprawę, którą wszyscy zapewne już znacie, Został zabity syn jednego z naszych czcigodnych współobywateli. Mamy przed sobą podsądnego, który jest podejrzany o to zabójstwo. Panowie przysięgli, obowiązkiem naszym będzie rozstrzygnąć,

ezy podejrzenia są słuszne, czy nie. Czy pan przyznaje się do winy? — skierował zapytanie do Geralda.

— Nie, — krótko ale stanowczo odrzekł pod sądny.

Zaczęto badać świadków. Pierwszy stanął właściciel tawerny i hotelu Oldduffery, zeznając, że Gerald wyjechał o północy w dniu zabójstwa młodego Pointdekstera i uregulował rachunek całkowicie, czego przedtem nigdy nie czynił. Jakkolwiek nie mówił, dokąd wyjeżdża, ale ze zjawienia się służącego po rzeczy można było wywnioskować, że wracał do Alamo. Miał na sobie, jak zwykle, płaszcz w pasy, strzelbę, pistolety i kin-dzał. Olddufferyemu wydało się dziwnem, że Gerald opuszczał hotel z takim pośpiechem, w nocy, gdyż faktycznie zamierzał wyruszyć w drogę dopiero nazajutrz rano. Przed odjazdem gdzieś bawił, bo wrócił do hotelu wzburzony. Nieco później Oldduffery został poinformowany, że Geralda widziano tego wieczoru za miastem idącego w kierunku plantacji Pointdekstera. Ale zaledwie opuścił hotel Gerald, gdy do tawerny wpadł Henryk Pointdekster z oznakami większego zdenerwowania, niż Gerald. Dowiedziawszy się, że tamten wyjechał, puścił się za nim w pogoń.

Zeznanie świadka wypadło na niekorzyść pod sądneho. Głównie podejrzanem wydało się to, w jakim celu Gerald zmienił poprzedni plan wyjazdu i wyjechał z nienacka w nocy. Z drugiej znów strony niezrozumiałym był fakt, dlaczego

Pointdekster wyjechał po odjeździe Geralda, nie zaś odwrotnie. Tymczasem zeznania innych świadków nie dodały nic nowego, a tym samym nie usunęły wątpliwości.

Lecz oto wezwano Calchuna. Calchun wyjaśnił w sposób nader prosty motywy przestępstwa, opowiedziawszy wszystkie szczegóły, które poprzedzały zabójstwo: — spotkanie w ogrodzie Geralda z Luizą, wtrącenie się w tę sprawę brata, kłótnia, wreszcie pogoń Henryka za Geraldem.

Zeznanie Calchuna wywarło na obecnych silne wrażenie i zostało odsłonięte tajemnicze podłoże sprawy. Wzrok wszystkich skierował się na Luizę Pointdekster i zaczęto dopytywać się, w jakim też ona występuje charakterze: jako świadek, czy widz zwyczajny.

Wtem przewodniczący wymówił nazwisko Luizy Pointdekster.

LXVII. W ogniu pytań.

Podczas zeznań Calchuna jakiś niemłody pan, stojący w tłumie zachwiał się i jęknął belesnie. Był to Woodley Pointdekster, nieszczęsny ojciec syna, którego zamordowano w ohydny sposób, i córki, na którą rzucono cień podejrzenia, że urządziła sobie schadzkę w nocy z jakimś łowcą mustangów zabójcą jej brata. I oto teraz jej zeznania.

— Gdzie pani była, miss Pointdekster, w nocy, gdy zabito pani brata?

— W domu mojego ojca.

— Czy wychodziła pani tej nocy do ogrodu?

— Owszem.

— O której godzinie?

— Mniej więcej o dwunastej.

— W ogrodzie była pani sama?

— Nie. Później nadszedł mój brat.

— A czy przed nadejściem pani brata był jeszcze tam ktokolwiek?

— Naturalnie. Był mister Maurice Gerald.

Młodzieniec, siedzący na ławie oskarżonych, spojrział na Luizę oczami, pełnemi zachwytu. W tłumie nastąpiło poruszenie. Jednych wzruszyła szczerść Luizy, inni byli zgorszeni. Sędzia badał dalej,

— Proszę powiedzieć, czy schadzka pani w ogrodzie była przypadkowa, czy umówiona?

— Umówiona.

— A może nie odmówi nam pani dalszego wyjaśnienia, jaki mianowicie cel miała ta schadzka, miss Pointdekster?

Luiza zawahała się chwilę, potem, spojrzawszy śmiałym wzrokiem na obecnych, rzekła:

— Nie będę ukrywała. Wyszłam do ogrodu, aby zobaczyć się z człowiekiem, którego kocham, którego kocham nawet w tej chwili, mimo, że został posądzony o zbrodnię.

— Czy to prawda, że pani brat był oburzony na podsądnego w chwili rozstania się z nim?

— Tak.

W tłumie rozległy się szemrania. Otóż powód zabójstwa został dostatecznie wyjaśniony. Potwierdziły to zeznania samej Luizy Pointdekster.

— Powiesić go! Powiesić! — zaczęto krzyć zewsząd.

Sędzia z trudem przywołał zebranych do porządku.

— Brat mój jednak wybaczył mister Geraldowi i pojechał do niego, aby pogodzić się z nim.

— Klótnia pomiędzy nimi wynikła później — zawołał z tłumu Calchun.

Skończywszy swoje zeznania, Luiza wróciła na poprzednie miejsce z ciężarem w sercu. Była przekonana, że jej szczere odpowiedzi na pytania sędziego pogorszyły sprawę Geralda.

Po niej znów przemawiał Calchun. Wprawdzie nie dodał do poprzednich swych zeznań nic nowego, ale doborem słów i tragicznym patosem podsycił dzikie instynkty w tłumie, który coraz natarczywiej domagał się sądu Lyncha.

— Na stryczek go! Powiesić! — wyła tłuszcza, nacierając na areopag sędziowski

— Obywatele! — zwrócił się z wymówką przewodniczący. — Jakże można wieszać człowieka, który we własnej obronie nie wyrzekł ani słowa? Jakież byłby to sąd? Byłaby to zbrodnia raczej.

— Na zbrodniarza tylko śmierć! — krzyknięto z tłumu, w którym znajdował się Calchun.

— Nawet nie wszyscy świadkowie jeszcze zeznawali! — rzekł sędzia i przywołał Felima, potem Zeb Stampa.

Zeznania Irlandczyka były poplątane, niewyraźne, wymijające, stary myśliwy zaś prosił o zezwolenie na zeznanie po słowie podsądnego. Choć wogóle nie jest to przyjęte, aby świadkowie zeznawali w ten sposób, ale w danym razie sąd zrobił wyjątek i przychylił się do prośby Stampa.

LXVIII. Słowo podsądnego.

— Gentlemani! — zaczął Gerald, zwracając się do sędziów i ogółu, z właściwą sobie godnością, — nie będę zabawiał was długą mową, ograniczę się do rzeczy ważnych, mających związek ze sprawą. To, co wydaje się panom dziwnem i niewytłomaczonym, — jest dosyć proste. Gdyby miss Pointdekster odmówiła wyjaśnień, również i ja milczałbym. Teraz mogę mówić spokojnie. Jedne z zeznań świadków są zgodne z rzeczywistością, inne natomiast oparte zostały na fałszu.

Naszą schadzkę w nocy istotnie przerwało pojawienie się brata miss Pointdekster. Prawdą jest zatem, że Henryk oburzył się na mnie, ale kłamie ten, kto twierdzi, że nieporozumienie pomiędzy nami powtórzyło się później. Przeciwnie, Henryk Pointdekster przeprosił mnie za swą porywczosć, ja zaś ze swej strony byłem usposobiony dla niego jaknajżyczliwiej. Było mi łatwo wybaczyć kilka słów temu człowiekowi, dla którego zawsze miałem szacunek, a który istotnie był miły i miał dobre serce. Pogodziliśmy się.

— Gdzie nastąpiła zgoda? — zapytał sędzia.

— W odległości przynajmniej czterechset jardów od miejsca zabójstwa.

Sędzia podniósł się wzburzony. Odpowiedź Geralda zaskoczyła wszystkich. Dotychczas nikt nie mówił o fakcie zabójstwa Henryka, Gerald pierwszy wypowiedział to słowo z całą pewnością.

— Ma pan raczej na myśli miejsce, w którym znaleziono kałużę krwi? — rzucił zdenerwowany sędzia.

— Mówię wyraźnie o miejscu, gdzie został zamordowany Henryk Pointdekster.

Tłum poruszył się. Ktoś boleśnie jęknął,

— Jest pan pewien tego, że mister Henryk został zabity? — pytał sędzia.

— Jestem pewien. Ale opowiem jak się to stało.

Opuściłem ogród i przepłynąłem rzekę wbród z nieprzyjemnem uczuciem po tem, co między mną a Henrykiem zaszło. Ponieważ nic więcej nie zatrzymywało mnie w hotelu, przeto postanowiłem wyruszyć w drogę tejże nocy, sądząc że nad ranem będę w Alamo. Jechałem wolno. Było mi wszystko jedno, gdzie spędzę noc: w prerji, czy pod dachem własnego domu, gdyż po tem niemiłem zajściu sen mnie opuścił zupełnie. Jadąc, nie oglądałem się i nawet nie przyszła mi myśl do głowy, że ktoś może podążać za mną. Ale, znalazłszy się w lesie, usłyszałem nagle za sobą tętent konia i zdziwiłem się niezmiernie, gdy poznałem w pędzącym za mną jeźdźcu Henryka Po-

intdekstera. Początkowo sądziłem, że Henryk niezadowolony obrotem sprawy w ogrodzie, dogonił mnie w drodze, aby zażądać ode mnie satysfakcji. Wewnętrznie byłem zdecydowany nie ustępować, gdyż nie poczuwałem się zgoła do winy. Coprawda moja schadzka z jego siostrą odbywała się w tajemnicy przed ojcem, ale działały we mnie uczucia serdeczne i czyste. Przystanąłem więc i czekałem na Henryka. Wkrótce konie nasze zrównały się ze sobą. Byłem zdumiony zachowaniem się jego. Młody Pointdekster przemówił do mnie serdecznie i prosił, abym zapomniał urazy. Uścisnęliśmy sobie dłonie po bratersku w nadziei, że od-tąd będziemy braćmi. Jechaliśmy obok siebie, spędzając cały czas na miłej pogawędce, której temat na razie nikogo nie dotyczy. Zatrzymawszy się pod drzewem, wypaliliśmy po cygarze i nagle przyszła mi fantazja, abyśmy zwyczajem Koman-ców zamienili ze sobą płaszcze i kapelusze na znak dozgonnej przyjaźni. Po dokonaniu zamiany, rozstaliśmy się. Henryk pojechał w stronę domu, ja zaś zszedłem z konia i zawinięty w płaszcz rzuciłem się pod drzewem i zasnąłem. Jednak spałem zaledwie kilka chwil, bo zbudził mnie jak-by odgłos strzału. Zacząłem pilnie nasłuchiwać, ale w lesie było cicho, więc pomyślałem, że to zapewne złudzenie, i zasnąłem napowrót. Zbudził mnie dopiero ranny chłód. Wstałem i, jakby cią-gnął mnie kto w tę stronę, poszedłem sprawdzić, czy istotnie ten strzał w nocy był tylko złudzeniem. I oto oczom moim ukazał się...

— Jeździec bez głowy! Jeździec bez głowy! — zaczęto nagle krzyczeć w tłumie.

W pierwszej chwili zdawało się, że tłum krzykami tymi naigrawa się nad podsądnym, ośmieszając jego zeznanie. Ale nie! Bo gdy oczy wszystkich skierowały się w dal, ujrzano w rozległym stepie potwornego jeźdźca z odciętą głową. Krew ludziom zastygła w żyłach z przerażenia. A jeździec pędził wprost do twierdzy, potem przystanął. koń jego zaczął chrapać, wreszcie zarżał przeraźliwie i rzucił się z powrotem w step. W tłumie powstało zamieszanie. Wiele osób skoczyło na konie i popędziło w prerję z zamiarem schwytania jeźdźca bez głowy. Rozprawy sądowe zostały przerwane.

LXIX. P o g o ń.

Stopniowo pędzący za jeźdźcem bez głowy zaczęli zostawać w tyle i wycofywać się, pozostało tylko dwóch: Kasjusz Calchun i Zeb Stamp, którzy nie zaniechali pogoni. Stampowi widocznie chodziło nie tyle już o dogonienie jeźdźca bez głowy, ile o niestracenie z oczu Calchuna. Tymczasem straszny jeździec co chwila zmieniał drogę, rzucał się w bok, do lasu, wreszcie, wpadłszy w zarośla, zniknął z oczu zupełnie.

— Niech go [licho porwie! — krzyknął Calchun. — Znowu mi ucieknie. A tu, jak na złość, ten szpieg Stamp jedzie za mną trop w trop. Ach,

jakbym chętnie pozbył się go! Szkoda tylko, że inni jadą za nami, bo palnąłbym mu w łeb zdaleka i niktby nie wiedział.

Po chwili Kasjusz zaczął nasłuchiwać. Wszystko ucichło. Nawet nie słychać było tętentu konia. Stamp gdzieś przepadł. Tylko jastrzębie krążyły w powietrzu nad głową jak chmura złowieszcza. Calchun ostrożnie posunął się w głąb zarośli ze dwieście kroków i—nagle ujrzał jeźdźca bez głowy. Koń jego stał w kępie krzaków ze łbem spuszczo-
nym, mając nogi zaplątane w poszarpanych cuglach.

— Jest nareszcie! — krzyknął Calchun z jakimś dzikim okrucieństwem i, przypadłszy do konia, chwycił go za uzdę. Zwierzę usiłowało wyrwać się, ale na próżno. Jeździec natomiast nie okazywał żadnego sprzeciwu. Obejrzawszy się, czy nikt nie widzi, Calchun wyciągnął zza pasa sztylet, odchylił płaszcz na piersi jeźdźca i zamierzył się, aby ugodzić go w serce, gdy w tem chwycił go za rękę, jakby wyrosły z pod ziemi, Zeb Stamp.

— Co pan robi? — krzyknął myśliwy.

— Nic, tylko, obawiając się, aby mi ten koń nie wyrwał się i nie uciekł, chciałem mu poderznąć gardło, — bez namysłu skłamał Calchun.

— Ach, tak? Pan chciał poderznąć koniowi gardło?

— Naturalnie.

— Tej operacji na jeźdźcu ktoś dokonał już wcześniej. A teraz co pan z nim zamierza zrobić?

— Nic jeszcze nie wymyśliłem, gdyż, jak się okazuje, jest to trup.

— Istotnie, trudno przypuszczać, aby to był żywy człowiek. Wszak pod płaszczem nie ma głowy? Niech-no pan podniesie płaszcz do góry.

— Wie pan, wolałbym nie dotykać tego straszego trupa.

— Dziwne, bo przecież przed chwilą...

— Zrobiłem to w przystępie zapalczywości. Byłem rad, że schwyciłem go nareszcie.

Stamp podszedł do jeźdźca i odsłonił na nim płaszcz.

— Tak, jest to trup pańskiego kuzyna, Henryka Pointdekstera. No, ale nie mamy pogo tu stać. Trzeba zaprowadzić go do twierdzy Inge i stawić przed sąd. Będzie to jeszcze jeden świadek. Być może wyjaśni nam wątpliwości, kto jest faktycznym jego mordercą, Gerald czy ktoś inny... Dlaczego pan jeszcze stoi!

— Naturalnie, naturalnie, nie mamy pogo tu stać, — rzekł, siląc się na spokój, Calchun i ruszył naprzód. W duszy toczył ze sobą walkę, czy ma wracać do twierdzy, czy rzucić się do ucieczki, czy też rozprawić się zaraz ze Stampem. Ale, widząc, że stary myśliwy jedzie tuż za nim i trzyma broń w pogotowiu, zaniechał swoich myśli i zdobywał się na pozory bezwzględnej spokoju.

LXX. Dalsze zeznania.

Ponieważ Stampa i Calchuna nie było widać, sąd postanowił ciągnąć obrady dalej.

— Zatrzymał się pan na tem, że ujrzał coś w lesie, — zwrócił się sędzia do Geralda.

— Ujrzałem na ziemi człowieka, — ciągnął Gerald. — Zrazu wydało mi się, że śpi, ale kiedy pochyliłem się nad nim spostrzegłem, że ma odciętą głowę. W trawie była kałuża krwi. Trup miał na sobie mój płaszcz i kapelusz. Zacząłem pilnie przyglądać się zalanej krwią twarzy i — ku swej niewysłowionej boleści poznałem Henryka Pointdekstera. Sądziłem z początku, że Henryk został zamordowany za pomocą noża, ale przypomniawszy sobie tajemniczy strzał w nocy, zacząłem oglądać trupa i rzeczywiście znalazłem na jego piersi ranę postrzałową. Kula nie przeszła na wylot, lecz zatrzymała się w ranie. Trupa pozbawiono głowy widocznie potem.

— Czy w owym momencie nie podejrzewał pan o zbrodnię nikogo? — zapytał sędzia.

— Pomyślałem, że nieszczęsnego Henryka zabili Indianie, ale oni skalpują zabitych, więc zmieniłem zdanie.

— Więc podejrzewa pan kogo innego?

— W owym czasie nie podejrzewałem nikogo, gdyż wiedziałam, że młody Pointdekster nie miał wcale wrogów. Przyszła mi potem myśl, że mogli go zabić stepowi rozbójnicy gwoli rabunku, ale i to przypuszczenie okazało się nieprawdopodobnem, ponieważ znalazłem przy zabitym zegarek, no i mój płaszcz, który kosztował ze sto dolarów. Zacząłem gubić się w domysłach, nie wiedząc, co czynić. Trzeba było dać znać ojcu zabitego, ale co

zrobić z trupem? Po krótkim namyśle chciałem okryć trupa swym płaszczem, aby ochronić go od drapieżników do mego powrotu, wtem błysnęła mi myśl, ażeby zabrać trupa ze sobą do Inge. Ponieważ koń zabitego Henryka był wylękniony i w żadnym sposobie nie chciał się poddać ciężarowi trupa, przeto, używając największego wysiłku, rzuciłem sztywne ciało bez głowy na swego mustanga, przywiązałem je razem z odciętą głową do siodła w pozycji siedzącej, sam zaś dosiadłszy konia Henryka ruszyłem w towarzystwie martwego jeźdźca do Inge.

W pewnej chwili koń, na którym jechałem, obejrzał się i, zoczywszy za sobą straszego jeźdźca, wyląkł się i poniósł. Pędził naoslep w głąb lasu. Bezwiednie puściłem z rąk cugle, ochraniając się od bijących mnie po twarzy gałęzi. Podczas tej szalonej jazdy znaleźliśmy się pod rozłożystem drzewem. Nie zdążyłem przechylić głowy, gdy wtem zwisająca nisko potężna gałąź uderzyła mnie w czoło. Uderzenie to było tak silne, że spadłem na ziemię, zwichnąwszy nogę, i straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, krążyły nade mną jastrzębie, czując swą zdobycz. Umierałem z pragnienia. Nie mogłem ruszyć się z miejsca, taki okropny ból czułem w nodze. Dopiero silna gorączka, z powodu braku wody, zmusiła mnie do ostatniego wysiłku i przy pomocy jakiegoś odciętego dębczaka z wielkim trudem doczołgałem się do strumienia. Tutaj znowu straciłem przytomność, a ocknąwszy się, ujrzałem wokół siebie stado stepowych wilków. Mimo, że miałem przy sobie nóż

i kładłem je po kolei, stado nacierało na mnie z tym większą zajadłością, grożąc mi rozszarpaniem w kawałki. Ale i w tej chwili nie opuściła mnie Opatrzność Boska. Ni stąd, ni zowąd zjawiał się przy mnie mój wierny pies myśliwski, Tara. Na jego widok wilki ustąpiły i byłem uratowany. Lecz trzeba było wymyśleć sposób, ażeby dotrzeć do domu lub dać znać służącemu Felimowi. Iść o własnych siłach nie mogłem, więc znalazłszy w zanadrzu kawałek papieru napisałem na nim krwią, gdzie się znajduję, i przywiązałem ten list psu do obroży. Polegając na inteligencji zwierzęcia, nie zawiodłem się, bo wkrótce przybył do mnie służący Felim w towarzystwie starego myśliwego, Zeb Stampa. Przybycie ich było tak szczęśliwe, że gdyby opóźnili się o kilka sekund, byłbym żywcem pożarty przez napastującego mnie jaguara. Ale, co się stało potem, opowie lepiej mój dzielny zbawca, Zeb-Stamp, gdyż po jego zjawieniu się znowu straciłem przytomność. Dopiero wczoraj odzyskałem zmysły, lecz niestety znalazłem się w więzieniu pod zarzutem morderstwa. Skończyłem, panowie sędziowie.

Opowiadanie podsądnego było tak szczere i prawdziwe, że większość obecnych zaczęła się wahać i skłaniać na jego stronę. Pozostało tylko zeznanie Zeb Stampa i oto oczy wszystkich skierowały się w step, skąd miał nadjechać myśliwy, Calchun i jeździec bez głowy.

LXXI. Ostatni świadek.

Po upływie dziesięciu minut męczącego oczekiwania w stepie ukazało się trzech jeźdźców: Kasjusz Calchun, Zeb Stamp i jeździec bez głowy. Chociaż wszystkim było wiadomem, że jeźdźcowi temu odcięto głowę, mimo to, zjawienie się jego przejęło obecnych zgrozą. Nikt nie śmiał mówić. Chwila była uroczysta. Lecz oto ci trzej stanęli na placu: dwóch zeskoczyło z siodeł na ziemię, trzeci pozostał martwy, wyprężony. Kasjusz Calchun natychmiast zmieszał się z tłumem.

— Oto świadek, którego nieme zeznanie rzuci snop światła na tę pogmatwaną sprawę, — rzekł Stamp, przyciągając tragicznego jeźdźca przed stół sędziowski. — Spójrzcie na niego!

W tej chwili rozległ się krzyk rozpacz: — Boże! To on! — i z tłumu wyszedł ojciec Henryka, nieszczęsny Woodley Pointdekster. Ale zaledwie postąpił parę kroków, gdy zachwiał się i opadł na ramiona pobliskich osób, które go wyprowadziły. Jednocześnie prawie rozległ się krzyk Luizy, jednak pozostawiono ich oboje na dziedzińcu sądowym do rozstrzygnięcia sprawy.

Tymczasem Zeb Stamp zaczął zeznawać.

— Wróciwszy z polowania, dowiedziałem się, że został zabity młody Pointdekster i że o zabójstwo posądzony jest łowca mustangów. Byłem przekonany, że Gerald nie mógł popełnić zbrodni i natychmiast pojechałem do niego, do Alamo, ale w domu go nie zastałem. Gdy zacząłem rozma-

wiać z Felimem i badać go, do mieszkania wpadł pies, Tara, mając u obroży uwiązaną kartkę. Na kartce tej było oznaczone krwawymi literami miejsce, gdzie się znajdował Gerald. Pośpieszyliśmy z pomocą natychmiast i gdyby jedna chwila spóźnienia, nasz łowca mustangów byłby stał się ofiarą jaguara. Zabiłem zwierza celnym strzałem, a Geralda, który miał zwichniętą nogę i stracił przytomność, przenieśliśmy na zaimprovizowanych noszach do domu. Potem wiecie państwo co się stało, boście przybyli do Alamo aresztować Geralda. Oto wszystko, co dotyczy jego osoby. Obecnie jednak muszę powiedzieć wiele daleko ciekawszych rzeczy o człowieku, który, mojem zdaniem, powinien zająć miejsce podsądnego.

Byłem pewny, że łowca mustangów nie mógł zabić Henryka Pointdekstera i postanowiłem wykryć faktycznego zbrodniarza. Zacząłem badać ślady koni, przejeżdżających stepem i wśród zarośli. Zwróciłem uwagę na ślady trzech koni: Geralda, zabitego Henryka i trzeciego jeźdźca, który podążał za nimi na amerykańskim wierzchowcu. Ten ostatni koń miał trzy podkowsy całe, czwartą zaś pękniętą. Oto ona! panowie sędziowie, — i Stamp wydobył z zanadrza złamaną podkowę, pokazując ją sędziom. — Zabójcą jest ten, kto jeździł na amerykańskie. On właśnie zatrzymał się w miejscu, gdzie potem znaleziono kałużę krwi, i stamtąd odjechał z powrotem. On właśnie zabił młodego Henryka.

— Kto taki? Jak się nazywa? — zaczęto krzyczeć w tłumie.

— Sądzę, że znajdziecie państwo jego nazwisko tam, w ciele zabitego. Widzicie tę ranę na piersi. To nie rana na wylot, więc kula utkwiała w ciele. Wyjmijcie ją i zobaczcie!

Przewodniczący i dwóch innych sędziów podszli do martwego jeźdźca i, zdjawszy go z siodła, położyli na ziemi. Trup był jak skamieniały, ale lekki, wyschnięty. Natychmiast dokonano sekcji zwłok i rzeczywiście w lewym płucu znaleziono kulę. Po dokładnem obejrzeniu okazało się, że kula miała półksiężycowe znaki i litery: K. C.

O, te zdradzieckie inicjały! Wielu z obecnych przypomniało sobie, że nie tak dawno ktoś dowodził celności swego strzału do jaguara, powołując się na kule, oznaczone temi literami. Ale gdzież jest obecnie ten przewidujący myśliwy?

— Więc któż zabił młodego Pointdekstera?— zapytał sędzia.

Mnie się zdaje, że już odpadły wątpliwości, po tem, jak przestępca podpisał swoją zbrodnię własnem nazwiskiem.

— Kula ma na sobie inicjały znanego, w kolonji gentlemana, zauważył sędzia.—Ale to jeszcze nie dowodzi, że jest on zbrodniarzem. Zdarzało się bowiem, że ktoś w celu popełnienia zbrodni używał cudzej broni. Muszą być inne dowody.

— W takim razie, cóż pan sędzia powie o tym skrawku papieru, który posłużył zbrodniarzowi za przybitkę do strzelby? Znalazłem go na gałązce krzewu w pobliżu miejsca zbrodni. Jest to kawałek koperty z adresem. Inicjały na kuli

zupełnie zgadzają się z nazwiskiem i imieniem odbiorcy. Proszę uprzejmie o przeczytanie.

— Kapitan Kasjusz Calchun, — przeczytał członek sądu, któremu Stamp przekazał papier.

LXXII. U c i e c z k a.

Nazwisko to wywarło silne wrażenie. Tłum rychło przekonał się, że prawdziwym zbrodniarzem jest Kasjusz Calchun. Obejrzawszy papier, sędzia wezwał Stampa do dalszych wyjaśnień. Stary myśliwy zaczął opowiadać, jak zbudziło się w nim podejrzenie co do osoby Calchuna, jak go śledził, jak tamten starał się schwytać jeźdźca bez głowy i w tym celu zamienił się na konie z Isadorą i potem jak próbował wyjąć zdradziecką kulę z ciała zabitego.

Zeznania Stampa prawie nikt nie słuchał. Tłum żądał bezzwłocznego sądu nad Calchunem i zwolnienia Mauricea Geralda. Sędzia wyraził swą zgodę i trzykrotnie wezwał nowego podsądnego. Ale ten nie zjawił się. Zaczęto go poszukiwać wszędzie, lecz napróżno. Wreszcie ktoś dał znać, że Calchun, korzystając z chwilowego zajęcia się jeźdźcem bez głowy, dosiadł swego konia i umknął w step.

— Łapać go! Trzymać! — ryknął tłum i około pięćdziesięciu ludzi rzuciło się konno w pogoń za zbiegiem. Przodem pędził, na swej godnej podziwu klaczy, Zeb Stamp.

— Dajcie go tu żywcem, albo martwego! —
rozległ się głos komendanta twierdzy.

Nigdy jeszcze życie Calchuna nie było w takim niebezpieczeństwie, jak obecnie. Oglądając się co chwila za siebie, popędzał swego siwego mustanga i cieszył się w duchu, że posiada dzięki Isadorze tak śmigłego konia, który może go uratować. W dali widniał las, w którym łatwiej można było się ukryć, Za lasem płynęła rzeka. Więc tylko aby dotrzeć do niej, przepłynąć ją i znaleźć się w posiadłościach Komanczów, którzy nienawidzą białych, a którzy za zabójstwo białego przyjmą Calchuna z otwartymi ramionami. Prawda, porzuciwszy Teksas, wyzbędzie się mimowoli swego majątku, całego dobytku, ale co to wszystko znaczy w porównaniu z życiem, które jest droższe ponad wszystko!

Mustang pędził jak wichur, pogoń była daleko, las tuż, tuż. Calchun prawie tryumfował. Ale czyż Bóg dopuści, aby zbrodniarz ukrył się przed ludzką sprawiedliwością bezkarnie?

LXXIII. Pojmany zbrodniarz.

Tymczasem pozostali na placu widzowie, obserwując szaloną ucieczkę Calchuna i dzielną pogoń za nim, zaczęli denerwować się i burzyć, że zbrodniarz ujdzie bezkarnie. Bo oto pędzący za Calchunem jeźdźcy zostawali w tyle coraz bardziej, wielu zaś wracało do twierdzy, zaniechawszy dalszej pogoni.

Wtem Maurice Gerald podszedł do swego ulubionego mustanga, na którym do obecnej chwili znajdował się jeździec bez głowy, pogłaskał go pieszczotliwie, a gdy zwierzę poznało swego pana, prychnął radośnie, skoczył na siodło, wziął czyjeś lasso i pomknął, jak strzała. Po chwili wyprzedził jeźdźców, którzy wyruszyli przedtem, tylko Stamp ze swoją poczciwą klaczą trzymał się czas jakiś w pobliżu. Wreszcie wszyscy trzej: Calchun, Gerald i Stamp zniknęli z oczu. Stary myśliwy oczywiście nie mógł stale dorównywać Geraldowi, ale chodziło mu głównie o to, aby śledzić Calchuna i łowcę mustangów i w razie potrzeby być w pogotowiu.

Już Calchun cieszył się nadzieją, że uda mu się ocaleć, gdy nagle, spojrzawszy za siebie, zobaczył pędzącego Mauricea. Jakiś głos szepnął mu, że to mściciel. Zadrżał, wiedząc, że nie ujdzie jego ręki. Bliskość lasu znowu zbudziła w nim nadzieję. Oto jest już w lesie. Jeszcze chwila i ukryje się w gąszczach. Lecz tętent gniadego mustanga słychać coraz bliżej, coraz bliżej.

— Stój! — rozległ się nagle głos Geralda.

Widząc, że niema ratunku, Calchun przystanął i wypalił z rewolweru. Kula przeszła obok. W tej chwili w powietrzu błysnęło lasso, i zanim Kasjusz zdążył zorientować się, sznur ścisnął go mocnym węzłem i skrępował mu ręce. Calchun stracił równowagę i runął z konia na ziemię, jak martwy.

LXXIV. Nie umarł jeszcze.

Mógł Geratd tylko mocniej ściągnąć lasso i pozbawić niegodziwca życia, ale pomyślał, że lepiej, gdy Calchun stanie przed sądem i wyjaśni powód zamordowania własnego kuzyna, a zwłaszcza, dlaczego odciął mu głowę.

W tej chwili zjawił się Stamp.

— Musimy zaprowadzić go z powrotem do twierdzy Inge, — rzekł, — tam się z nim rozprawią sądem Lyncha.

— Tak, ale koń jego czmychnął. Jakże z nim sobie poradzimy? — zapytał Gerald.

— Ano, jeżeli odzyska przytomność, siądzie na moją klacz, jeżeli zaś nie, to zarzucimy go na siodło, jak barana, i pojedziemy. Ale, zdaje się, przychodzi powoli do siebie... Panie, panie, ruszaj się pan, byle prędzej! — zawołał Stamp, chwytając Kasjusza za kołnierz i potrząsając nim silnie. — Pośpiesz się pan, tam czekają na pana!

— Kto? — zapytał Calchun, odzyskując świadomość.

— Naprzykład ja, mister Gerald i sędziowie. No, no, prędzej! Nie wypada zmuszać sąd do tak długiego wyczekiwania!

— Pocóż mam iść do sądu?

— W charakterze podejrzanego o zabójstwo Henryka Pointdekstera.

— To kłamstwo! Podłe kłamstwo! — krzyknął Kasjusz.

— Ciszej, paniel — surowym tonem przerwał mu Stamp. — Proszę tutaj. Oto mój koń, pański zapewne czmychnął do rodzimych pastwisk na brzegu Rio-Grande. Prędeej, prędeej, bo tam czekają.

— Nie pojedę! Jakiem prawem pan mi rozkazuje?

— Oto moje prawo! — zawołał Stamp, pokazując Calchunowi gotową do strzału strzelbę.

Podziałało to na zbiega przekonywająco. Spojrzał bezradnie na związane ręce, na lufę strzelby i — poddał się. Posadziwszy go na swoją klacz, Zeb poprowadził ją za uzdę. Trop w trop za nimi jechał Maurice Gerald.

LXXV. Samobójstwo.

Po drugiej dłuższej przerwie sąd się rozpoczął nanowo. Nadchodził wieczór. Niebo było purpurowe, jak od łuny pożaru. Przed sądem, zamiast zwolnionego Geralda, stanął Kasjusz Calchun. Nikt już nie powątpiewał, że on jest właśnie prawdziwym zbrodniarzem, ale zdumiewało wszystkich, dlaczego, zabijając swego kuzyna, odciął mu głowę. Sędziowie zbadali trupa i orzekli, że śmierć Henryka nastąpiła natychmiast po strzale. Lecz od Calchuna nie spodziewano się usłyszeć szczerego wyznania sprawy, chociaż on tylko mógł wyjaśnić powody zbrodni. Po krótkiej naradzie sąd wydał wyrok śmierci. Podsądnemu według zwyczaju da-

no ostatnie słowo. Calchun zmienił się do niepoznania. Był blady, oczy mu wpadły. Wiedział, że niema ratunku i że z pośród tego tłumu ani jeden człowiek nie współczuje mu.

— Czy może nam pan coś powiedzieć na swoją obronę? — zapytał sędzia.

— Nic — odrzekł Calchun, — wyrok jest sprawiedliwy, gdyż zasłużyłem na niego.

Nieoczekiwane to przyznanie się do winy zdumiało wszystkich. Zapanowało grobowe milczenie, nawet śpiewające w trawie cykady ucichły.

— To ja zabiłem Henryka Pointdekstera — ciągnął Calchun, — i wiem, że czeka mnie za to śmierć. Po tem przyznaniu się do zbrodni nie mogę liczyć na ułaskawienie. Zasłużyłem na karę śmierci w zupełności, ale nie chcę odejść z tego świata z ciężkim zarzutem, że zabiłem swego ciotecznego brata rozmyślnie. Zabiłem go przez pomyłkę. Dowiedziałem się o tej fatalnej omyłce niedawno i ogarnęła mnie zgroza. Chciałem zabić tego oto psa! — pełne nienawiści spojrzenie Calchuna padło na Geralda, który ze spokojem zniósł tę obelgę. — Nie będę wyjaśniał motywów, dla których miałem popełnić tę zbrodnię. Ale powody miałem. Jedynie w błąd mnie wprowadził płaszcz jego, który miał na sobie Henryk. Resztę już wiecie. Byłem przekonany, że celuję do wroga, lecz od kuli mej padł nieszczęsny przyjaciel. Gdy Henryk trafiony śmiertelnie runął na ziemię, podszedłem do niego i, nie spostrzegając nadal swojej omyłki, oderznąłem mu głowę nożem.

Tłum zakołysał się z oburzenia, rozległy się pomruki zgrozy. Wszystko już było wyraźne — tajemnicę odsłonięto do ostatniego szczegółu.

— Obecnie wiecie panowie, co się stało, — zakrzyknął Kasjusz, — ale nikt nie przewiduje tego, co będzie! Otóż jedną nogą znajduję się w grobie, ale nie umrę pierwej, zanim nie padnie tamten!

Mówiąc to, wyjął błyskawicznym ruchem rewolwer i wypalił do Geralda. Za pierwszym strzałem nastąpił drugi. To Calchun strzelił sobie w skroń, ponosząc śmierć na miejscu. Gerald padł również jak nieżywy.

LXXVI. Zdobyte szczęście.

Jakimś cudem rana Geralda nie była śmiertelną jakkolwiek kula była skierowana w samo serce. Uratowała go papierośnica, którą zawsze nosił w lewej kieszeni, jako podarek od ukochanej dziewczeczki. Kula trafiła w metal i odbiła się.

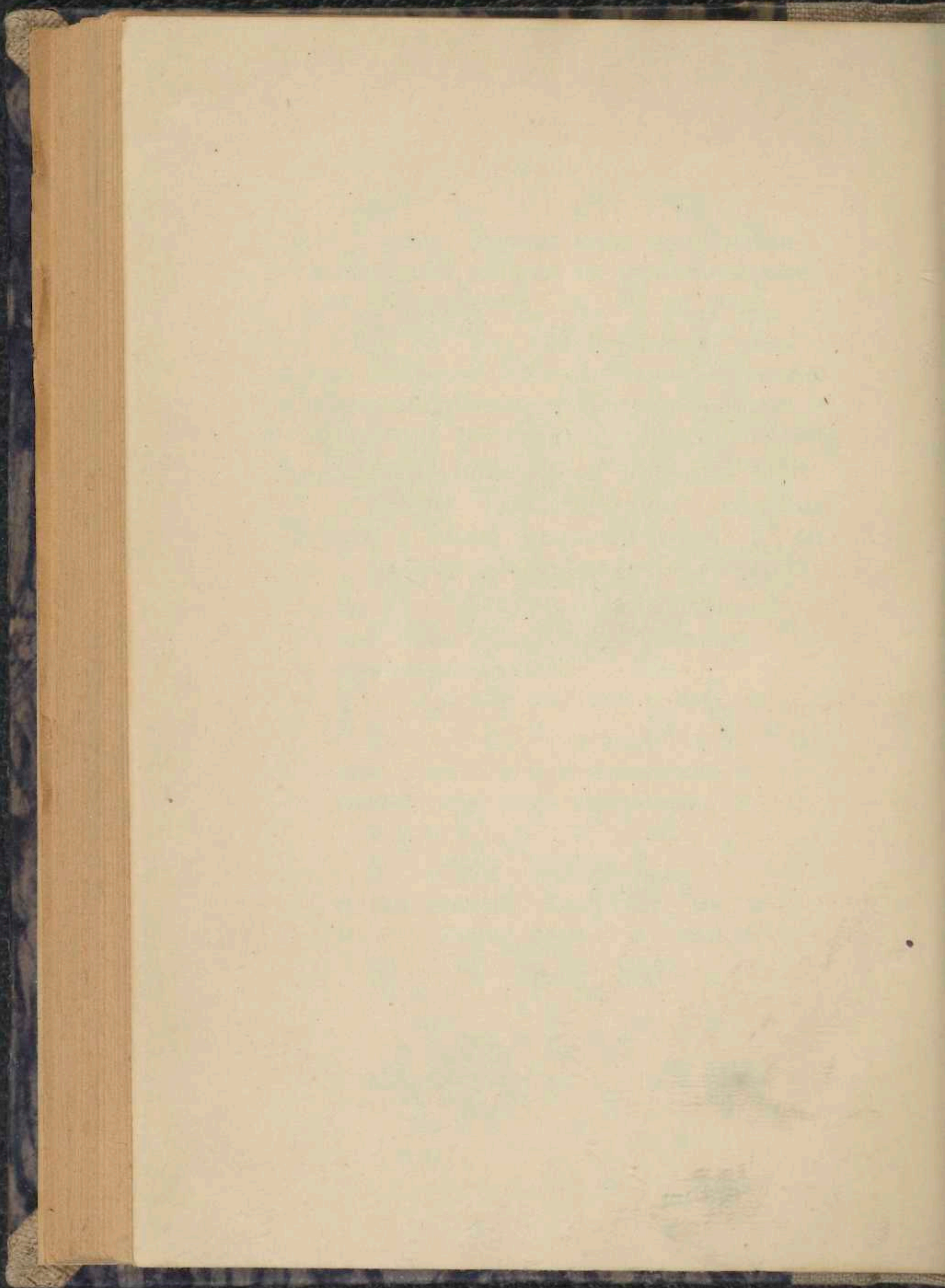
Wskutek ponownego wstrząśnienia Gerald znowu zaniemógł, ale tym razem doglądała go już otwarcie Luiza Pointdekster. Ciężkie doświadczenia losu zmieniły niegdyś hardego i dumnego Woodleya Pointdekstera na korzyść Luizy, której nie wzbraniał już kierować się głosem serca. Zresztą złożyły się na to jeszcze inne okoliczności. Okazało się, że skromny łowca mustangów faktycznie był posiadaczem wspaniałego zamku w Irlandji i właścicielem rozległych dóbr. Właściwem jego nazwiskiem było sir Maurice Gerald.

Po powrocie do zdrowia sir Maurice ożenił się z córką zamożnego obecnie plantatora, piękną Luizą i młodzi zaraz po ślubie odbyli swą podróż do Europy. Ale Maurice zbyt pokochał naturę Teksasu, aby pozostać na zawsze w swoim rodzimym zamku w Irlandji. Wrócił na brzegi Leony, pędząc odtąd życie szczęśliwe, niezamącone żadną chmurką. Wkrótce dom jego stał się podobnym do olbrzymiego puharu, w którym mieniła się słodczym uśmiechu i wino wesela. Stajnie były pełne najpiękniejszych koni, które doglądał stary nieodstępny służący Felim. Pluton pojął za żonę Florinę i oboje pozostali nadal w służbie. Natomiast oddany całym sercem rodzinie Geralda Zeb Stamp nie rozstawał się ze swoim ukochanym zawodem, polując w pobliskich lasach i dostarczając, jak zwykle, dziczyzny.

W domu Geralda jest dużo słońca i szczęścia. O smutnej przeszłości nie wspomina się wcale. Jedynie służba opowiada sobie czasem pocichu, w tajemnicy przed państwem ponurą bajkę minionych dni — tragiczną historję jeźdźca bez głowy.

Nie będzie zbytecznym nadmienić jeszcze słów kilka o losach Isadory Cavarubio de los Lianos. Jednak Diaz dopiął swego i, wyszedłszy ją w prerji, zastrzelił. Za to skazano go na karę śmierci.







503119
